

KRZYSZTOF PŁOMIŃSKI
BLISKI WSCHÓD: NOWY UKŁAD SIŁ

MACIEJ DĘBSKI
11 DNI BEZ INTERNETU

REFORMA GOWINA
JAK GILOTYNA

MARIUSZ ORION JĘDRYSEK
I JEGO GEOLOGICZNE KSIĘSTWO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



30 lat od Okrągłego Stołu



POLSKI FENOMEN

Łagowski, Stomma i Widacki
o zmianie ustroju, obozie PZPR i Solidarności
i roli Kościoła

Miłość, samotność i przyjaźń
w alejkach supermarketu

WALC W ALEJKACH



68th Międzynarodowy
Festival Filmowy
w Berlinie
Konkurs Główny



68th Międzynarodowy
Festival Filmowy
w Berlinie
Nagroda Gildii
Filmowej



68th Międzynarodowy
Festival Filmowy
w Berlinie
Nagroda Jury
Ekumenicznego



Niemieckie
Nagrody Filmowe
NAJLEPSZY AKTOR
PIERWSZOPLANOWY



MFF w Neapolu
AUGUSTUS COLOR AWARD
VESUVIO AWARD



German
Screenplay Award
NAJLEPSZY NIEMIECKI
SCENARIUSZ

SANDRA
HULLER
("TONI ERDMANN")

FRANZ
ROGOWSKI
("HAPPY END")

W KINACH OD 8 LUTEGO

german
films

AURORA

CYTATY

PROF. SAMUEL ISSACHAROFF,
konstytucjonalista
z nowojorskiego
uniwersytetu NYU

*W społeczeństwach
o słabej kulturze
demokratycznej do polityki
idzie mało wybitnych osób.
„Polityka”*

ALEKSANDRA DULKIEWICZ,
p.o. prezydent Gdańska

*4 czerwca to jest symbol
Polski, która jest mi bliska
– bezkrwawej rewolucji.
„Tygodnik Powszechny”*

JAN KRZYSZTOF DUDA,
wicemistrz świata
w szachach
błyskawicznych

*Przed laty Kasparow
wygrał z komputerem, ale
dzisiaj żaden szachista nie
ma na to żadnych szans.
„Angora”*

KRYSTYNA JANDA,
aktorka, dyrektor teatru

*Nigdy nie walczyłam
o rolę, walczyłam raczej
z rolami.
„Viva!”*

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Młócka w rodzinie

Głowa prezesa pracuje na najwyższych obrotach, ale niestety otoczenie nie nadąża. Mimo że Kaczyński sam je sobie starannie dobiera. Głównie tak, by wśród najbliższych współpracowników nie było ambicjonerów polujących na fotel szefa. Z pewnością są wierniejsi od tych, którzy wcześniej prezesa zdradzali i porzucali. Ci decyzje prezesa realizują starannie i sumiennie. Tak jak potrafią. Na miarę dość skromnych możliwości intelektualnych. Efekty widzimy. I słyszymy. Jeśli zamieszanie wokół dwóch 190-metrowych wieżowców w centrum Warszawy aktyw PiS określa mianem kapiszona, to ciekawe, co dla nich jest pociskiem armatnim.

Gdyby uczciwie zbadać kontakty deweloperów z politykami i samorządowcami, mielibyśmy odpowiedź na rozmaite pytania. Dlaczego w naszych miastach mamy tyle paskudnych gargamelii? Dlaczego tyle budynków powstało tam, gdzie interes mieli tylko deweloperzy? Dlaczego jedni dostawali szybką zgodę na wszystko, co chcieli, a drudzy po biurokratycznej mitrędze musieli się zadowolić odmowami?

Mało rzeczy jest w Polsce pewnych, ale pewne jest to, że nie powstanie sejmowa komisja śledcza, która próbowałaby przekopać decyzje o zabudowie miast z – powiedzmy – ostatnich 20 lat. Ale przecież nie dotyczy to tylko wielkich miast. Ileż razy w PRZEGŁADZIE pisaliśmy o willach, hotelach i najdziwniejszych obiektach stawianych parę metrów od jezior, nad morzem czy na obszarach chronionych prawem. Pisaliśmy. Ktoś tracił pracę. Prokuratury miejscowe wszystko umarzały. A zamczyska i ich właściciele mają się świetnie.

Prawo i Sprawiedliwość dostało od Polaków wielkie poparcie, bo w wielu obszarach państwo rzeczywiście nie działało. Miało być lepiej, bo sprawniej i uczciwiej. Wystarczyło nie kraść. To akurat ciągle jest aktualne. Może jeszcze kiedyś jakaś władza potraktuje tę obietnicę serio? Choć na potomków i spadkobierców postsolidarnościowych ekip szczególnie bym nie liczył.

Im więcej wiemy o tym, jak politycy sprytnie dbają o własne interesy, jakim językiem opisują świat i ludzi, tym większa jest pokusa, by ich porzucić. Bez żalu. Z nadzieją, że w sporym kraju są ludzie, którzy serio potraktują interesy państwa i tę ułomną, ale naszą wspólną obywatelską.

Czas, by w roku ważnych wyborów wyjść z bezproduktywnego klinczu dwóch partii, z których żadna nie jest skrojona na miarę problemów, jakie mamy. To, co mają do zaproponowania, to jedynie wyniszczająca młócka między nimi.

FAUL

Gdy rozum śpi

Nareszcie. Tak można ocenić wyrok sędzi Magdaleny Sikorskiej z Sądu Rejonowego w Zabrzu. Były nauczyciel Rafał S. został skazany za porównanie nauczycielek, które brały udział w czarnym protestie w 2016 r., do żeńskiego komanda hitlerowców. Rafał S. musi przeprosić każdą z czterech kobiet na łamach dwóch lokalnych pism oraz na Facebooku. Każdej musi zapłacić po 5 tys. zł. Ponadto 20 tys. zł ma wpłacić na Stowarzyszenie Bez Barier w Zabrzu. I przez osiem miesięcy po 20 godzin popracuje społecznie. Z roboty też go wyrzucili, bo miał wyrok za kradzież.

BĄKOWSKI



W NUMERZE

OKRĄGLY STÓŁ

- 8** **Polski fenomen**
30 lat Okrągłego Stołu
- 9** **Bronisław Łagowski**
Bez sentymentu
- 10** **Ludwik Stomma**
30 lat temu
- 12** **Jan Widacki**
Okrągły Stół? Jaki Okrągły Stół?

KRAJ

- 14** **Geologia to ja**
PAG to antypaństwowy przekręt
- 22** **Reforma Gowina jak gilotyna**
Minister nie liczy się z naukowcami
- 26** **W kolejce do kolejki,**
czyli Polak na nartach
Ferie na Podhalu
- 30** **Idę z Biedroniem, bo on się nie cofnie**
– rozmowa z Pauliną Piechną-Więckiewicz
- 36** **Cyfrowa odpowiedzialność**
– rozmowa z dr. Maciejem Dębskim
- 56** **SORTownia. Drzwi, a za nimi magia**
Każdy dyżur jest ciężki

ZAGRANICA

- 18** **Bliski Wschód: nowy układ sił**
– rozmowa z amb. Krzysztofem Płomińskim

HISTORIA

- 33** **Z Sybiru za stery samolotów**
Losy lotników LWP

PUBLICYSTYKA

- 40** **A to inny świat właśnie!**
Rok Herlinga-Grudzińskiego

MEDIA

- 41** **Nagrody Prusa**
dla najlepszych dziennikarzy

KULTURA

- 42** **Nosi mnie fabularnie**
– rozmowa z Anną Cieplak
- 46** **Culturalia**
- 50** **Japonia. Tradycja w nowoczesności**
- 66** **Sredniowieczne baśnie**
Malwiny de Brade

EKOLOGIA

- 48** **Morze śmieci po horyzont**
Wysypisko w oceanie

SPORT

- 52** **Futbol po polsku**
Problemy z piłką klubową

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** **Jerzy Domański**
Młócka w rodzinie
- 29** **Roman Kurkiewicz**
Domniemania polskie
- 39** **Tomasz Jastrun**
Srebrne taśmy
- 45** **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Tak przegrać
- 55** **Edward Mikołajczyk**
Prezes na Wilno!



26

KRAJ

W KOLEJCE DO KOLEJKI, CZYLI POLAK NA NARTACH

Ferie na Podhalu

36

WYWIAD

CYFROWA ODPOWIEDZIALNOŚĆ

– rozmowa
z dr. Maciejem Dębskim



42

KULTURA

NOSI MNIE FABULARNIE

– rozmowa z Anną Cieplak

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS



HISTORIA

Dlaczego rząd Sikorskiego
lekceważył zbrodnie wołyńskie

PROF. JAN WOLEŃSKI

krytykuje reformę Gowina

JAK DZIAŁA DRUGI GARNITUR IPN



List otwarty do prezesa Poczty Polskiej

Na poczcie obecnie jest wszystko. Jeszcze catering wprowadzą, a będzie bosko. Obok przepisów siostry Anastazji – pierogi. A praca podstawowa poczty leży i kwiczy. Córka z Londynu przysłała mi list – szedł tydzień. Moja przesyłka do niej – dwa tygodnie.

Gosia Rozesłaniec

Polecony, 15 km licząc od drzwi do drzwi, w 17 dni. Placówka pocztowa w Siechnicach. Czas pokonania tej odległości przez gołębia to kilkadziesiąt minut.

Adam Ziółko

Poczta Polska, a raczej już ukraińska, biorąc pod uwagę obsługę w okienkach na głównej w Warszawie, ma podejście do petenta rodem z filmów Barei. Moja przesyłka priorytetowa wysłana w czwartek zawiera-



szyla im się do poniedziałku, co potwierdził e-monitoring. Infolinia działa równie sprawnie. Najpierw irytująca litania dotycząca abonamentu RTV, a później co najmniej 40 minut oczekiwania na połączenie.

Kamil Kamiński

Stempel pocztowy 6 grudnia, w skrzynce 23 stycznia. Fakt, że z Torunia szło, może na kolanach w ramach pielgrzymki?

Gosia Guzowska

Numer 4. PRZEGŁĄDU dostałam w środę, a nr 3. leży na kupie w oddziale PP („A, tak, tak, widziałem, taka szara koperta formatu A4, moja adresatka z rejonu też nie dostała”, rzekł zastępca naszego listonosza, akurat chorego).

Maria Jasińska-Pawlikowska

Problemem jest to, że poczta nie doręcza na czas także faktur. Czasem

przychodzą z miesięcznym opóźnieniem. Ciekawe, czy będzie płacić za nas karne odsetki.

Anna Guzowska

Poczta Polska przespała zmiany w sposobie dostarczania przesyłek i brakuje jej pracowników.

Teresa Komorowska



Niewidzialne

Jak traktowane są Ukraińki w Polsce? Tak samo jak Polki u Niemców, Włochów czy ogólnie w Europie Zachodniej. To się powiela pokoleniowo. A przecież wśród tych wielu pracujących ciężko osób, niezależnie od pochodzenia, są zwyczajnie uczciwi ludzie, mający rodziny bądź nie. I zapewne nikt nie chciałby być na ich miejscu.

Rysiek Pietruczuk



ZDJĘCIE TYGODNIA

Dekoracje związane z chińskim Nowym Rokiem, Rokiem Świni, wystawione na sprzedaż w mieście Xi'an w północno-zachodnich Chinach.





Jak uzdrowić polską politykę?

4-10.02.2019 PRZEGLĄD 7

30 LAT OKRĄGŁEGO STOŁU

POLSKI FENOMEN

PROFESOROWIE ŁAGOWSKI, STOMMA I WIDACKI O ZMIANIE USTROJU,
OBOZIE PZPR I SOLIDARNOŚCI ORAZ ROLI KOŚCIOŁA

6 lutego 1989 r. rozpoczęły się w Warszawie obrady Okrągłego Stołu. Do negocjacji usiedli przedstawiciele władz PRL i opozycji oraz obserwatorzy ze strony kościelnej – Kościoła katolickiego i ewangelicko-augsburskiego. W obradach wszystkich zespołów, podzespołów i grup roboczych wzięło udział, w charakterze uczestników, ekspertów i obserwatorów, ponad 700 osób. Rozmowy zakończyły się 5 kwietnia. Dwa miesiące później odbyły się pierwsze, częściowo wolne wybory.

Świat zachodni uznał, że to akt politycznej mądrości, że Okrągły Stół i jego następstwa to największy sukces Polaków od stuleci. Bez rozlewu krwi, bez jednej wybitej szyby dokonana się transformacja ustrojowa. Dwa polskie plemiona zakończyły wojnę. Podczas końcowego

posiedzenia Lech Wałęsa oświadczył: „Po raz pierwszy rozmawialiśmy ze sobą, posługując się siłą argumentów, a nie argumentami siły. To dobrze wróży na przyszłość. Uważam, że obrady Okrągłego Stołu mogą stać się początkiem drogi do demokratycznej i wolnej Polski”. Wkrótce jednak zaczęła się krytyka, zagrały osobiste ambicje i ambicjki. Zaczęto systematycznie umniejszać znaczenie Okrągłego Stołu, by wreszcie określić go mianem „zdrady narodowej”.

Jak go widzimy z perspektywy 30 lat? Trójgłos profesorów Bronisława Łagowskiego, Ludwika Stommy i Jana Widackiego.

Zachęcamy Państwa do przysyłania własnych refleksji na ten temat. ■



6 lutego 1989 r. Początek obrad Okrągłego Stołu. Stronie solidarnościowej przewodniczył Lech Wałęsa...

Bronisław Łagowski

Bez sentymentu

Wybory 4 czerwca rozstrzygnęły problem władzy, ale nie problem ustroju. Ten został rozstrzygnięty przed wyborami i przed Okrągłym Stołem.

Ocena Okrągłego Stołu zależy od odległości, z jakiej się patrzy na to wydarzenie. Oglądana z zachodniej zagranicy ugoda między wrogimi obozami, z których jeden był uzbrojony, a drugi miał oparcie w społeczeństwie, jawi się jako akt politycznej mądrości. Nieczęsto zdarza się pokojowe rozwiązanie tak zapiekłego konfliktu, mającego przyczyny aktualne, a także zastarzałe, nagromadzone przez 40 lat rządów, którym brakowało demokratycznej legitymizacji. Oglądany z bliska, z polskiej perspektywy, Okrągły Stół już tak jednoznacznie oceniany być nie może.

Nie myślm, że nienawiść solidarnościowców do byłych przeciwników wyczerpuje się. To potrwa, dopóki ta formacja będzie panować nad Polską.

Strona solidarnościowa nie dała pełnej miary swojej nienawiści z powodu strachu, że panująca jeszcze władza może nie być tak słaba, jak się wydawało, a gdyby taka była, to trzeba pamiętać, że nawet słabe stworzenia przyparte do muru znaj-

dują w sobie niespodziewaną energię i mogą być niebezpieczne. Emocje, z jakimi strona solidarnościowa przystępowała do ugody, to były nienawiść i strach. O ile wstyd przyznać się do strachu, o tyle obawa, że „komuniści” mogą nas oszukać, była wyrażana cały czas. Pełną miarę swojej nienawiści strona solidarnościowa

zaczęła dawać, gdy już nie było kogo się bać. I nie myślm, że ta nienawiść do byłych przeciwników i ich symboli wyczerpuje się na naszych oczach. To potrwa, dopóki solidarnościowa formacja będzie panować nad Polską. Antykomunizm bez komunizmu, fan-

tasmagoryczna walka z Polską Ludową i przeniesienie antysowietyzmu na prawosławną Rosję to główne treści „mitu założycielskiego” obozu solidarnościowego.

Pouczam „patriotów” i takiego samego rodzaju „liberałów”: jeśli dacie sobie wyperswadować tę nienawiść, to upadnięcie wskutek braku wewnętrznej spójności.

Z jakimi przekonaniami przystąpili do Okrągłego Stołu reprezentanci władzy?

W przeważającej mierze byli to ludzie pocziwi, którzy nie wiedzieli, jakie mają przekonania. Skłaniali się do poglądu, że rację mają przeciwnicy, a nie oni. Racja jest tam, gdzie stoi klasa robotnicza. Skąd czerpać pojęcia polityczne? Przecież nie ▶



... stronie rządowej – Czesław Kiszczak.

ze swoich pustych gazet i czasopism. Nie docenia się faktu, że najciekawszą lekturą członków aparatu były drukowane nasłuchczy Wolnej Europy, a najambitniejszą lekturą paryską „Kultura”, w której znajdowali teksty dobre lub złe, ale zawsze polemiczne. Krótko mówiąc, obóz partyjny był – przy najlepszej woli – intelektualnie całkowicie bezradny. Ale, przynajmniej, chcieli dobrze. Stanęli przed ostrymi i pilnymi problemami: jak zmienić ustrój, który w obecnej postaci istnieć nie może i nie powinien, i jak sobie poradzić z Solidarnością, której żadna zmiana ustroju nie zadowoli, jeśli nie ona, lecz kto inny obejmie władzę.

Komunizm (także w wersji realnego socjalizmu) polega na zniesieniu gospodarki rynkowej. Jeżeli przywraca się własność środków produkcji i wolność gospodarczą, to tym samym znosi się komunizm. To zostało dokonane przez rząd Rakowskiego i Wilczka, zanim powołano Okrągły Stół. Solidarności to, rzecz jasna, nie zadowoliło i Jaruzelski miał z nią kłopot taki jak poprzednio. Przy Okrągłym Stole nie rozważano, jaki ustrój ma w Polsce panować: komunizm czy kapitalizm, ponieważ ta kwestia już była rozstrzygnięta. Chodziło o „niekonfrontacyjne” podzielenie się władzą polityczną.

Drogą wyborów nie dochodzi się do demokracji. Jeśli wybory się ogłasza, to znaczy, że demokracja już jest.

Ogłoszenie wolnych wyborów już w samym założeniu rozstrzygało, że strona partyjno-rządowa je przegra, nie spotkałem człowieka, który by w prywatnej rozmowie twierdził, że będzie inaczej. Ale wybory nie z tego powodu nie były w pełni demokratyczne, że z założenia przesądzały, że wygra je Solidarność, a druga strona je przegra. Wybory były w pewnym sensie oszukańcze, ponieważ zmowa okrągłostołowa nie dopuściła do nich 40%, a może tylko jednej trzeciej – to też dużo – elektoratu. Społeczeństwu nie dano czasu na zorganizowanie się w stronnictwa i ogłoszenie swoich programów. Na stosunkach wewnętrznych w Polsce nadal ciąży ten fakt, że ekipa Jaruzelskiego nie dopuściła do pluralizmu politycznego, gdy można było to zrobić,

a później uległa Solidarności, która nie chciała mieć współzawodników w obozie „antykomunistycznym” i twardo swoją wolę egzekwowała. Dopuszczenie do udziału w wyborach innych ugrupowań Solidarność uznaby za dywersję przeciw sobie. Za taką akcją dywersyjną uznała słabe próby Stronnictwa Pracy zorganizowania się i wystąpienia z własną listą. Cenzura nie pozwalała pisać o tym stronnictwie.

Adam Schaff, który może nie był wielkim filozofem, ale niezłe orientował się w stosunkach politycznych, podsuwał Jaruzelskiemu myśl, że partia (z której został wyrzucony) powinna podzielić się władzą, ale nie z Solidarnością, broń Boże, w której widział zarodki tego, co dziś mamy, lecz z chadecją. Polska terminologia polityczna jest fantastycznie nieprecyzyjna i nie wiadomo dokładnie, co znaczy „chadecja”. Jeden z redaktorów „Tygodnika Powszechnego” (nie Turowicz) powiedział mi: „Gdyby władzę miała przejąć chadecja, to ja już wolę PZPR”. Był to człowiek, którego moglibyśmy widzieć w grupie kierowniczej chadecji. Chadecja nie mogłaby zastąpić Solidarności w roli głównego rozmówcy PZPR, ale mogłaby dać głos tej części społeczeństwa, którą partia i Solidarność zgodni nie skazały na polityczny niebyt.

Wybory 4 czerwca rozstrzygnęły problem władzy, ale nie problem ustroju. Ten został rozstrzygnięty przed wyborami i przed Okrągłym Stołem.

Nie dochodzi się do demokracji drogą wyborów. Jeśli wybory się ogłasza, to znaczy, że demokracja już jest. Polityka byłaby piękna, gdyby za pomocą wyborów można było obalić totalitaryzm. Ten wyborów nie ogłasza. Wszystko można sfałszować, pieniądze, wino i na co jeszcze padnie wzrok fałszerza. W krajach poradzieckich głosy liczą dokładnie, fałszują w inny sposób: nie pozwalając części społeczeństwa wyłonić swoich reprezentantów. Takie były wybory urządzone przez Okrągły Stół. Skutki cierpimy nadal.

Bronisław Łagowski

Ludwik Stomma

Wbrew lansowanemu dzisiaj tezom na przedwiośniu 1989 r. niewiele było jeszcze jasne. Owszem, przegrana polityczna i ekonomiczna ZSRR stanowiła już oczywistość, a co za tym idzie, struktury krajów demokracji ludowej czy Układu Warszawskiego odchodziły w przeszłość. Nikt nie był jednak w stanie przewidzieć, w jakich warunkach i na jakich zasadach nastąpi generalny rozpad. Przypomnijmy sobie bowiem, że w rękach satelitarnych przywódców państw bloku wschodniego, nie mówiąc o samym Kremlu, nadal były lokalne armie, policje, służby bezpieczeństwa, a w pewnej, nieznaney nikomu mierze także aparat partyjny. Nie można więc było wykluczyć, w Polsce również, konfrontacyjnych paroksyzmów mogących prowadzić nawet do rozlewu krwi. Z ubolewaniem trzeba stwierdzić, że już po fakcie wielu mędrków, w tym tak zasłużonych jak Jan Nowak-Jeziorański czy Zbigniew Herbert, ubolewało, że do owych ostateczności nie doszło, gdyż uwypukliłyby one wagę zachodzących przemian. Jakże łatwo szafować cudzą krwią!

Zbierający się przy Okrągłym Stole tego właśnie chcieli uniknąć, wychodząc z założenia, że sytuacja dojrzała do kompromisu i ugody, które zresztą musiały się stać (co sprawdziło się już po trzech miesiącach) początkiem lawinowych, ale ewolucyjnych przemian. Wolność miała być odzyskiwana etapami, bez powstańczej ideologii i wyjmowania noży z kieszeni. To się udało, przysparzając Polsce szacunku na całym świecie. W ojczystych dziejach pełnych powstań, nieustannych konfederacji, buntów i przewrotów stworzony został piękny precedens dochodzenia do ogromnych ustrojowych zwrotów bez gwałtu i ekstremizmów. W tym sensie był Okrągły Stół niepodważalnie wydarzeniem historycznym wielkiej wagi, dla Rzeczypospolitej wykraczającym nawet poza ramy XX w.

Od razu jednak, czyż u nas mogłoby być inaczej, rozpoczęła się krytyka. Pierwsza dotyczyła celowości Okrągłego Stołu. Poczekałibyśmy jeszcze chwilę – głoszą – a wol-

30 lat temu

Okrągły Stół był fenomenem na skalę światową.
Bez rozlewu krwi, bez jednej wybitej szyby
dokonała się transformacja ustrojowa

ność przysłałaby sama, bez paktowania i kompromisów z czerwonymi. Jest to argument z arsenału politycznego gdybania. Gdyby nie było ugody warszawskiej, nie wiadomo, jak dokładnie potoczyłyby się sprawy nie tylko w Polsce, ale i w innych demoludach. To nie runięcie muru berlińskiego przyniosło Rzeczypospolitej wolność, ale zmiany w Polsce poniekąd je spowodowały, gdyż NRD wciśnięta między wolną Polskę a RFN traciła jakąkolwiek rację bytu. Zapewne mur padłby i tak, ale kiedy (na pewno później) i w jakich okolicznościach – to wróżenie z fusów. A mogłyby się spełnić zgoła ponure scenariusze.

Drugi zarzut dotyczył reprezentatywności gremium zasiadającego przy Okrągłym Stole. Podniósł tę kwestię mecenas Władysław Siła-Nowicki już w dniu inauguracji rozmów, 6 lutego 1989 r. Kwestia jest tutaj bardziej złożona. Zaczniemy od strony rządowej. Trzeba zaiste między bajki włożyć wszechwiedzę służb specjalnych, skoro informo-

wane przez nie władze uparcie nie chciały się zgodzić na obecność w ekipie solidarnościowej m.in. Kuroń i Michnika, polityków akurat umiarkowanych i rozumiejących uwarunkowania geopolityczne. Władza miała ich za ekstremistów, ba, diabłów wcielonych – jak opowiadał później Wojciech Jaruzelski. Z kolei strona opozycyjna, widząc ten opór adwersarza (tak zamykało się koło

Kościół ustami swoich „obserwatorów”, Alojzego Orszulika i Bronisława Dembowskiego, nawoływał do umiaru i eliminowania skrajności.

nieporozumienia), bała się jak ognia rzeczywistych nosicieli skrajnych poglądów w swoich szeregach, gdyż mogliby oni wręcz udaremnić porozumienie. Istotną rolę odgrywał tu również Kościół katolicki, później tak triumfalistycznie budujący swoją martyrologiczno-heroiczną antykomunistyczną legendę, który wtedy jednak ustami swoich „obserwatorów”, Alojzego Orszulika i Bronisława Dembowskiego, nawoływał do umiaru i eliminowania skrajności, co

było zresztą stanowiskiem ze wszechmiar uzasadnionym.

W sumie zaowocowało to dość jednostronnym doбором dysutantów po stronie solidarnościowej. Czy w ówczesnych warunkach można było rozszerzyć spektrum uczestników obrad? Wydaje się, że tylko w niewielkim stopniu. Niemniej jednak to właśnie skład grupy opozycyjnej przy Okrągłym Stole, a nie merytoryczny wynik jego obrad, miał się stać niemal od pierwszej chwili celem ataków i insynuacji, które miast cichnąć z latami, potężnieją i radykalizują się do dzisiaj.

Podczas końcowego posiedzenia Okrągłego Stołu Lech Wałęsa oświadczył: „Po raz pierwszy rozmawialiśmy ze sobą, posługując się siłą argumentów, a nie argumentami

siły. To dobrze wróży na przyszłość. Uważam, że obrady Okrągłego Stołu mogą stać się początkiem drogi do demokratycznej i wolnej Polski”. I rzeczywiście – tym początkiem się stały. Udowodniła to historia, takie też było powszechne przekonanie. Siłą rzeczy owo spotkanie dwóch stron stało się załącznikiem, początkiem nowej Polski. I to symboliczne jego znaczenie było nie do zaakceptowania dla najsłabszych środowisk. Fanatycy nie mogli się pogodzić ▶



Ważną rolę w negocjacjach odgrywał Kościół. W Magdalence rozmawiali m.in.: ks. Bronisław Dembowski, Jacek Ambroziak – radca prawny w Sekretariacie Episkopatu Polski, Bronisław Geremek – doradca Solidarności, Jacek Kuroń – członek Komitetu Obywatelskiego, Aleksander Kwaśniewski – przewodniczący Komitetu Społeczno-Politycznego Rady Ministrów; 29 marca 1989 r.

z tym, że w budowie początków nowej Polski mogli brać udział „komuniści”, innych radykałów oburzał brak antyradzieckich i antyrosyjskich akcentów, wytykano zaniechanie takich czy innych kwestii lub – nie bez pewnej słuszności – wódczane bratanie się uczestników z obu stron...

Przed wszystkim zagrały jednak ambicje i ambicji personalne. Przeczut to boleśnie Mikołaj Kozakiewicz, mówiąc 5 kwietnia 1989 r., że „jeszcze nie widziano takiego porozumienia, które by nie zawierało załączków nowych nieporozumień”. Chodziło najpierw o dopisanie nazwisk do listy „akuszerów” wolnego państwa. Ta jednak, jak wspomnieliśmy, była raczej zamknięta. Zaczęto więc systematycznie umniejszać znaczenie Okrągłego Stołu, by wreszcie doprowadzić go do „zdrady narodowej”. Ta karkołomna i jawnie kłamliwa interpretacja weszła nawet do oficjalnej wykładni dziejów wypichconej przez aktualnie rządzących w Rzeczypospolitej. I chodzi tu nawet nie o to, że dziwnie brzmią podobne oskarżenia w ustach Jarosława Kaczyńskiego, którego brat uczestniczył w tamtych obradach, ale o opluwanie tego, co było wspólnym osiągnięciem Polaków z wielu w końcu brzegów, co w naszej historii tak rzadko się zdarza. „Okrągły Stół – pisał Andrzej Garlicki – był fenomenem na skalę światową. Bez rozlewu krwi, bez jednej nawet wybitej szyby dokonała się transformacja ustrojowa. Nikt, poza politycznymi marzycielami, nie mógł przewidzieć takiego biegu wydarzeń”. W tym ostatnim jednak się myli.

W sytuacji geopolitycznej w Europie na przedwiośniu 1989 r. nie tylko marzyciele, ale i surowi realisci mogli wierzyć w pozytywne konsekwencje Okrągłego Stołu. Natomiast tylko marzycielom mogło się wydawać, że jego uczestnicy zostaną docenieni i nie będą musieli powtarzać tragicznego stwierdzenia margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, że „dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić, z Polakami nigdy”. Widać to choćby po dzisiejszym stosunku władz do Wałęsy. Tak oto rocznicę, która wreszcie mogłaby być radosną, obchodząc będziemy z goryczą. Sami opluwamy własne dzieje, nie potrzeba żadnych „antypolonizmów”.

Ludwik Stomma

Okrągły Stół?

Jaki Okrągły Stół?

O tym, że transformacja jest wspólnym dziełem obozu solidarnościowego i lewicy, się nie mówi

Jan Widacki

Przypomnijmy w największym skrócie najważniejsze wydarzenia lata 1980 r. Strajki zapoczątkowane na Wybrzeżu rozlały się po całym kraju. Przerazenie władzy było ogromne. Z jednej strony, wystraszyła się własnych obywateli, z drugiej – bała się „bratniej pomocy” innych państw Układu Warszawskiego z ZSRR na czele. Chcąc złapać oddech, podpisano porozumienia ze strajkującymi: w Gdańsku, Szczecinie, Jastrzębiu-Zdroju, a także z rolnikami w Ustrzykach i Rzeszowie. Dotyczyły one postulatów strajkujących. Większość miała charakter ekonomiczny i była skrajnie nierealistyczna, a więc niewykonalna. Zgodzono się np. na „podniesienie zasadniczego uposażenia każdego pracownika o 2 tys. zł na miesiąc”, „zagwarantowanie automatycznego wzrostu płac równoległe do wzrostu cen i spadku wartości pieniądza”, „obniżenie wieku emerytalnego dla kobiet do 55 lat, a dla mężczyzn do 60”, „skrócenie czasu oczekiwania na mieszkanie”.

Godząc się na te postulaty, a równocześnie na postulaty z pozoru niepolityczne, takie jak „akceptacja niezależnych od partii wolnych związków zawodowych” czy „zagwarantowanie prawa do strajku”, przy równoczesnym poszanowaniu konstytucji PRL (tej z 1952 r.), gwarantującej formalnie m.in. wolność słowa i druku, władza zastawiła na siebie pułapkę. Społeczeństwo dostało instrumenty walki o spełnienie postulatów, które były nie do zrealizowania. Nowo powstały związek zawodowy Solidarność wkrótce zrzeszył ponad 10 mln ludzi. Społeczeństwo poczuło swoją siłę. Władza znalazła się na straconej pozycji. Korzystając z wąsko uchylonych drzwi do wolności, społeczeństwo zaczęło

zgłaszać coraz śmielsze postulaty, także natury ściśle politycznej. Coraz powszechniej, choć zrazu ostrożnie, kwestionowano panujący ustrój (stynne „socjalizm tak – wypaczenia nie” Lecha Wałęsy), podległość ZSRR, kierowniczą rolę PZPR. Niewydolna już wcześniej gospodarka centralnie sterowana, oparta na wiecznych niedoborach, dobijana była ciągłymi strajkami, podejmowanymi z lada powodu. Równocześnie miliony Polaków zaczęły snuć sen o wolności. Sen. Bo rzeczywistość była taka, jaka była. Żył jeszcze Breżniew i funkcjonowała jego doktryna, istniał Układ Warszawski. W Polsce stacjonowała Północna Grupa Wojsk Armii Radzieckiej. Wszyscy nasi sąsiedzi: Związek Radziecki, Czechosłowacja i Niemiecka Republika Demokratyczna, patrzyli z niepokojem na rewolucję Solidarności, gotowi czynnie ją przerwać. Walila się gospodarka.

W tej sytuacji gen. Wojciech Jaruzelski wprowadził stan wojenny. Czy uratowało to nas przed radziecką interwencją, czy nie, o to jeszcze przez dziesięciolecia będą się spierać historycy. Jaruzelski był pewien, że gdyby nie wprowadził stanu wojennego, interwencja by nastąpiła. Pamiętamy stan wojenny jako okres internowania setek działaczy Solidarności, aresztowań wielu jej liderów, manifestacji brutalnie rozpędzanych przez ZO-MO, wężące wszędzie bezpieczeństwa. Ale, o czym pamiętamy już słabiej albo zgoła nie pamiętamy wcale, był to także okres prób reformy państwa (tak!). W 1982 r. utworzono Trybunał Konstytucyjny i Trybunał Stanu. W 1983 r. weszła ustawa, która po raz pierwszy w pewnym stopniu regulowała kompetencje Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa, a w 1987 r. ustanowiono urząd Rzecznika Praw Obywatelskich. Równocześnie pogłębiał się kryzys ekonomiczny. Gospodarka była w stanie ruiny. Społeczeństwo,

które przez krótki czas przed stanem wojennym zasmakowało wolności, tym trudniej znosiło teraz jego represje. Rosła frustracja. Fala strajków w 1988 r. nie tylko nie obaliła władzy, ale również spotkała się ze stosunkowo słabym poparciem zmęczonego już społeczeństwa. Jednak właśnie te strajki przekonały przywódców Solidarności, że w ten sposób władzy nie obalą. Wśród wielu przedstawicieli władzy, głównie młodszego pokolenia, rosło zaś przekonanie, że tak dalej rządzić się nie da.

Z tego zrodziła się idea Okrągłego Stołu. Zdecydowano się na rozmowy, prowadzono je w Pałacu Namiestnikowskim (dziś Prezydencjum). Rozmowy w mniejszym gronie toczono w willach MSW w Magdalence i w centrum Warszawy, przy ul. Zawrat. Przedstawiciele strony solidarnościowej i strony rządowej osiągnęli kompromis. Jego owocem były częściowo wolne wybory do Sejmu 4 czerwca 1989 r. Po tych wyborach przedstawiciele Solidarności, jako Obywatelski Klub Parlamentarny, w koalicji ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym utworzyli pierwszy niekomunistyczny rząd pod prezesurą Tadeusza Mazowieckiego. Dokonała się zmiana władzy i zmiana ustroju.

Było to możliwe, gdyż zmieniły się także warunki zewnętrzne. Po śmierci Breżniewa i dwóch kolejnych jego następców sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego został Michaił Gorbaczow. Zaczęły się *perestrojka* i *glasnost*. Związek Radziecki znalazł się w głębokim kryzysie gospodarczym,

politycznym i narodowościowym. A próba naprawy podjęta przez Gorbaczowa okazała się kuracją, której pacjent nie przeżył. Rozpad ZSRR po puczu Janajewa w 1991 r. pozwolił później na dokończenie reform w Polsce i w pozostałych krajach regionu.

Na pierwszego prezydenta Zgromadzenie Narodowe wybrało Wojciecha Jaruzelskiego. Początkowo w rządzie pozostawali jeszcze gen. Florian Siwicki jako minister obrony narodowej i gen. Czesław Kiszczak jako minister spraw wewnętrznych. Ich obecność, a przy tym lojalność wobec nowej władzy, chroniła przed buntem resortów siłowych, umożliwiając ich przebudowę i oddanie

Wszyscy nasi sąsiedzi patrzyli z niepokojem na rewolucję Solidarności, gotowi czynnie ją przerwać.

pod cywilną kontrolę. Gen. Jaruzelski dobrowolnie skrócił swoją kadencję. Pierwszym prezydentem wybranym w powszechnych wyborach został Lech Wałęsa. Sejm wybrany w czerwcu 1989 r. (zwany często Sejmem kontraktowym) po przeprowadzeniu zasadniczych reform państwa też dobrowolnie skrócił kadencję. Następny został już wybrany w całkowicie wolnych wyborach.

W czasie Okrągłego Stołu i po nim byłem po stronie solidarnościowej. Brałem udział w przebudowie struktur państwa polskiego. Ale od samego początku byłem też gorącym zwolennikiem idei grubej kreski Tadeusza Mazowieckiego. Dla ścisłości dodam, że Mazowiecki użył określenia gruba linia. Chodziło

w skrócie o to, że wrogie sobie dotąd strony – jak dziś byśmy powiedzieli, „dwa polskie plemiona” – zakończyły wojnę. Skończyła się odkreślona grubą linią przeszłość. Teraz razem chcą budować przyszłość. Polska jest jedna i jest dla wszystkich Polaków. Bez względu na to, po której stronie Okrągłego Stołu zasiadali. Stół i jego następstwa to największy sukces Polaków od stuleci. Wspólne osiągnięcie obydwu stron.

Gruba kreska od razu miała też przeciwników. Uważali, że kompromis jest przejawem słabości, a może nawet zdrady. Krzyczeli, że z komunistami nie należało się układać, tylko trzeba ich zniszczyć. A skoro przyjęto

taki kompromis, bo nie było innego wyjścia, teraz należy dokończyć dzieła. Stąd powracające pomysły lustracyjne, dekomunizacyjne, dezubekizacyjne. Obca im była nie tylko zasada *pacta sunt servanda*, ale nawet zwykła ludzka uczciwość. To przeciwnicy grubej kreski jako pierwsi na nowo podzielnili naród. O tym, że polska transformacja jest wspólnym dziełem obozu solidarnościowego i lewicy, po prostu się nie mówi.

Idea grubej kreski odeszła wraz ze środowiskiem Unii Wolności. PO, rządząca przez osiem lat, nie potrafiła zlikwidować Instytutu Pamięci Narodowej, sama uchwaliała kompromitującą ustawę dezubekizacyjną. „Gazeta Wyborcza” nie wiem na czym opierała przekonanie, że „SLD mniej wolno”.

Wynaturzona, pisana na nowo historia największe polskie osiągnięcie po roku 1918, jakim był Okrągły Stół, traktuje niemal jak zdradę. Nazywanie autentycznego przywódcy, jakim w latach 80. był Lech Wałęsa, esbeckim agentem „Bolkim”, węszenie spisków i agenturalnych powiązań prowadzić musi do logicznego wniosku, że komunizm w Polsce obalili w gruncie rzeczy gen. Kiszczak, jego oficerowie i ich tajni współpracownicy, przy pomocy różnych „walenrodzików” w rodzaju prokuratora Piotrowicza, sędziego Kryże czy prof. Zybertowicza, przy bliżej nieokreślonej, ale niewątpliwie wielkiej roli braci Kaczyńskich. Schizofrenia paranoiczna stała się doktryną. ■



Tłumy czekały na przyjazd delegacji Solidarności do Pałacu Namiestnikowskiego.

GEOLOGIA TO JA

Niewykluczone, że wkrótce wydobyć i przetwarzanie polskich bogactw naturalnych stanie się okazją do wyprowadzania pieniędzy publicznych w prywatne ręce

Andrzej Dryszel

Takie mogą być skutki ustawy o utworzeniu Polskiej Agencji Geologicznej, której projekt powstał pod rządami PiS. O przyjęcie ustawy zabiega kierujący polską geologią prof. Mariusz Orion Jędrysek, od listopada 2015 r. główny geolog kraju, sekretarz stanu i pierwszy zastępca ministra środowiska, a także pełnomocnik rządu ds. polityki surowcowej państwa i poseł PiS. On jest też odpowiedzialny za opracowanie projektu ustawy.

Jak stwierdził geolog dr Tomasz Nałęcz, PAG to antypaństwowy i antynarodowy przekręt. Agencja miała by zastąpić Państwowy Instytut Geologiczny, przejmując jego majątek i część pracowników. Sekcja Krajowa Geologiczno-Wiertnicza NSZZ Solidarność uważa, że byłby to „zabór mienia instytutu stanowiący formę zorganizowanej grabieży”.

Szefowie Krajowego Związku Zawodowego Geologów w PiG i tamtejszej Solidarności napisali wspólnie do premiera Mateusza Morawieckiego, że istnieje zagrożenie bezpieczeństwa geopolitycznego Polski. PAG będzie bowiem „praktycznie niekontrolowanym podmiotem”, a ustawa, która ją powołuje, dotyczy zarządzania wartymi biliony złotych surowcami i sterowania dostępem do nich.

ORĘŻ GEOLOGICZNEJ WŁADZY

Nowa agencja stanie się organem wykonawczym głównego geologa kraju, pełniąc jednocześnie funkcje państwowej służby geologicznej. Dziś tymi zadaniami zajmuje się Państwowy Instytut Geologiczny, prowadzący również badania naukowe. Służba geologiczna rozpoznaje budowę geologiczną kraju i wykrywa ewentualne zagrożenia (np. dla prac bu-

dowlanych), określa zasoby bogactw naturalnych, przygotowuje materiały konieczne do udzielania koncesji na wydobywanie surowców, sporządza mapy geologiczne.

PAG będzie robić to samo, co dziś PiG, ale nie tylko. Oprócz zleceń zadań na zewnątrz PAG, zgodnie z projektem ustawy, miałyby udzielać przedsiębiorcom wsparcia finansowego w formie pożyczki lub dotacji na różne działania gospodarcze. Może to być np. rozwijanie nowych sposobów poszukiwania i wydobywania surowców oraz ich późniejszego przerabiania, metod przetwarzania odpadów czy

PAG to antypaństwowy i antynarodowy przekręt.

rekultywacji gruntów. Wszystkie takie prace są bardzo kosztowne. O tym, kto dostanie wsparcie, ma decydować konkurs rozpisany przez prezesa przyszłej PAG. To ważny zapis, który umożliwi różnym firmom – także koncernom zagranicznym – uzyskanie na swoją działalność dużego zastrzyku finansowego ze środków państwowych (jego wysokość nie jest ograniczona w ustawie). Oczywiście to dobrze, jeśli firmy zechcą wdrażać w Polsce innowacyjne technologie przemysłowego przerobu surowców czy będą zajmować się ich wydobywaniem w nowoczesny sposób. To jednak one powinny raczej w tym celu u nas inwestować, a nie uzyskiwać środki na działania od państwa polskiego. Udzielaniem wsparcia tym firmom nie powinna też się zajmować państwowa służba geologiczna, bo może wejść w konflikt interesów. Zwłaszcza zaś nie powinna mieć na to tak dużego wpływu jedna osoba, czyli prezes przyszłej PAG.

„Uchwalenie ustawy o Polskiej Agencji Geologicznej znacznie pogorszy przejrzystość i kontrolę sprawowaną nad wydatkowaniem pieniędzy

publicznych, które znajdują się w jednym ręku – prezesa PAG, który z kolei będzie mógł je wydawać znacznie swobodniej (co może oznaczać także ryzykowniej) niż obecnie. Nad działaniami prezesa PAG nie ma skutecznej kontroli poza bardzo ogólnym, słabym pod względem uprawnień, nadzorem ministra, któremu pozostaje tylko »zaufanie«, oświadcza Zbigniew Kuszlewicz, przewodniczący Krajowego Sekretariatu Zasobów Naturalnych Ochrony Środowiska i Leśnictwa NSZZ Solidarność. Związek zarzuca, że ustawa umożliwi wydawanie publicznych pieniędzy przez PAG „w dowolnym miejscu na Ziemi”, a „pieniądze można utopić wszędzie, uzasadniając m.in. niegospodarność tzw. ryzykiem geologicznym”.

Można zatem wyobrazić sobie sytuację, że na terenach, które nowa agencja (czyli jej prezes) uzna za bardziej zasobne w złoża surowców, duże wsparcie trafi do niektórych bliżej zaprzyjaźnionych firm. Albo zawyżona zostanie zasobność złóż, by jakaś firma uzyskała dotację na innowacyjne

metody wydobywcze – choć ta firma wcale nie chciałaby tego robić, bo zależałoby jej tylko na zdobyciu dotacji.

Ostateczną decyzję o wsparciu podejmuje jednoosobowo prezes PAG, który zgodnie z projektem ustawy odpowiada za gospodarkę finansową przyszłej agencji oraz zarządzanie jej majątkiem. Ponadto prezes PAG już bez żadnych konkursów ma decydować o udzielaniu wsparcia samorządom i ich spółkom oraz firmom państwowym na zagospodarowanie zdegradowanych gruntów. Jak napisał dr Tomasz Nałęcz, oceniając projekt ustawy, spółki już czekają na wielomilionowe zlecenia od prezesa PAG.

„Korupcjogenne jest też łączenie stanowiska prezesa PAG z działalnością dydaktyczną na uczelniach. Łatwo wyobrazić sobie sytuację, w której uczelnie będą się ustawiały w kolejce, aby zatrudnić prezesa PAG w zamian za intratne zlecenia na badania, zwłaszcza za pośrednictwem stowarzyszeń i prywatnych firm pracowników uczelni”, podkreśla Zbigniew Kuszlewicz z Solidarności.

Obawa o manipulowanie wynikami badań zasobności złóż może się

wydawać przesadzona, ale warto np. zwrócić uwagę na sytuację z 2016 r., gdy Państwowy Instytut Geologiczny sporządził kolejny raport o zasobach gazu łupkowego w Polsce. Poprzednie opracowanie, z 2012 r., zostało normalnie opublikowane – lecz w 2016 r. naszą geologią rządził już wiceminister Jędrysek, który nie zatwierdził raportu, utajnił go, oświadczył, że jest „bzdurny merytorycznie” i wadliwy, oraz zażądał informacji o jego autorach pod kątem ich dorobku i predyspozycji do sporządzenia rzetelnego, obiektywnego dokumentu. I nie miało żadnego znaczenia, że raport ten przygotowała 15-osobowa grupa fachowców, zgodnie z wszelkimi regułami nauki i metodyki. To sygnał, że tak może się stać i z innymi wynikami badań geologicznych, które nie będą się podobać szefostwu.

NIEUSUWALNY

Zgodnie z projektem ustawy prezes Polskiej Agencji Geologicznej będzie powoływany przez ministra środowiska na pięcioletnią kadencję (najwyżej dwie) – i praktycznie nieusuwalny. Postulowano, by prezesa PAG wybierano w drodze konkursu, ale wiceminister Jędrysek odrzucił ten pomysł.

Rada Legislacyjna przy premierce, badając projekt ustawy, kilkakrotnie wytknęła nieprecyzyjne zapisy – ale w jednym przypadku zauważyła precyzję bardzo daleko idącą, stwierdzając: „W odróżnieniu od wielu innych funkcji kierowniczych, projektodawca wzmacnia ochronę kadencji Prezesa PAG, albowiem ściśle limitowane i precyzyjnie sformułowane mają być przypadki uprawniające do jego odwołania z pełnionej funkcji. Minister może odwołać Prezesa PAG przed upływem kadencji jedynie w przypadku niezłożenia w wymaganym terminie sprawozdania rocznego, a nie jak zwykle bywa w takich przypadkach – w razie odrzucenia sprawozdania”. Czyli odwołanie nie może nastąpić w przypadku niewłaściwego wykonywania pracy przez prezesa.

Ryzyko związane z dużym wpływem jednej osoby na przepływ państwowych środków w prywatne ręce jest istotnym powodem powszechnej krytyki, z jaką spotyka się projekt ustawy o PAG.

Jak powiedział np. przewodniczący Krajowego Związku Zawodowego Geologów Polskiego Instytutu Geologicznego Rafał Janica, chodzi tu o to, żeby wydzielić „prywatną” agencję, która realizowałaby pomysły wiceministra Jędryska. Koresponduje to z uwagą Rady Legislacyjnej, która zgłosiła „zastrzeżenia do zamierzonego odstąpienia od stosowania względem PAG reguł systemu prawa finansów publicznych (zwłaszcza pozostawienia do jej dyspozycji niemal



Mariusz Orion Jędrysek jest posłem PiS popieranym przez o. Rydzka.

całych nadwyżek finansowych)”. Jak zapisano w projekcie, agencja może utworzyć dowolną liczbę funduszy, na których musi zostać 95% nadwyżki, a tylko 5% trafi do budżetu państwa.

Komitet Nauk Geologicznych PAN ocenił, że „projekt jest sprzeczny z duchem i zapisami Konstytucji RP, ustawy o finansach publicznych, prawa geologicznego i górniczego”.

Pojawiły się też zarzuty, że w pisaniu ustawy mogli uczestniczyć lobbysci, zatrudnieni w Ministerstwie Środowiska przez wiceministra Jędryska. Tak się bowiem składa, że dyrektor Departamentu Polityki Surowcowej i Analiz resortu środowiska Hubert Schwarz to prezes Stowarzyszenia Kopalń Odkrywkowych, skupiającego właścicieli tych kopalń i osoby dozoru. Ekspertem stowarzyszenia jest zaś dr Jolanta Maj, wicedyrektor Departamentu Geologii i Koncesji Geologicznych.

Stowarzyszenie Kopalń Odkrywkowych (z siedzibą we Wrocławiu, skąd posłem PiS jest wiceminister Jędrysek) zapewne mogłoby być żywo zainteresowane uzyskaniem dotacji z PAG. W dodatku statutowym celem stowarzyszenia jest działalność lobbingsowa w celu wpływania na treść aktów prawnych normujących problematykę górnictwa.

Planowana ustawa przekieruje środki publiczne, które dotychczas znajdowały się w kurateli Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, pod zarządek jednej osoby – prezesa PAG. Będzie to bardzo droga operacja, bo zapisany w projekcie ustawy koszt funkcjonowania nowej agencji ma rosnąć od 534 mln zł zaplanowanych na ten rok do 630 mln zł w roku 2027. Przez te dziewięć lat daje to 5,38 mld zł – a będzie więcej, bo zapisane na papierze skutki finansowe ustaw są zwykle zaniżone. Tymczasem roczny budżet PIG, działającego od 100 lat i z powodzeniem wykonującego wszelkie zadania służby geologicznej oraz prace badawcze, to ok. 135 mln zł.

Rada Legislacyjna dziwi się więc, że „projektodawca wskazuje, iż utworzenie PAG spowoduje obniżenie kosztów wykonywania zadań państwa z zakresu geologii”, podczas gdy w rzeczywistości nastąpi „znaczący wzrost wydatków na cele związane z funkcjonowaniem PAG”.

SCHODZENIE NA DNO

Wiceminister Jędrysek, dążąc do utworzenia nowej agencji, zwalcza nadzorowany przez siebie PIG, ogranicza środki na jego funkcjonowanie, utrudnia mu wykonywanie zadań. Odbija się to na polityce surowcowej Polski, powoduje marnotrawienie pieniędzy i zmniejsza zyski, jakie nasz kraj mógłby czerpać z wydobywania bogactw naturalnych. Przykładów można podać aż nadto.

Zdaniem prof. Jędryska poszukiwania gazu łupkowego były u nas źle prowadzone i nie przynosiły oczekiwanych korzyści. Trzy lata temu, zostając głównym geologiem kraju i wiceministrem środowiska, profesor zyskał możliwość naprawienia błędów poprzedników. Efekty osiągnął błyskawicznie. W 2014 r. w Polsce było 15 czynnych odwiertów

► poszukiwawczych gazu łupkowego. Na koniec 2015 r. – tylko cztery. W kolejnych latach – już żadnego...

Prawie pięć lat temu PIG rozpoczął budowę nowego magazynu rdzeni (próbek uzyskanych z wierceń) w Leszczach k. Kłodawy. Inwestycja uzyskała pozytywną opinię poprzedniego głównego geologa kraju, przeszła wszelkie akceptacje i uzgodnienia, miała być ukończona w ubiegłym roku. W czerwcu 2016 r. wiceminister wstrzymał prace, bo uznał, że nie zostały poprzedzone rzetelną analizą – i zapowiedział, że sam ją przeprowadzi. Instytut stracił 1,17 mln zł, minęło dwa i pół roku, magazyn nie powstał, o analizie nic nie słychać.

W roku 2014, ostatnim przed nastaniem „dobrej zmiany”, PIG – w dużej mierze dzięki swoim ekspertom i badaniom – osiągnął zysk 0,97 mln zł. Potem były już tylko straty – na koniec 2017 r. aż 5,44 mln zł.

Działalność PIG jest finansowana z dotacji Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Są one przekazywane na podstawie umów między NFOŚiGW a instytutem, zawieranych na wykonanie zadań PIG. Obie instytucje nadzoruje wiceminister Jędrysek, który akceptuje też zadania dla PIG. Pod jego rządami wzrosły opóźnienia w podpisywaniu tych umów – a więc i w przesyłaniu środków z NFOŚiGW. W 2017 r. PIG nie miał podpisanych umów na prawie 18 mln zł, a pod koniec 2018 r. na 14 mln zł. Opóźnienia w większości przekraczały rok. Skoro

wiceministra, kupił za 29,5 tys. euro współrzędne tego terenu od Ogólnorosyjskiego Naukowo-Badawczego Instytutu Geologii i Zasobów Mineralnych Oceanu Światowego w Petersburgu. Nie było oczywiście umowy z NFOŚiGW na wydatkowanie obu tych kwot, toteż instytut musiał je wyłożyć z własnych środków. Według wiceministra Jędryska badania dna mogłyby się zacząć już wiosną 2018 r. (ale naturalnie nie zaczęły się do dziś).

Jeszcze żadne państwo nie rozpoczęło komercyjnego wydobywania surowców z dna morskiego, bo to skomplikowane i kosztowne. Nie wiadomo też, czy z fragmentu dna, który Polska miałaby badać, kiedykolwiek będzie można coś wydobywać, gdyż międzynarodowa Konwencja o różnorodności biologicznej uznaje ten rejon za mający szczególne znaczenie ekologiczne. Wydatek jednak już się opłacił. W ubiegłym roku wiceminister Jędrysek został przewodniczącym Zgromadzenia Międzynarodowej Organizacji Dna Morskiego (na rok).

OCENA AŻ TRUDNA DO OSIĄGNIĘCIA

To, jak Jędrysek kieruje polską geologią, zostało zbadane w specjalnym wewnętrznym audycie, przeprowadzonym we wrześniu 2018 r. w Ministerstwie Środowiska i obejmującym departamenty nadzorowane przez wiceministra (czyli minister pociągnął do siebie swojego pierwszego zastępcę). Raport z audytu

wierzonych zadań PIG nie dostawał zaplanowanych środków i musiał wziąć 6 mln zł kredytu.

Nie przygotowywano wniosków o realizację prac geologicznych, gdyż nie istnieje Polityka Surowcowa Państwa (za co odpowiada wiceminister Jędrysek). W zarządzanych przez niego departamentach dochodziło do częstych zmian na stanowiskach kierowniczych (np. w departamencie nadzoru geologicznego sześciu dyrektorów i pięciu zastępców w ciągu około dwóch i pół roku) i panował brak zaufania do pracowników. Przekładało się to na atmosferę pracy i skłaniało ludzi do odejścia.

Opóźnione są postępowania koncesyjne w sposób naruszający Kodeks postępowania administracyjnego – co spowodowało prawie 3 mln zł strat. Podobno w departamentach analizowano liczbę i czas udzielanych koncesji, ale brakuje dokumentacji, która by to potwierdzała. Istnieje natomiast Zespół ds. Analiz, który jednak tak dalece niczego nie analizuje, że audytorzy uznali go za zbędny. Istnieje także Wydział ds. Legislacji, który wszakże nie prowadzi żadnych projektów legislacyjnych. Z kolei ważny Wydział Kopalni Stalych od lipca 2016 r. nie ma szefa.

Tyle audyt. Właściwie nie wiadomo, co jeszcze bardziej krytycznego można by powiedzieć o pracy wiceministra Jędryska... Ale jest on pośłem PiS popieranym przez o. Tadeusza Rydzyka (prowadzącego duże inwestycje geotermalne). To zaś oznacza rządową gwarancję nietykliwości dla wiceministra i jego działań (czy raczej zaniechań).

W grudniu szefowie związków zawodowych działających w PIG wystosowali – po raz drugi – wspólną petycję do ministra środowiska Henryka Kowalczyka o „zaprzestanie dalszego procedowania szkodliwej dla Państwa ustawy o PAG”, o pilną dymisję wiceministra Jędryska, „którego nastawiona na prywatne i partykularne interesy działalność szkodzi Państwu Polskiemu”, oraz o analizę strat finansowych powstałych w departamentach i jednostkach podległych wiceministrowi. Odpowiedzi nie było.

DIALOG SPOŁECZNY

Projekt ustawy o PAG wywołuje niemiłą falę krytyki. Mimo to

Spółki już czekają na wielomilionowe zlecenia od prezesa PAG.

nie ma umów ani pieniędzy, PIG musi brać kredyty, by finansować swoje zadania, co wpływa na jego straty.

Instytut musi poza tym wydawać pieniądze na zadania, których nie planowano. W 2017 r. na telefoniczne polecenie od wiceministra Jędryska zapłacił w trybie nagłym 0,5 mln dol. Międzynarodowej Organizacji Dna Morskiego z siedzibą na Jamajce – za rozpatrzenie wniosku o przyznanie Polsce 15-letniej (możliwej do przedłużenia) koncesji na poszukiwanie surowców pod dnem środkowego Atlantyku. Chodzi o ok. 1000 km kw. dna na głębokości od 1800 do 2400 m. Nie wiadomo było, gdzie to jest, więc PIG, również na polecenie

stwierdza, że zauważono słabości w procesie planowania i podejmowania decyzji strategicznych, powielanie czynności przez różne komórki organizacyjne, brak bieżącej analizy problemów i skutecznego ich rozwiązywania, rozproszenie kompetencji w sprawach legislacyjnych (jeden z departamentów w ogóle nie wykonywał tu swoich obowiązków), brak nadzoru nad realizacją powierzonych zadań. W obszarze geologii nie ma dokumentu strategicznego, który określałby cele i wskazywał sposób ich osiągnięcia. W związku z długotrwałym opiniowaniem przez ministerstwo wniosków o finansowanie oraz zmienianiem decyzji co do po-

5 grudnia wiceminister Jędrysek przekazał go Radzie Ministrów. 11 grudnia projekt miał już „stać na rządzie”, lecz w ostatniej chwili spadł z porządku obrad. Dwa dni później geolodzy protestowali pod Ministerstwem Środowiska, sprzeciwiając się ustawie o PAG i przejściu państwowych pieniędzy oraz mienia PIG.

„Procedowanie projektu ustawy o PAG odbyło się z drastycznym naruszeniem prawa. Wymagane prawem konsultacje społeczne nie zostały przeprowadzone (...). Pan min. Jędrysek próbuje ukryć ten fakt w manipulacyjny sposób, wykorzystując do tego konsultacje, jakim

„Główny Geolog Kraju prowadzi szeroko zakrojoną akcję dyfamacyjną PIG, która ma rzekomo przemawiać za koniecznością powstania PAG. Niekiedy formułowane przez niego zarzuty dotyczące PIG ocierają się o groteskę”. Na przykład ten, że ostatnia mapa geologiczna Polski przygotowana przez PIG pochodzi z 1971 r., podczas gdy w rzeczywistości powstała w 2006 r.

Do tego samego adresata napisał Krajowy Sekretariat Zasobów Naturalnych Ochrony Środowiska i Leśnictwa NSZZ Solidarność, wskazując „jaskrawy przykład nierzetelności”, jakim było wystąpienie wiceministra

i potencjalnie niebezpieczny dla interesów Państwa”.

Krajowy Sekretariat Zasobów Naturalnych napisał też do wiceministra Jędryska, wskazując: „Debatę merytoryczną szybko Pan przeniósł na poziom prawno-polityczny, stosując metodę faktów dokonanych (...). Nawet kolejni mianowani przez Pana dyrektorzy PIG szybko orientowali się, do czego prowadzi Pańska polityka – i wyrażali to oficjalnie, za co ich Pan dymisjonował”. W istocie, od objęcia urzędu głównego geologa kraju prof. Jędrysek aż pięciokrotnie zmieniał dyrektorów PIG.

Ostatni, jak na razie, zwolniony szef instytutu dr Tomasz Nowacki 21 listopada ub.r. napisał do prezesa Rządowego Centrum Legislacji Jolanty Rusiniak: „Nie ma żadnego uzasadnienia dla powoływania odrębnego podmiotu, określanego jako Polska Agencja Geologiczna (...). Utworzenie PAG spowoduje chaos w funkcjonowaniu państwowej służby geologicznej. (...) Wejście w życie ustawy o PAG spowoduje niezliczone problemy praktyczne, w wielu przypadkach niemożliwe wręcz do rozwiązania”. Dwa dni później już go nie było.

Słowa krytyki dotyczące ustawy o PAG są konsekwentnie ignorowane przez rząd. Wreszcie do premiera Morawieckiego napisał Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej Solidarności: „Jeszcze raz proszę o poważne potraktowanie tych sygnałów (...). Na dialog nigdy nie jest za późno”. Lekceważenie cudzych opinii oraz kolejne zmiany szefów PIG i kierownictw departamentów ministerstwa zajmujących się geologią to przykład, jak PiS traktuje przejęte instytucje i urzędy. Dla członków obecnej ekipy są one niczym prywatne folwarki, w których za nic się nie odpowiada i nie ponosi żadnych konsekwencji.

Wiceminister Jędrysek wydaje się jednak człowiekiem przezornym i chyba bierze pod uwagę utratę stanowiska. Dlatego projekt ustawy o PAG stanowi, że prezes przyszłej agencji nie może wykonywać żadnej działalności zarobkowej, z wyjątkiem pracy naukowej, dydaktycznej i sprawowania mandatu posła albo senatora (choć to sprzeczne z art. 103 konstytucji). Wypisz wymaluj, funkcja skrojona dla obecnego głównego geologa kraju...

Andrzej Dryszel



W grudniu geolodzy protestowali pod Ministerstwem Środowiska.

został poddany wcześniej procedowany projekt ustawy o Polskiej Służbie Geologicznej. Nie można jednak mylić tych dwóch aktów (...). Pan min. Jędrysek kompletnie ignoruje wszelkie uwagi i sugestie prezentowane przez stronę społeczną. Wprowadzanie rozwiązań siłowych budzi nasze oburzenie. Biorąc pod uwagę ignorowanie wszelkich form debaty merytorycznej przez Pana min. Jędryska oraz pojawiające się kolejne zastrzeżenia do wadliwej ustawy o PAG, podtrzymujemy nasze żądania dotyczące odrzucenia tego szkodliwego projektu oraz odwołania niekompetentnego Głównego Geologa Kraju”, napisał NSZZ Solidarność w PIG do sekretarza Rady Ministrów Jacka Sasina (i do wiadomości innych ośmiu dygnitarzy z premierem Morawieckim na czele).

Czworo profesorów z Rady Naukowej PIG zawiadomiło prof. Waldemara Parucha, szefa Rządowego Centrum Analiz Strategicznych, że

Jędryska (10 stycznia 2019 r. w resorcie środowiska), który skupił się „tradycyjnie na krytyce funkcjonowania podlegającego mu PIG, nad którym sprawuje bezpośrednią kontrolę od ponad trzech lat”.

Związek podkreśla, że nie można „kreować projektu ustawy w oparciu o działania i interesy jednej osoby”, wspierającej się, przy uzasadnionych podejrzeniach o nielegalny lobbying, podległym aparatem urzędniczym i fasadowymi konferencjami bez możliwości otwartej debaty, gdzie „nawet delikatnie krytyczne uwagi merytoryczne są atakowane z najwyższych diapazonów jako »antypolskie«” (konferencje te PIG musiał finansować z własnych środków i nie wiadomo, czy poniesione koszty zostaną kiedykolwiek zrefinansowane). „Można z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że po utworzeniu PAG ulegną upośledzeniu wszystkie istotne funkcje służby geologicznej. (...) Projekt ustawy o PAG jest zbędny

Rozmawia Robert Walenciak

13 i 14 lutego w Warszawie odbędzie się wielka międzynarodowa konferencja poświęcona sprawom Bliskiego Wschodu. Skąd ta idea się wzięła? Wcześniej nic o niej nie było słyhać.

– Już wiosną zeszłego roku był taki pomysł. Nie wszyscy w niego wierzyli. W Białym Domu za prezydenta Trumpa wiele pomysłów ma krótkie życie. Tym razem stało się inaczej, co oznacza, że w powodzi spraw absorbujących administrację amerykańską kwestie bliskowschodnie wciąż zajmują poczesne miejsce. Jesienią był z wizytą w Polsce amerykański podsekretarz stanu, który o tym rozmawiał. Ta konferencja to inicjatywa amerykańska, a strona polska włączyła się w jej przygotowanie na bardzo późnym etapie.

Jaki jest jej cel?

– Moim zdaniem jest ich kilka. Konferencja formalnie ma się zająć sprawami budowy pokoju i bezpieczeństwa na Bliskim Wschodzie. Złagodzono jej jednoznaczny

KRZYSZTOF PŁOMIŃSKI

bezpośrednio po ogłoszeniu wymiar antyirański, choć nie da się ukryć, że dla głównych zainteresowanych spotkaniem – USA, Izraela i Arabii Saudyjskiej – kwestia Iranu pozostaje priorytetem. Na tym pośpiesznie zwoływanym forum, po części z przypadkowymi uczestnikami, nie da się na poważnie podejść do litanii bliskowschodnich bolączek: Palestyny, Syrii, Libanu, Jemenu, obszaru kurdyjskiego, Libii, Sudanu, rozłamu w Radzie Współpracy Zatoki i problemów amerykańsko-tureckich czy takich kwestii jak mający się dobrze terroryzm w różnych barwach, miliony uchodźców, kryzysy humanitarne, rozwój, praworządność lub rywalizacja i rozgrywki na tle interesów gospodarczych.

To tematy na miesiące obrad.

– A to tylko część spraw składających się na jakąkolwiek próbę budowy pokoju i bezpieczeństwa regionalnego. Mam nadzieję, że konferencja nie odwróci uwagi od ich splotu. Na dodatek w Warszawie zabraknie wielu kluczowych aktorów. Z irańskim

BLISKI WSCHÓD: nowy układ sił

Konferencja w Warszawie nie jest w stanie wiele zmienić w bliskowschodniej sytuacji. Ważne jednak, by do istniejących problemów nie dołożyła nowych



wymiarem konferencji ściśle powiązany jest drugi cel, a mianowicie konsolidacja najbardziej pewnych sojuszników Waszyngtonu w regionie – Izraela oraz Arabii Saudyjskiej i związanych z nią państw regionu, uważających Iran za zagrożenie bytu. Kraje te miały pomóc polityce amerykańskiej na Bliskim Wschodzie, angażując się w utworzenie islamskiego paktu antyterrorystycznego, powołanie regionalnego NATO, skłonienie Palestyńczyków do daleko idą-

cych ustępstw, ale na razie niewiele z tego wyszło. Jedną z przyczyn jest osłabienie międzynarodowej pozycji księcia Muhammada ibn Salmana, saudyjskiego następcy tronu. No i wreszcie sprawy Bliskiego Wschodu coraz bardziej liczą się w konfrontacji prezydenta Trumpa z przeciwnikami politycznymi w samej Ameryce i w rozgrywkach globalnych. Inaczej mówiąc, potrzebny jest sukces.

Czy konferencja w Warszawie może służyć odbudowie między-

Krzysztof Płomiński – emerytowany dyplomata, ambasador *ad personam*, były dyrektor Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu w MSZ. Pracował na placówkach w Libii i Jordani, pełnił funkcję ambasadora RP w Iraku (1990-1996) i był pierwszym polskim ambasadorem w Arabii Saudyjskiej (2000-2004). 14 lutego będzie miała miejsce promocja jego książki „Arabia Incognita. Raport polskiego ambasadora”. Jest absolwentem Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych. Odznaczony Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta.

narodowej pozycji saudyjskiego następcy tronu, naruszonej sprawą Dżamala Chaszodżdżiego i wojną w Jemenie?

– Daje taką możliwość. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że przy obecności wiceprezydenta Mike'a Pence'a i premiera Beniamina Netanjahu do Warszawy przyleci również książę Muhammad ibn Salman i politycy uczynią jakiś gest normalizacji! Wprawdzie żadnych informacji na ten temat nie mam, ale myślę, że to byłby oczekiwany akcent. To byłoby coś nadającego

państw, by przycisnąć Irańczyków.

A Polacy muszą brać w tym udział?

– Uczciwie trzeba powiedzieć, że w momencie kiedy taka propozycja przyszła, odrzucenie jej byłoby nieuzasadnione i szkodziłoby polskim interesom. Także interesom na Bliskim Wschodzie, bo takie tam mamy, i to rozległe, niezależnie od opinii niektórych polskich polityków, prezentowanych w kontekście konferencji. Nie szkodzą natomiast deklaracje, że chcielibyśmy być pośrednikiem między Izraelem a państwami arabskimi, tworzyć szersze forum do rozmów

istniejących problemów nie dołożyła nowych. A o to nietrudno – np. kraje koalicji opłacają w Jemenie dziesiątki tysięcy najemników afrykańskich, którzy kiedyś wrócą w swoje strony i na pewno nie zajmą się uprawą ziemi. W tym widzę rolę polskiego współgospodarza.

Na Bliskim Wschodzie w grę wchodzi duże pieniądze, duże interesy...

– Koncentrując się na konfliktach i zagrożeniach bezpieczeństwa, nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, że tam się toczy w tej chwili wojna o potężne interesy gospodarcze oraz rywalizacja głównych graczy, w tym USA, Chin i Rosji, o dominację w świecie. Era ropy naftowej powoli się kończy, ale ten surowiec jeszcze przez wiele lat pozostanie ważnym instrumentem polityki. Trwa niedoceniana w Europie rozgrywka o wielki gaz bliskowschodni, istotna również dla Polski. Jeśli Iranowi uda się przetrwać amerykańskie i wielonarodowe sankcje, sprzedając surowce energetyczne za inne niż amerykańska waluta, może to być dotkliwy cios w dominującą rolę dolara w rozliczeniach międzynarodowych.

Dłatego są tam Rosjanie?

– Rosjanie są z wielu względów. Ich aktywa pozostają jednak ograniczone. Mają dwie bazy, tak jak mieli wcześniej – morską i lotniczą w Syrii.

Era ropy naftowej powoli się kończy, ale ten surowiec przez wiele lat pozostanie ważnym instrumentem polityki.

konferencji historyczny wymiar! Zbyt wiele nie można jednak oczekiwać. Ciężką sprawą palestyńską. Zapowiadany przez Waszyngton od dwóch lat izraelsko-palestyński układ stulecia z pewnością nie ujrzy światła dziennego przed kwietniowymi wyborami w Izraelu. Ponadto trudno o wielką fetę bez obecności Donalda Trumpa. **Mamy współpracę Izrael-państwa arabskie?**

– Tradycjoniści przecierają oczy! Pewne rzeczy stały się wręcz modne. Benjamin Netanjahu był w Omanie. Do Bahrajnu czy do Emiratów regularnie jeżdżą ministrowie izraelscy, z wzajemnością. To podobnie jak w przypadku Arabii Saudyjskiej pełzająca normalizacja, do sformalizowania w odpowiednim momencie. Nie inaczej mają się sprawy w Afryce Subsaharyjskiej. Również konferencja warszawska będzie elementem tego procesu, także na tle wspólnego zainteresowania zwiększeniem międzynarodowej izolacji i presji na Iran. Niewątpliwie jedną z opcji jest konfrontacja zbrojna.

To realne?

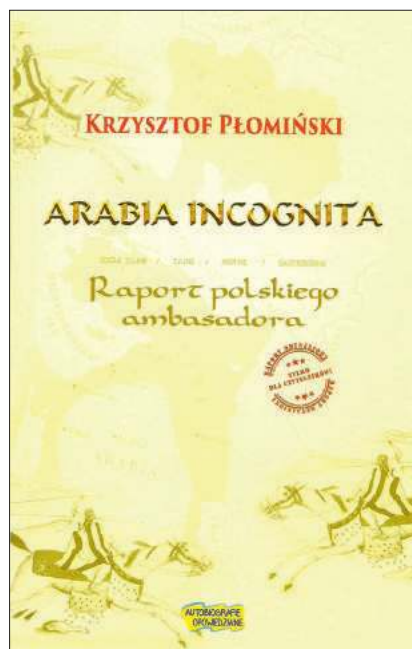
– Dotychczas cała polityka USA, Izraela, Arabii Saudyjskiej i jej sojuszników polegała na powstrzymywaniu Iranu: nie pchajcie się dalej! Od pewnego czasu nastąpiła zmiana. Jest wypychanie – z Syrii, Libanu, Iraku, Jemenu, które jednak nie przychodzi łatwo. Przy tym irańskie zabiegi o wpływy w krajach sąsiednich są również elementem polityki bezpieczeństwa Teheranu. Adwersarzom to nie musi się podobać i chcą przekonać do swoich racji jak najwięcej

o problematyce bliskowschodniej czy że jesteśmy tam rzekomo neutralni, choć zapewne przyjdzie się z nich kiedyś rozliczyć.

To dobra pozycja.

– Mam nadzieję, że nasze doświadczenia irackie nie poszły całkowicie w niepamięć. Pamiętam też czasy, kiedy Amerykanie uważnie słuchali naszych ekspertów i nie wahali się powierzyć Polsce reprezentowania swoich interesów w Bagdadzie. Konferencja nie jest w stanie wiele zmienić w bliskowschodniej sytuacji. Ważne jednak, by do

Trwa niedoceniana w Europie rozgrywka o wielki gaz bliskowschodni, ważna również dla Polski.



Natomiast amerykańskie bazy są rozlokowane prawie wszędzie, USA mają na Bliskim Wschodzie 55 tys. żołnierzy i dwie floty z lotniskowcami w pobliżu. Zapewniają też swobodę żeglugi na jednych z najważniejszych dla międzynarodowego handlu szlaków morskich, w tym w newralgicznej cieśninie Ormuz oraz w rejonie Bab al-Mandab, gdzie również z pierwszą bazą wojskową zainstalowali się Chińczycy. Rosjanie mają duże ambicje, ale daleko im do bycia w skali regionalnej języczkiem u wagi. Rosja utraciła czynnik ideologiczny, który miał Związek Radziecki, co zwraca większą uwagę na wiarygodność wartości amerykańskich konfrontowanych z realiami w krajach sojusznicznych.

A Unia Europejska? Także przestała być wiarygodna?



USA i Arabię Saudyjską łączą interesy. Same kontrakty obronne warte są setki miliardów dolarów. Nż. wizyta księcia Muhammada ibn Salmana w Białym Domu, 20 marca 2018 r.

► – Unia pokazała, że jeżeli chodzi o wymiar południowy, prowadzi katastrofalną politykę, jeśli w ogóle można to nazwać polityką. Działania, które poprzedzały arabską wiosnę, w dużym stopniu skompromitowały się, zbankrutowały. Nowych polityk adekwatnych do zmieniającej się sytuacji nie wypracowano. Unia Europejska de facto przestała oddziaływać na Bliski Wschód własnymi wartościami, za to importuje stamtąd pełnymi garściami proble-

my, po części na własne życzenie. Libia i Syria to tylko przykłady. Oby konferencja w Warszawie nie pogłębiła rozdziewików w Unii, zwłaszcza gdyby sytuacja wokół Iranu stała się krytyczna.

Wyczuwa się takie zagrożenie?

– Niestety, można zauważyć wiele podobieństw do sytuacji, którą znamy z okresu poprzedzającego inwazję na Irak w 2003 r. Mam na myśli konsekwencje sankcji, izolację zewnętrzną, ostre problemy gospodarcze i finansowe, narastające niezadowolenie społeczeństwa, aktywizację opozycji, osłabienie instytucji

Da się powtórzyć rok 2003?

– W Warszawie będziemy mieli jednego z ważnych aktorów tamtych dni, Beniamina Netanjahu. W 2002 r., jeszcze nie będąc premierem, wystąpił on na forum amerykańskiego Kongresu, oświadczając: „Mówię wam, że jeżeli Saddam Husajn i jego reżim zostanie usunięty, to cały Bliski Wschód odmieni się na lepsze!”. Podobne zapewnienia składali prezydenci USA, premierzy Wielkiej Brytanii i wielu polityków innych państw, którym wtórowała znaczna część mediów. O potrzebie wyciągania wniosków wspominałem wcześniej.

USA mają na Bliskim Wschodzie 55 tys. żołnierzy i dwie floty z lotniskowcami w pobliżu.

państwa i ruchy odśrodkowe. Z czasem czynniki takie prowadzą do upadku państwa, wobec którego interwencja zewnętrzna staje się czymś naturalnym, o ile wcześniej adwersarze nie zdecydują się na szukanie kompromisu. Na długiej liście amerykańskich zarzutów wobec Teheranu niewiele jest możliwościach do ultymatywnego przyjęcia. Podobna sytuacja, przy zachowaniu proporcji, miała miejsce w przypadku blokady Kataru. Cóż, na Bliskim Wschodzie działają samonapędzające się mechanizmy konfliktu.

Irak w roku 2003 okazał się wydmuszką. A Iran w roku 2019? Jak wygląda?

– Iran może nie jest wydmuszką, ale i Irak nie zawsze nią był. Ma znaczny, choć kurczący się, potencjał wewnętrzny. Ponadto jako państwo funkcjonujące poza sojuszami, bez ważnych sprzymierzeńców, za to z potężnymi wrogami, tradycyjnie osamotnione w układzie sunnicki-szyty, realizujące teokratyczny eksperyment, ciężko doświadczone wojną narzuconą mu przez Irak, zadbał o odsunięcie pozycji obronnych jak

Z głębokim smutkiem żegnamy
naszego wieloletniego Przyjaciela

PAWŁA HOŁOWNIE

który na zawsze zostanie
w naszej pamięci

Żonie Elżbiecie oraz Rodzinie
składamy
serdeczne wyrazy współczucia

Stanisław Albinowski, Marianna Dąbrowska-Werno,
Andrzej Dobrucki, Bolesław Domański, Manfred
Gorywoda, Włodzimierz Hausner, Wiesław Huszcza,
Paweł Kosmala, Jerzy Kostecki, Franciszek Kubiczek,
Edward Kuczera, Jerzy Kwiatkowski, Ludwik Mizera,
Ludwik Olejarsz, Stanisław Pajdziński, Wiktor Pitus,
Wojciech Poleć, Jan Topolewski

najdalej od swoich granic, w czym pomogły mu konsekwencje interwencji zachodnich w Afganistanie i w Iraku. W tym przypadku ewentualny konflikt miałby więc charakter regionalny. Bez wcześniejszej głębokiej destabilizacji wewnętrznej ryzyko byłoby niezwykle duże. Trudno przewidywać warianty rozwoju sytuacji, ale przykład Iraku pokazał, że sankcje nie są wystarczające do obalenia zdeterminowanego reżimu.

Iran więc czeka, aż wypełni się jego los?

– O rozwoju sytuacji może przesądzić incydent lub prowokacja.

Warszawska konferencja odbywa się dokładnie w rocznicę paktu amerykańsko-saudyjskiego z 1945 r., który dał Saudyjczykom szczelny parasol bezpieczeństwa. Niewątpliwie Rijad musi brać pod uwagę, jakie konsekwencje przyniosłyby królestwu zarówno zmiana reżimu w Teheranie na proamerykański, jak i dezintegracja perskiego sąsiada.

I proszę, ile lat pakt ten był skuteczny! Wie o tym następca tronu.

– Doskonale. Awans księcia Muhammada ibn Salmana na następcę tronu i dość oczywistego przyszłego króla Arabii Saudyjskiej w dużym

rodowej, w tym ważnych środowisk amerykańskich.

Media o tym szeroko informują.

– Społeczeństwo w Arabii Saudyjskiej zaczyna się domagać czegoś więcej niż fasadowych zmian. Nie tylko w sferze kulturalno-społecznej, ale i w politycznej. Jednak w stosunkach międzynarodowych interesy nie zawsze idą w parze z wartościami. Następca tronu jest silnym człowiekiem. Obiecał prezydentowi Trumpowi, że będzie jego lojalnym sojusznikiem, że znormalizuje stosunki z Izraelem, skłoni Palestyńczyków do okrojenia oczekiwań co do warunków pokoju

Unia Europejska przestała oddziaływać na Bliski Wschód własnymi wartościami, za to importuje stamtąd pełnymi garściami problemy.

Jaki interes mają Amerykanie w rozbiciu Iranu?

– Bardzo często trudno się dopatrzeć, jakie interesy na Bliskim Wschodzie mają Amerykanie. Niewątpliwie pozostają one w ścisłym związku z bezpieczeństwem Izraela. Od dziesięcioleci na Bliskim Wschodzie nie działa dyplomacja, lecz jeden konflikt przechodzi w drugi. Chwalebny wyjątkiem w ostatnich latach było porozumienie nuklearne z Iranem, które właśnie jest demonstrowane. Poza tym prezydent Trump, przy całej swojej nieprzewidywalności, potrafi ulec różnym lobbyistom. Ale też całkiem trzeźwo stawia pytanie, co USA mają z wydanych na Bliskim Wschodzie siedmiu czy ośmiu trylionów dolarów. I jeszcze raz wspomnijmy o związku polityki wewnętrznej z zagraniczną.

Przepraszam, ale to wygląda, jakby ktoś uważał, że najlepszym lekarstwem na światowe problemy jest awantura.

– Historia stosunków międzynarodowych służy tysiącami takich przykładów. Zarządzanie przez kryzys dotyczy nie tylko Bliskiego Wschodu, choć tam jest zjawiskiem endemicznym.

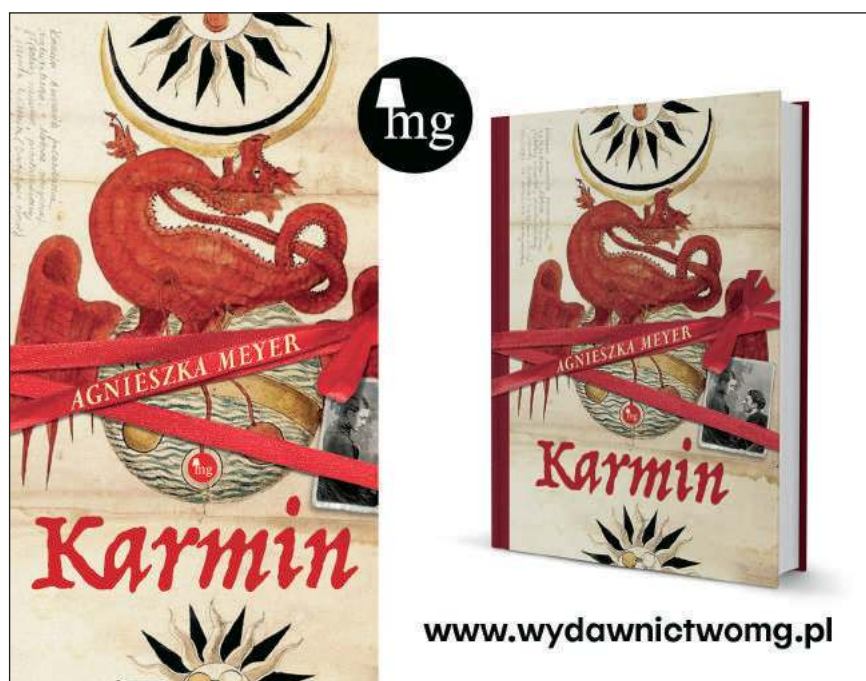
Przecież to broń obosieczna. To uderza w każdego.

– Zgoda. Niemniej jednak konsekwencje nie zawsze są natychmiastowe, a rachunek zysków i strat nie musi być jednoznaczny. Równocześnie na Bliskim Wschodzie mamy przykład wieloletniej stabilizacji, która w pewnym momencie też może wyczerpać swój potencjał.

stopniu łączy się z jego rozeznaniem w stosunkach panujących w Waszyngtonie oraz umiejętnością darcia z argumentami do urzędującego prezydenta i jego zięcia. Poza tym Saudyjczycy zawsze angażowali w USA ogromne pieniądze. Polityka Baracka Obamy budziła w Rijadzie złe emocje, również z uwagi na porozumienie nuklearne z Iranem i demontaż sankcji, ale też ze względu na ingerowanie w saudyjskie porządki. Teraz zmieniają je, odnawiając fasadę, ale bez naruszania fundamentów i murów. Tymczasem coraz bardziej są pod lupą społeczności międzyna-

z Izraelem. I że wspólnie zajmą się Iranem. Za tym poszły nowe zlecenia na broń i plany regionalnych sojuszków wojskowych. Zaczęto wojnę w Jemenie, próbowano wpływać na sytuację w Syrii i Iraku. Książę jeździł po świecie, spotykał się z osobistościami chrześcijańskimi i żydowskimi, politykom i środowiskom opiniotwórczym pokazywał się jako światły reformator. A rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana. Opinię tę zapewne podzielią organizatorzy i uczestnicy konferencji w Warszawie.

Robert Walenciak



The advertisement features the book 'Karmin' by Agnieszka Meyer. The book cover is shown in two views: a front view and a side view. The front cover has a red dragon illustration, a red ribbon banner with the author's name 'AGNIESZKA MEYER', and the title 'Karmin' in large red letters. The publisher's logo 'mg' is visible in the top right corner of the ad. The website 'www.wydawnictwomg.pl' is printed at the bottom.

Katarzyna Wierzbicka

– Nie godzimy się na to, żeby o humanistyce mówiono bez humanistów i żeby w naszym imieniu wypowiadali się przedstawiciele lobby-stycznych instytucji, które właściwie dbają tylko o własne interesy – mówi organizatorzy Nadzwyczajnego Kongresu Humanistyki Polskiej, zwołanego 26 stycznia w akcie sprzeciwu wobec ogłoszonych właśnie rozporządzeń do słynnej Konstytucji dla Nauki. Wygląda bowiem na to, że minister Jarosław Gowin, powołując się na akceptację środowisk naukowych, traktuje je bardzo wybiórczo.

Uczestnicy, pod groźbą akcji protestacyjnej, domagają się zmian w przepisach. „Rozporządzenia MNiSW do ustawy »Prawo o szkolnictwie wyższym« zagrażają podstawom badań w naukach humanistycznych i społecznych, zagrażają autonomii nauki oraz jej interdyscyplinarnemu rozwojowi. Uderzenie w nauki badające polską historię, naszą nowoczesność, jej komplikacje i uwarunkowania jest ciosem w podstawy demokratycznej debaty publicznej”, czytamy w podsumowaniu kongresu, w którym wzięło udział ponad 200 przedstawicieli nauk humanistycznych.

– Postanowiliśmy zorganizować kongres, bo bardzo wiele zapisów znajdujących się w rozporządzeniach do ustawy 2.0 budzi nasze zaniepokojenie. A komitety nauk humanistycznych PAN są jedyną oficjalną reprezentacją nauk humanistycznych, wybieraną w powszechnych wyborach przez samodzielnych pracowników naukowych. Tylko jeden z 13 komitetów PAN nie wyraził poparcia dla naszych postulatów – tłumaczy prof. Krzysztof Mikulski, historyk z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego, które było współorganizatorem wydarzenia.

Inicjatorzy kongresu wskazują nie tylko to, że ministerstwo nie skonsultowało z nimi przeprowadzanych zmian, ale również fakt, że zignorowało wynegocjowane z po-

przednim rządem ustalenia. – Przez wiele lat negocjacji udało nam się wywalczyć przynajmniej drobne kompromisy. Po uchwaleniu ustawy 2.0 właściwie wszystkie te ustalenia poszły precz. Ci sami ludzie, którzy wtedy z nami negocjowali i zawierali te kompromisy, teraz je obalają. Jesteśmy w punkcie wyjścia – mówi prof. Mikulski.

I może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że „współpraca ze środowiskiem akademickim” jest jednym ze sztandarowych haseł reformy. „Konstytucja dla

Nauki to reforma inna niż wszystkie. Impuls do jej przeprowadzenia wyszedł z samego środowiska akademickiego. W prace nad ustawą włączyła się wielotysięczna społeczność”, chwali się na rządowej stronie Jarosław Gowin, który przy każdej okazji przypomina też, że jego ustawę popierają władze większości uczelni.

Pozostaje pytanie, czy błogosławieństwo rektorów wystarczy, by mówić o „poparciu środowiska akademickiego”. Bo skoro poparcie dla reformy Gowina jest tak szerokie, to skąd te protesty?

WĄTPLIWA LEGITYMACJA

Punktem wyjścia do prac nad reformą ministra Gowina był Narodowy Kongres Nauki, który – jak dowiadujemy się z rządowej strony – miał być „największym i najważniejszym przedsięwzięciem w polskiej nauce od lat 1989-1990”. To NKN miał zagwarantować planowanemu zmianom legitymację środowiska w postaci „szerokich konsultacji”. Pierwszym etapem miał być zorganizowany w 2016 r. konkurs na opracowanie założeń nowej ustawy. Kolejnym – dziewięć konferencji programowych, podczas których dyskutowano by nad kształtem planowanych zmian. Rzecz w tym, że organizatorzy NKN najprawdopodobniej uwzględni-

Przeciwko reformie nauki w wersji proponowanej przez ministra Gowina protestowali studenci Wydziału Filozoficznego UJ, 13 czerwca 2018 r.



li w konsultacjach jedynie te opinie, które odpowiadały ich poglądom.

– Na opracowanie założeń ustawy ministerstwo przeznaczyło 1 mln zł. Okazały się one naiwne, trywialne i ogólnikowe. Na którymś spotkaniu stwierdziłem, że sam napisałbym je lepiej i za darmo. Nie wywołało to żadnej debaty – zwraca uwagę prof. Jan Woleński, wybitny filozof i prawnik z Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Wypowiadałem się potem kilkakrotnie na oficjalnej stronie internetowej, gdzie można było zgłaszać uwagi do założeń. Nie dostałem żadnej odpowiedzi.

Jak twierdzi prof. Woleński, teoretycznie można było zgłaszać swoje propozycje na Narodowy Kongres Nauki. Problem w tym, że na możliwości zgłaszania się kończyło. – Napisałem do ówczesnego wiceministra Aleksandra Bobki, żeby zgłosić gotowość zorganizowania i poprowadzenia jednego z paneli. Nie dostałem odpowiedzi, a przewodniczący Rady NKN prof. Górniak powiedział mi potem, że nie dostał mojej wiadomości. Ci, którzy brali udział w rzeczywistych pracach kongresu, byli w zasadzie wyznaczani albo sugerowani przez samego Gowina lub jego współpracowników – opowiada.

– Nie przypominam sobie, żeby w sprawie reformy ktoś mnie o cokolwiek pytał – mówi z kolei Monika Kosterka, profesor nauk ekonomicznych i humanistycznych z Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Uniwersytetu Linneusza w Szwecji. – Jeżeli jakieś konsultacje miały miejsce, to na pewno nie odbyły się tak, jak powinny.

Bez echa przeszły uwagi zgłaszane przez prof. Woleńskiego. – Brałem udział w kilku konferencjach programowych do reformy, w których uczestniczyli również sam minister albo jego przedstawiciele. Ich odpowiedzi na moje spostrzeżenia i propozycje były czysto fasadowe – podkreśla.

Jak zwraca uwagę OKO.press, miażdżącą opinię o projekcie reformy wydało Biuro Analiz Sejmowych. Jej autorzy piszą m.in. o „jednocześnie negatywnych społecznych i gospodarczych skutkach wejścia proponowanej ustawy w życie” i „wręcz destrukcyjnym wpływie projektowanych rozwiązań na rozwój regionalny Polski, w tym zwłaszcza,



Minister Gowin podczas Narodowego Kongresu Nauki we wrześniu 2017 r. prezentował ustawę 2.0 jako ogromny sukces.

choć nie tylko, tzw. ściany wschodniej. W porównywalnym stopniu dotyczy to także Polski zachodniej”.

To niejedyna krytyczna ekspertyza. Prof. Krzysztof Mikulski: – Biuro Analiz Sejmowych poprosiło nas, tj. Polskie Towarzystwo Historyczne, o ekspertyzę na temat społecznych skutków reformy. Napisałem ją, jest bardzo krytyczna wobec ustawy. Została umieszczona na liście ekspertyz obok 600 innych, w większości równie krytycznych. Żadnej z nich ministerstwo nie wzięło pod uwagę w procedowaniu nad reformą.

Reforma Gowina nie uwzględniła jedynego wspólnego dla całego środowiska postulatu – zwiększenia nakładów na naukę.

Niewystarczające konsultacje oraz ignorowanie opinii eksperckich i zastrzeżeń do ustawy wytykali także organizatorzy i uczestnicy zeszłorocznych czerwcowych protestów uniwersyteckich, które odbyły się, gdy projekt reformy był jeszcze w Sejmie. Protestowała część społeczności akademickiej m.in. Uniwersytetu Warszawskiego, Jagiellońskiego, Gdańskiego i AGH, a na niektórych uczelniach przybrało to formę strajku okupacyjnego. Strajkujący przedstawili 11 postulatów dotyczących reformy, domagając się „realnego dialogu ze wszystkimi środowiskami zgłaszającymi zastrzeżenia wobec projektu”.

Od protestów odcięty się natomiast władze większości uczelni

i samorządy studenckie, na co chętnie powoływał się Jarosław Gowin, twierdząc, że sprzeciw wyraża jedynie „garstka studentów”. – Czy demokracja polega na tym, że jakiś promil studentów, którzy protestują, ma narzucać rozwiązania, które zostały przedyskutowane w bardzo szerokim dialogu i za którymi opowiadają się wszystkie reprezentatywne gremia akademickie – to jest (...) mający demokratyczny mandat rektorzy? – pytał.

Ministra poparło kilkunastu naukowców, pisząc list otwarty „Nie

blokujemy reformy nauki”. Można odnieść wrażenie, że według jego sygnatariuszy krytycy Gowinowej reformy to wichrzyciele, których upór wynika z przywiązania do status quo i niechęci do „rezygnacji z partykularnych interesów”. „Wiele wskazuje na to, że znaczna część polskich uczelni i instytutów badawczych nie chce skorzystać z szansy, jaką daje nowa ustawa o szkolnictwie wyższym i nauce”, piszą.

Wątpliwości co do reprezentatywności stanowiska budzi liczba sygnatariuszy apelu – podpisało się pod nim zaledwie 15 osób – i dość małe zróżnicowanie dziedzin, którymi się zajmują, bo większość to przedstawiciele nauk ścisłych, a reszta to prze-



Happening studentów wrocławskich, 2 lipca 2018 r.

► ważne socjolog (trzech), politolog (dwóch) i filozofowie (dwóch). Przy czym kilku co najmniej to współpracownicy ministra Gowina lub osoby mające bezpośredni związek z jego reformą – prof. dr hab. Andrzej Jajszczyk, dr hab. Marcin Nowotny i prof. dr hab. Barbara Klajnert-Maculewicz należą do powołanego przez ministra Komitetu Polityki Naukowej, a prof. dr hab. Jarosław Górniak był przewodniczącym Rady Narodowego Kongresu Nauki.

UNIwersytet jako firma

Niezależnie od samej legitymacji reformy warto przytoczyć główne punkty jej krytyki. Poza marginalizacją regionalnych ośrodków

czenie społeczno-gospodarcze uczelni, został złagodzony – teraz to uniwersytety mają decydować, czy zewnętrzni członkowie rady będą związani ze środowiskiem, czy nie – ale zdaniem krytyków to wciąż za mało, by ochronić skład rad przed nadużyciami.

Jednym ze skutków zapisu o „zewnątrznych członkach” jest zgłoszenie do Rady Uniwersytetu Jagiellońskiego potentata kosmetycznego Zbigniewa Ingłota. Jak podaje „Gazeta Krakowska”, drugim zgłoszonym kandydatem jest Tomasz Brzostowski, szef centrów usług biznesowych firmy Hitachi Vantara.

Najwięcej emocji budzi jednak nie przepis o radach uczelni, ale znaczne zwiększenie władzy rektorów.

Ministerstwo zignorowało ustalenia środowiska naukowego wynegocjowane z poprzednim rządem.

akademickich poważne kontrowersje budzi m.in. zapis o tzw. radach uczelni – najwyżej ośmioosobowych gremiach, do kompetencji których należeć ma choćby proponowanie kandydata na rektora. Rady mają w połowie składać się z osób z uczelnią niezwiązanych. Wprawdzie przepis mówiący o tym, że członkowie pochodzący z zewnątrz mają reprezentować „oto-

Stali się oni jedynym, jednoosobowym organem zarządzającym uczelnią. Wedle zapisów reformy od rektorów w całości zależą polityka kadrowa, struktura organizacyjna czy polityka finansowa. Uprawnień tych nie może ograniczyć ani senat, ani rada uczelni, a od podjętej przez rektora decyzji będzie można się odwołać, jedynie składając wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy.

Do tego dochodzi zlikwidowanie dotychczasowej struktury wydziałowej uniwersytetów, co pogłębi centralizację władzy. Zdaniem krytycznych wobec reformy przedstawicieli środowiska akademickiego oznacza to koniec samorządności uniwersytetów, których funkcjonowanie bardziej niż demokratyczną wspólnotę będzie odtąd przypominać działanie spółek skarbu państwa.

– Nic dziwnego, że rektorzy są tak przychylni tej ustawie, skoro daje im ona władzę praktycznie absolutną – komentuje prof. Krzysztof Mikulski.

Jest jednak jeszcze coś – przy tak wielkim zakresie zmian i powtarzaniu przez MNiSW hasła o „współpracy ze środowiskiem” zadziwia fakt, że reforma Jarosława Gowina nie uwzględniła jedynego wspólnego dla całego środowiska postulatu, którym było zwiększenie nakładów na naukę. A są one żałośnie małe, bo jak podaje OKO.press, w 2016 r. wyniosły 0,44% PKB, w 2017 r. – 0,43%, a w zeszłym roku – według ministerialnych prognoz – miały wynieść 0,45%, co minister Gowin nazwał znaczącym wzrostem. Tymczasem rekomendowana przez Unię Europejską średnia wydatków na badania wynosi 2%. Więcej od nas na badania i rozwój wydają m.in. Turcja (1%) czy Węgry (1,4%). Polska figuruje na 38. miejscu listy (na 44 kraje).

PRZYCIAĆ, UJEDNOLICIĆ, WYRÓWNAĆ

Jak twierdzą organizatorzy Nadzwyczajnego Kongresu Humanistyki Polskiej, przepisy wykonawcze do ustawy 2.0 to gwóźdź do trumny polskiej humanistyki. Wedle nowych przepisów bowiem wartościowi – a zatem zasługujący na większe dofinansowanie – są głównie ci badacze, którzy publikują jak najwięcej artykułów, i to w języku angielskim. W ministerialnym wykazie 36 najwyższych punktowanych wydawnictw znajdują się wyłącznie te międzynarodowe.

– Zmusza się nas do publikowania w języku angielskim, m.in. w nieznanym zupełnie wydawnictwie z Minnesoty, które podobno wydaje prace jednego z autorów tej listy – irytuje się prof. Krzysztof Mikulski. – A przecież historię Polski pisze się przede wszystkim dla tych, którzy mówią po polsku, i po to, żeby wzbogacić polską, nie zagraniczną, debatę publiczną. Jeśli napiszę historię Polski po angielsku, nikt tego nie będzie czytał.

Dla tych, którzy chcą publikować prace po polsku, pozostają znacznie niżej punktowane wydawnictwa – jest ich 500. Rzecz w tym, że na tej samej liście MNiSW umieszcza zarówno renomowane wydawnictwa międzynarodowe, jak i takie, które – jak podaje portal INNPOLAND – mają

na koncie publikacje „o dyktaturze gender” (Biały Kruk) czy wypędzaniu demonów (Petrus). Na ministerialnej liście nie zabrakło zresztą wydawnictw związanych z Kościołem i organizacjami katolickimi, np. Księgarni św. Jacka czy wydawnictwa krakowskiego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II. „Wydawnictwo Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie zostało

Prof. Jan Woleński: Założenia do ustawy okazały się naiwne, trywialne i ogólnikowe.

zrównane w ocenie np. z wydawnictwem Instytutu Yad Vashem w Izraelu”, zwraca uwagę OKO.press.

Kolejnym niepokojącym rozporządzeniem jest klasyfikacja dyscyplin naukowych, których lista została zredukowana w sposób uniemożliwiający części humanistów prowadzenie badań zgodnie z ich rzeczywistymi kompetencjami. Rygorystyczne zasady „podpinania” badań pod ściśle określone kategorie zagrażają zaś ich interdyscyplinarności. „Redukcja ta zagraża istniejącym zespołom naukowym, instytucjom, grantom badawczym – czytamy w uchwale kongresu. – Proponowane rozwiązania wywołały negatywne zjawisko nakłaniania pracowników do deklarowania przynależności do dyscyplin korzystnych dla danej jednostki, a nie wedle

rzeczywistych kompetencji. Jest to wyraźne i poważne naruszenie praw pracowniczych”.

Skutkiem nowej ministerialnej klasyfikacji czasopism jest masa absurdów, np. przypisanie czasopisma „Academic Psychiatry” do dziedziny archeologii, „Leonardo Music Journal” do kategorii inżynierii materiałowej oraz górnictwa i energetyki czy „Journal of Lesbian Studies” – do zootechniki i rybactwa. Pism z dziedziny prawa kanonicznego

jest więcej niż z nauk prawnych.

Prof. Krzysztof Mikulski: – Co prawda, poprzednie rządy nie pomagały nam w uprawianiu nauki, ale przynajmniej nie sabotowano naszej pracy. A to, co się dzieje teraz, jest próbą zaszczucia nas i pokazania nam miejsca w szeregu. Tak rozumiemy zmuszanie nas do takiego uprawiania nauki, które jest całkowicie sprzeczne ze specyfiką naszych dziedzin.

Na odpowiedź na żądania kongresu MNiSW ma ustawowe 30 dni. „W razie braku takiej odpowiedzi zmuszeni będziemy podjąć dalsze, bardziej zdecydowane działania – włącznie z akcją protestacyjną”, zapowiadają naukowcy.

Katarzyna Wierzbicka

Za tydzień opinia prof. Jana Woleńskiego.



CZYTAJ TAK, JAK LUBISZ!





**Już w sobotę rano
e-wydanie, dostępne
na komputerze, tablecie
i telefonie komórkowym**

E-WYDANIE 3,50



Audiodelic

**Słuchaj co tydzień wersji audio
tygodnika PRZEGŁĄD.
Nasze artykuły czytane przez
profesjonalnych lektorów**



ZA MIESIĄC 19,99

sklep.tygodnikprzeglad.pl

W kolejce do kolejki, czyli Polak na nartach

Jeśli to ferie krakowskie lub poznańskie, ogonek przed bramkami ustawia się już o 8.45. W ferie warszawskie tak wcześniej są tylko grupy dzieci z instruktorami

Paweł Grocholski

Poczekalnia na oddziale ratunkowym zakopiańskiego szpitala stopniowo wypełnia się miłośnikami białego szaleństwa. Zaparowane gogle wysychają, a przyklejony do ubrań śnieg topnieje, tworząc na podłodze kałuże. Jeśli podłoga wokół kontuzjowanego narciarza wysycha, zanim ten zostanie obsłużony, to znak, że pod Tatrami zaczęły się ferie zimowe.

Rok 2019 przyniósł intensywne opady śniegu. Ślady po sylwestrze (i telewizyjnym Sylwestrze Marzeń) znikły pod białą kołderką, samochody gości wracających do domu o godz. 10 rano 2 stycznia ustawiły się w Korku Marzeń i blokowały uli-

trochę wbrew woli Viktora Beránka, wieloletniego dzierżawcy, odbudowano je w tym samym miejscu. Oddany do użytku w 2012 r. obiekt ma kształt klina i miał być lawinoodporny – rzeczywistość konstrukcja okazała się skuteczna, jedyną stratą jest porwany komin.

W związku z niecodziennym zagrożeniem lawinowym między przewodnikami rozgorzała dyskusja, czy w ogóle można ruszać z klientami w teren. Chodziło oczywiście o teren bezpieczny, np. Kopieniec położony

i drudzy spotykali się na tych samych bezpiecznych ścieżkach.

DZIEŃ Z ŻYCIA BIAŁKI

Największy i najpopularniejszy na Podhalu ośrodek narciarski oferuje 18 świetnie przygotowanych i oświetlonych łatwych tras. Dwie godziny na stoku to 60 zł, dzień – 105 zł, dzieci i młodzież mają zniżki. Miejsce pod względem widokowym wspaniałe, ponadto niezwykle mikroklimat powoduje, że omija je ciepły wiatr halny, zabójczy dla stoków.

Medialny zachwyt jest uzasadniony, a opowieść o zaradnych góralach, którzy się dogadali i zbudowali najpierw małe, a potem większe wyciągi, krzepi polskie zbołałe serca. Zwłaszcza jeśli porównamy ją z rozwojem ośrodków narciarskich w sąsiedniej Słowacji, gdzie za czasów Vladimíra Mečiara miejsca te zostały sprywatyzowane. Słowacy zazdroszczą nam Białki i nie zwracają uwagi na brak adekwatnej do rozmiarów ośrodka drogi dojazdowej oraz kanalizacji.

Dzień w Białce zaczyna się wcześniej, kiedy wraz z brzaskiem pracownicy ośrodka poprawiają zabezpieczenia przygotowanych

Polskie stoki należą do najlepiej zabezpieczonych w Europie, ale tylko u nas jest tak dużo ludzi próbujących zjeżdżać bez odpowiednich umiejętności.

ce aż do godz. 22. Dróg nie dało się odśnieżać, pługi demokratycznie stały razem ze wszystkimi. Parę dni później TOPR ogłosił w Tatrach czwarty, czyli w lokalnych warunkach najwyższy, stopień zagrożenia lawinowego. Tatrzański Park Narodowy przestał pobierać opłatę za wstęp, droga do Morskiego Oka została zamknięta, zamknięto też schronisko na Hali Kondratowej. Sporych rozmiarów lawina zeszła spod Ciężkiego Szczytu i przetoczyła się przez Chatę pod Rysami. W 2001 r. schronisko zostało zmiecione przez lawinę, następnie

w granicach lasu i odległy od zboczy, którymi mogłyby spadać lawiny. Jedni twierdzili, że nie, bo skoro park nie pobiera opłat i ogłosił zamknięcie wielu szlaków, a TOPR czwarty stopień zagrożenia lawinowego, to prowadzenie ludzi nawet w bezpieczne rejony zadziała na nich demoralizująco i nieświadomości niebezpieczeństwa pójdą gdzie indziej i zginą. Drudzy nie widzieli problemu w umiejętnym zorganizowaniu górskich wycieczek w takich warunkach. Przecież można chodzić po reglach, które nie są zagrożone lawinami. W końcu i jedni,





w nocy tras. Chwilę potem pojawiają się straganiarze. O godz. 8.30 zielonym defenderem przyjeżdżają ratownicy, jeszcze trochę niewyspani strzają śnieg z plandek przykrywających sanki i skutery. Uzupełniają zapasy paliwa i jeden z nich rusza na odbiór tras. W wyniku dyskusji o bezpieczeństwie i w ogniu procesów sądowych wytaczanych przez osoby, które uległy wypadkom, wypracowano przepisy określające liczbę i rodzaj zabezpieczeń na stoku. – Polskie stoki należą do najlepiej zabezpieczonych w Europie, ale też tylko u nas jest tak dużo ludzi i tak wysoki procent osób próbujących zjeżdżać bez odpowiednich umiejętności – mówi doświadczony ratownik.

O godz. 9 protokoły powinny już być podpisane, w Białce uruchamiane są wtedy wyciągi. Jeśli są to ferie krakowskie lub poznańskie, już o 8.45 przed bramkami ustawia się kolejka osób chcących maksymalnie wykorzystać jednodniowy karnet i dobre warunki na stoku. Jeśli ferie są warszawskie, to pojedynczych osób o tak wczesnej porze nie ma, ale pojawiają się grupy dzieci pod opieką instruktorów. Wszyscy w pancernych butach, twardych jak na ekstremalne zawody po lodowych zboczach, a nie białczańskie łączki, machają rękoma w ra-

Ferie to najgorętszy czas dla instruktorów narciarskich.

mach rozgrzewki. Twarze miejskich instruktorów, którzy przyjechali z dziećmi, są białe jak śnieg i kontrastują z obliczami osób spędzających cały sezon na stoku. W przypadku pozostałych województw ruch zaczyna się koło godz. 10.

Ratownicy po odbiorze tras oraz podpisaniu listy obecności wnoszą pulki (sanie transportowe) i za pomocą taśm mocują je na przyczepkach skuterów. Przygotowują apteczki i wkładają do sanek śpiwory. Sprawdzają jeszcze, czy zawleczone zabezpieczające mocowanie przyczepki są właściwie założone, i kierują się do dyżurki. Zwykle któryś przynosi chleb oraz jajka, boczek i cebulę na jajecznicę. Rano wypadki zdarzają się rzadko, więc posiłek prawdopodobnie nie zostanie przerwany.

O godz. 10.30 przyjeżdża tzw. druga zmiana ratowników, będą tu do 22.30. Parkingi pod stokiem są już wypełnione do granic możliwości i auto z ratownikami mija kolejne służby ze stalowych płotków. A i tak za busem ratowników często przemyka prywatny wóz, który bardzo chce

11 to godzina, kiedy wszyscy instruktorzy pracują – nawet starzy, schorowani i przeziębieni.

zaparkować na stoku. Czekają go kłopotliwe manewry przy zawracaniu, bo o tej porze prawie nikt nie zwalnia miejsca. Druga zmiana przynosi ciasteczka lub pączki i zaczyna pracę od kawy z mlekiem. Niestety, często nie ma już czasu na te przyjemności. Zaczynają się wypadki.

Tymczasem sportowo i odświeżnie wystrojony tłum ustawia się naprzeciwko kolei sześciuosobowej. Kolej niby szybka, ale kolejka do niej jak Korek Marzeń. W tej szeleszczącej goretexami i pachnącej kremem ludzkiej gęstwie uśmiech jest rzadkością. Dziwna sprawa – obok jest stara, niewygodna kolejka trzyosobowa, nie ekskluzywna kanapa, i tam humory są znacznie lepsze. Ale też ludzie inni: abnegaci w wypłowiałych kurtkach z połowy lat 90. i obcisłych piankowych spodniach, niejednokrotnie na długich nartach przypominających ołówki. W Zakopanem wśród artystycznie uzdol-

nionej młodzieży ze szkoły Kenara zapanowała moda na takie właśnie ciuchy. Stary ortalionowy ocieplacz i jesionka, uzupełnieniem jest wielka czapa, narty oczywiście szerokie.

11 to godzina, kiedy wszyscy instruktorzy pracują – nawet starzy, schorowani i przeziębieni. Dbający o ubiór mają czapki firmy Eisbär, czasem też specjalne gogle, które są ich znakiem rozpoznawczym i prawdopodobnie kosztowały tyle co trzy lub cztery długie dni pracy. Do tego pomarańczowe stroje z logo szkółki narciarskiej. Ich klienci zazwyczaj noszą kolorowe ciuchy z Decathlonu, chociaż czasem pojawiają się osoby w džinsach lub w ubraniach z pająkiem, czyli w kurtce Spider.

Może to stereotyp, ale ubrania z charakterystycznym pająkiem oznaczają zwykle kłopotliwego klienta z Rosji lub równie trudnego Polaka. – Kiedy widzieliśmy, że ktoś ubrany w czarnego pająka ze srebrnymi wstawkami idzie w stronę naszej szkółki, chowaliśmy się po kątach i prosiliśmy dziewczynę przyjmującą zapisy, żeby powiedziała, że wszyscy instruktorzy są zajęci – wspomina Marzena, instruktorka nart i snowboardu, która pracowała w Tatrach i Alpach.

Wypadki zaczynają się koło południa i w szczycie sezonu na Kotelniczy Białczańskiej jest ich od 15 do 25 dziennie. Narciarze najczęściej uszkadzają sobie kolana, snowboardziści łamią nadgarstki lub kości przedramienia. Miłośnicy snowparku lądują z wyłamanymi barkami lub łokciami, a lubiący szybką jazdę 40-latkowie miewają urazy głowy i zaburzenia pamięci. – Sezon 2018/2019 jest absolutnie wyjątkowy – mówi Klimek, jeden z ratowników. – Po raz pierwszy w historii tego ośrodka liczba wypadków spadła. Zarejestrowaliśmy dopiero ok. 300 zwózek, a rok temu o tej porze było ich o 100 więcej. Przed nieszczęściami ratuje naturalny śnieg i sam fakt, że padał przez wiele dni, a to zmniejszyło jednak liczbę osób na stokach.

Kolejki kanapowe, orczyki i taśmy kręcą się w Białce do godz. 22. Po tem ratownik z tzw. drugiej zmiany musi zamknąć trasy, czyli sprawdzić,

► czy na któregoś nie został ranny narciarz. W ferie krakowskie i poznańskie ratownik może być pewien, że w dolince między Jankulakowskim Wierchem a szczytem Kotelnicy będą bezradnie chodzili narciarze, którzy myśleli, że jeszcze raz zdążą wyjechać. A tu koniec jazdy i kawałek podejścia w niewygodnych butach. Po zamknięciu tras i wyłączeniu muzyki na opustoszałe białczańskie brzyzki z rykiem dieslowskich silników wkraczają ratraki.

ALTERNATYWNE ZAKOPANE

Legendarny Kasprowy Wierch oferuje trasy zbyt trudne dla typowego narciarza spędzającego ferie pod Tatrami. Łatwiejsza, ale też nie całkiem

skitourowców radość z bycia wolnym. Kocioł Goryczkowy w rejonie Kasprowego został przez nich zajęty. To dzięki temu, że zrobione z drutu i sztachetek dwuosobowe krzeselka odstraszają miłośników czarnego pająka i wszystkich innych też.

Rozwój amatorskiego skitouringu w Zakopanem jest czymś wyróżniającym to miasto spośród innych kurortów żyjących z narciarstwa. W Alpach i nawet po południowej stronie Tatr częściej można spotkać elitarną wersję tego sportu. Jest to skialpinizm, czyli zapuszczanie się na nartach w tereny bardzo trudne i niedostępne, czasem wspinaczkowe z koniecznością użycia liny. Skialpinista decyduje się też na zjazdy strome i eksponowane, gdzie błąd może mieć tragiczne konsekwen-

Mateusza jest założona przez Michała Ślusarczyka Freeride Academy, tu kładzie się akcent na jeszcze inny aspekt narciarstwa, ale też odległy od wyprasowanych za pomocą maszyn stoków.

Zakopiańskie dzieci zrzeszone w grupie młodzieżowej pod egidą Polskiego Związku Alpinizmu mogą trenować skitouring, ale ewoluujący w stronę skialpinizmu. Opiekują się nimi doświadczeni przewodnicy wysokogórscy i instruktorzy. Tegoroczną nowością są narty skitourowe dla najmłodszych, ze specjalnymi bezpiecznymi wiązaniami. 14 stycznia z okazji Międzynarodowego Dnia Śniegu wszystkie dzieci spędzające ferie pod Tatrami mogły pójść na nieodpłatną wycieczkę skitourową.

Kotelnica z powodu rodzinnych swarów nie działa od tak dawna, że wszyscy o niej zapomnieli.

prosta trasa zjazdowa z Gubałówki została zamknięta z powodu waśni między Polskimi Kolejami Linowymi a właścicielami gruntów. Kotelnica z powodu rodzinnych swarów nie działa od tak dawna, że wszyscy zapomnieli, że kiedyś była. Harenda jest stroma i krótka, a Szymoszkowa w rzeczywistości niezbyt duża. Natomiast kultowy Nosal w wyniku niewyobrażalnych komplikacji ograniczył się do stoków dla początkujących.

Z tych to powodów słychać rozpaczliwe głosy o upadku Zakopanego. Przysłuchiwałem się nawet dyskusji o tym, że bogaci chłopi z Białki zawiązali spisek przeciwko Zakopanemu i perfidnie podstawianymi, a sownie opłaconymi ludźmi blokują wszelkie inwestycje narciarskie pod Giewontem. Jeśli to prawda, niechcący zrobili Zakopanemu prezent, bo pozostawili przestrzeń do rozwoju skitouringu, czyli narciarstwa, które nie wiąże się z koniecznością realizowania inwestycji dewastujących przyrodę. Oznacza powrót do lekkich, drewnianych nart, raczej miękkich butów i służących do podchodzenia fok. Jest to uwolnienie się od przestrzeni ograniczonej fladą, od płynącej z głośników muzyki i ściśle wyznaczonych tras. Cena jest wysoka – trzeba pokonać słabość mięśni i podjąć ryzyko przebywania w niebezpiecznych górach. Trudy te dają jednak widoczną na twarzach



W tym roku w Tatrach grożą lawiny.

cje. Tymczasem skitourowiec może się rozkoszować spacerem na Gęsią Szyję. Ponadto skialpinista nie pójdzie na pożyczonym sprzęcie, a skitourowiec owszem.

Rozwinęły się więc w Zakopanem wypożyczalnie sprzętu skitourowego, w Alpach i na Stowacji rzadkość. Najpierw nieśmiało: jedna w mongolskiej jurcie niedaleko dolnej stacji kolejki na Kasprowy, druga na tyłach baru mlecznego. Potem pojawiły się kolejne i chociaż jurty już nie ma, wypożyczalnia o tej nazwie nadal funkcjonuje. Pojawiła się też szkoła Skitourschool. Jej założyciel Mateusz Mróz nie ukrywa, że chodziło mu o biznes, ale podkreśla, że o taki, który ludziom coś daje. Oprócz szkoły

Skitourowcy i skialpiniści spotykali się w Kuźnicach w Yurta Barze, ale budynek, w którym znajdował się ten lokal, został zburzony. Yurta miała się przenieść do nowego, właściciel jednak zażądał zbyt wysokiego czynszu. Bar w okrojonej formie przeniósł się do okrągłaka z pleksi opodal budynku kolejki.

Kasprowy został odkupiony, entuzjaści wyciągów kanapowych tańczą z radości i kreślą ambitne plany inwestycyjne, przy okazji wynajdują naukowców gotowych powiedzieć, że nawet szaleńcze projekty nie mają wpływu na środowisko. Czy czeka nas zalew czarnych pajaków, czy rozwój skitouringu?

Paweł Grocholski



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

DOMNIEMANIA POLSKIE

Widma domniemań krążą nad krajem nazywanym Polską. Domniemywanie miało, przynajmniej dla mnie, dość dobrą aurę, reagowałem ciepło i ze zrozumieniem, bo pierwsze, co mi przychodziło do głowy, to uzupełnienie domniemania niewinnością, taką sądo-wo-procesowo-karną niewinnością, żeby nie było nieporozumień. Domniemanie niewinności było (i wciąż jest) fundamentem rudymenarnego poczucia bezpieczeństwa i uczciwości państwa wobec nas – ludzi, zwanych obywatelami. Dopóki ktoś nie zostanie skazany prawomocnym wyrokiem sądu, jest w świetle prawa niewinny. Ale ostatnio sfery domniemań zaczęły się niepokojąco rozszerzać, rozchodzić coraz dalej jak kręgi na wodzie.

Domniemanie katolicyzmu. W krytycznej opowieści o historii Kościoła katolickiego wracają (są stale obecne) wyprawy krzyżowe, inkwizycja, palenie na stosie, indeksy ksiąg zakazanych, anatemy, wyklęcia, potępienia, egzorcyzmy, ekskomuniki i w ogóle pasmo grzechów, których sprawcami tylko z rzadka mieli być ludzie z samego Kościoła, a żeby hierarchowie, to już najrzadsza rzadkość. Rozdawał więc Kościół przez stulecia wykluczenia, robił to zamaszyście, bezwzględnie, wcześniej systematycznie patrząc, gdzie tu jakieś zło niewiary albo co gorsza tzw. zgorszenia, o ateizmie nie wspominając, kielkuje. I jak ze zdeptać w jakimś zarodku. Ale od dawna cisza, wykluczeń coraz mniej, bo coraz częściej ludzie sami idą, dokąd chcą, i jest to kierunek odwrotny niż ten oczekiwany przez świątynnych. Jeśli więc przez wieki niewyobrażalną karą było eksmitowanie ze wspólnoty, to dzisiaj mamy brak zgody na opuszczenie Kościoła, przytrzymywanie opornych i niewierzących, grzeszników i heretyków, obojętników i walczących ateistów. Wyjścia nie ma! Wyjście wzbronione! Jakżeś wlaź – nie wyleziesz. Żadnych apostazji, żadnych odstępstw, wystąpień, żadnych potępień. Kiedyś ogień stosu za ułamek tego, co gadają, a dzisiaj – głuchota i przytrzymanie. I pomaga w tym Kościołowi polskie państwo.

Dziewięcioletnia dziewczynka mieszka z tatą, trwa proces pozbawienia lub ograniczenia praw rodzicielskich mamy. Proces się przeciąga, pojawia się problem chodzenia przez dziewczynkę na lekcje religii, na które ona chodzić nie chce, ojciec ją wspiera – albo ojciec naciska, a ona się z nim zgadza – oponuje matka, której zależy, żeby dziewczynka chodziła. Sąd, nie wyrabiając się z wyrokiem, postanawia dokonać tzw. zabezpieczenia, co oznacza, że do czasu wydania wyroku dziewczynka ma chodzić na religię. Ponieważ sąd uważa, że to niemożliwe, żeby dziewczynka nie wierzyła, skoro wszystkie dziatki wierzą. Co gorsza,

podczas rozmów dziewczynka powołała się na konkretny artykuł Kodeksu karnego, a dziecko nie może znać Kodeksu karnego. Poza tym sąd uważa, że dziewczynka robi to, czego chce ojciec, z którym mieszka, a powinna robić to, czego chce matka, która z nią nie mieszka. Poza tym dziewczynka jest cicha i nieśmiała, więc sąd uważa, że nie powinna być na dodatek odmieńczynią, która nie chodzi na religię, bo to ją będzie wykluczać.

Oglądamy zatem niezwykle spektakl domniemania katolicyzmu. Co prawda, nie bada się, w co, jak i dlaczego wierzą równolatkowie dziewczynki, ale cóż, ich wiary nie trzeba potwierdzać – ona jest oczywista, powszechna i naturalna w Polsce, kraju nominalnie świeckim, z rozdziałem Kościoła od państwa. W Polsce nawet ateści muszą być katolikami, a co dopiero małe dziewczynki. Płacz i módl się. Zawsze może być gorzej – ksiądz milioner Tadeusz Rydzyk poręczył za niejakiego Bartłomieja M., a sąd i tak wsadził M. do aresztu. Na szczęście dopóki sąd nie wyda wyroku, M. jest niewinny. No, chyba że ksiądz zmieni zdanie.

W Polsce nawet ateści muszą być katolikami.

Tymczasem runęło w pył inne domniemanie – domniemanie ascezy i gomułkowskiej skromności prezesa Prawa i Sprawiedliwości Jarosława Kaczyńskiego, który

po nagłośnieniu rozmów nagranych przez zięcia (Austriaka notabene) kuzyna wyszedł z cienia misternie wznoszonej latami legendy ciamciary bez komórki, prawa jazdy i konta w banku. Nagrania z niedostępnych kazamat siedziby na Nowogrodzkiej przebiły scenariusze serialu „Ucho prezesa”. Jarosław Kaczyński sprawnie ciągnie rozmowy o niewypłaconiu wynagrodzenia przez spółkę, w której nie zasiada ani nie piastuje żadnych funkcji, za pracę wykonaną na rzecz budowy dwóch wieżowców w centrum Warszawy, które nie mogą powstać, bo rządząca miastem od lat Platforma nie daje papieru i dlatego trzeba było wygrać wybory. Ale się nie udało i wieżowce na razie budowane nie będą, bo słusznie zauważa Kaczyński na swoich taśmach: Srebrna to partia, a partia to ja. W drugą stronę też prawda: ja to Srebrna, ja to partia. A polskie prawo wciąż zabrania partiom zajmować się deweloperką. Ale domniemany asceta żyje i działa, zarówno w Sejmie, jak i poza nim, bez „żadnego trybu”, który by go ograniczał. Pamiętamy, jak przed dwiema dekadami Kaczyński marzył w rozmowie z Teresą Torańską, żeby być emerytowanym zbawcą narodu. A zbawców chyba nie dotyczą paragrafy Kodeksu karnego. W końcu zbawca jest doktorem prawa, a nie dziewięcioletnią dziewczynką.

Mam nadzieję, że dane będzie zaznać Kaczyńskiemu domniemania niewinności. Jeśli jeszcze się ostanie pod jego rządami.

Rozmawia Justyna Samolińska

**Zacznijmy od prostego pytania: dlaczego Biedroń? Czego doświadczo-
na lewicowa polityczka szuka i co
znajduje w nowym ruchu Roberta
Biedronia?**

– Drogę do tego, żeby nadal wal-
czyć o to, o co walczę od lat. To
konsekwencja moich wyborów poli-
tycznych – zawsze szukałam alterna-
tywy i uważam, że Robert Biedroń ją
tworzy, że jest i będzie w tym konse-
kwentny. To dla mnie bardzo dużo.
Mam zaufanie do Roberta jako osoby
wiarygodnej w kwestii praw człowie-
ka oraz prospołecznego podejścia do
państwa, które jest dla ludzi i działa.
Długo się znamy i wiem, że wspólnie
jesteśmy w stanie naprawdę dużo
zrobić. Politycy, którzy stworzyli PO
i PiS, a wcześniej przecież realizo-
wali wiele innych projektów, zawsze
wyznaczali polityczno-społeczne
trendy, co nam wszystkim się nie
przystużyło. Wiele osób ma świa-
domość, że Polska zostawiła sporo
ludzi w tyle i niektóre grupy do tej
pory nie mogą się przebić ze swoimi
prawami w polskim parlamencie.
To część elektoratu popierającego
Roberta Biedronia. A on mówi wy-
raźnie: „Chcę to zmienić i nie cof-
nę się”. Ale to także w dużej części
ludzie, którzy po prostu mają dość
wyniszczającego konfliktu dwóch
partii. Chcą otwartego, solidarnego
społeczeństwa, które jest całym ser-
cem za zintegrowaną Europą. Chcą
wreszcie odrobiny współpracy, a nie
ciągłej walki.

**A jak oceniasz szanse ruchu? Już
widać, że liberalno-konserwatywna
opozycja i związane z nią środowi-
ska traktują was jako zagrożenie,
wroga. To dla was dobrze czy źle?**

– To pokazuje, że ich zdaniem
jesteśmy w stanie zagrozić zasta-
nej rzeczywistości. Z drugiej strony
oczywiście niedobrze jest, gdy media
angażują się po jednej ze stron, wy-
kluczają wszystkich, którzy mają in-
ną opinię, inny sposób działania. To
zaprzecza idei pluralizmu, idei różno-
rodności. Nie da się stworzyć sprawnie
działającej demokracji, w której
są tylko dwa głosy.

Proponowałabym opozycji, że-
by zamiast zajmować się krytyką,
wspólnie skupić się na tym, dlacze-
go 50% z nas nie głosuje. To bardzo

IDĘ Z BIEDRONIEM, BO ON SIĘ NIE COFNIĘ

Mamy postulat powołania Komisji Prawdy
i Pojednania, która rozliczy Prawo i Sprawiedliwość
z tego, co robiło przez ostatnie trzy lata

dużo. Nie do końca so-
bie uświadamiamy, że
połowa społeczeństwa
nie jest tą wojną zainte-
resowana, jest zmęczo-
na, zniesmaczona, nie
widzi efektów dla siebie
i swoich bliskich.

**A jakie widzisz szanse
na sukces tego „trze-
ciego głosu”?**

– Pojawił się sondaż,
według którego popie-
ra nas 10% badanych.
Mamy więc tendencję
zwykłą i zamierza-
my ją kontynuować.
Robert jeździ po Pol-
sce i na spotkania
z nim przychodzą tłu-
my. Byłam na spotka-
niu w Łomży. Podlasie
to jeden z regionów, za
które odpowiadam jako



PAULINA PIECHNA-WIĘCKIEWICZ

koordynatorka północno-wschodniej
Polski w ramach naszego projektu,
i było to jedno z największych i naj-
ważniejszych spotkań politycznych
w tym mieście w ciągu ostatnich lat.

**PAŃSTWO TO NIE JEST
BRZYDKIE SŁOWO**

**Wokół jakich wartości ten ruch się
tworzy? Jakie są najważniejsze
założenia, o co przede wszystkim
chce walczyć?**

– Otwartość, różnorodność, pra-
wa człowieka, równość. Bardzo
ważnym elementem jest państwo.
Dzisiaj posługiwanie się terminem
państwo przypomina trochę posłu-
giwanie się terminem polityka – to

sprawy brudne, na które ciągle na-
rzekamy. Żeby tak nie było, państwo
musi pewne rzeczy gwarantować.
Dlatego Robert Biedroń nie kryty-
kuje jako takiego programu 500+.
Państwo nie powinno reagować raz
na jakiś czas, musi działać sprawnie,
mieć transparentne procedury,
również wyboru tych, którzy nim
zarządzają. Mam na myśli nie tylko
polityków w Sejmie, ale także urzęd-
ników, ludzi, z którymi spotykamy
się każdego dnia i którzy załatwiają
nasze sprawy.

**Chcemy też państwa, w którym
każdy region jest tak samo waż-
ny. Tu pojawiają się dwie kwestie:
deglomeracji, czyli przenoszenia
instytucji centralnych poza stolicę**

i największe ośrodki, oraz transportu publicznego.

– Współpracuję z ludźmi z Podlasia, z Warmii i Mazur, koordynuję prace w okręgu siedleckim. Poruszam się transportem publicznym i widzę regres, zwłaszcza w tzw. transporcie wewnętrznym, w ramach jednego regionu, nie na trasie Siedlce-Warszawa, gdzie jest pociąg, ale pomię-

– Poza tym, czym lubimy się emocjonować w naszych małych ojczyznach, czyli dumą z tego, co tutaj mamy, z tego, że mieści się u nas ważny urząd, jest jeszcze kwestia miejsc pracy. Za nimi przychodzą rzemiosło, drobna przedsiębiorczość, kultura. Więcej podatków płynących do lokalnej kasy, a w związku z tym więcej inwestycji. Pożytków jest mnóstwo.

Polska zostawiła sporo ludzi w tyle i niektóre grupy do tej pory nie mogą się przebić ze swoimi prawami w polskim parlamencie.

dzy mniejszymi miejscowościami. Wiem, jak się podróżowało po Mazowszu cztery lata temu – już wtedy nie było lekko, a teraz jest jeszcze gorzej. To dotyczy całego Mazowsza.

Jeżeli państwo nie wspomogło samorządów w odbudowie sieci komunikacyjnej, to wiele innych rzeczy się nie uda – ludzie będą mieli bardzo trudny dostęp do pracy, do szkoły, do lekarza, do najbliższych. Nie przypominam sobie, żeby w debacie publicznej którykolwiek polityk głównego nurtu mówił o likwidacji połączeń autobusowych na Mazowszu. A to dotyka nie setki, ale tysiące ludzi.

A deglomeracja? To nie jest nowy pomysł, pojawiał się w programach wielu partii i zdaje się, że całkiem nieźle funkcjonuje w kilku krajach europejskich, m.in. w Niemczech.

– W deglomeracji nie chodzi o to, żeby nagle wszystkie ministerstwa znalazły się poza Warszawą. Ale też nie należy wciskać ich na siłę do stolicy, ulokowaniem ich w innym mieście można zwiększyć potencjał regionu. Dlatego Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa nie miałyby się znajdować np. w Siedlcach, otoczonych obszarami rolniczymi? Jest dworzec, transport kolejowy, to niedaleko od Warszawy, podróż trwa około godziny.

Co Siedlce miałyby zyskać na takim ruchu?

Po reformie administracyjnej, kiedy powstało 16 województw, wiele miast, które utraciły status wojewódzki, bardzo na tym ucierpiało, zmieniło się. Do tej pory część musi sobie radzić z konsekwencjami tej reformy. Mnóstwo ludzi musi jeździć do pracy do największych ośrodków. Wiemy, że nawet duże miasta tracą ludność na rzecz Warszawy czy Kra-

Należy umieć odróżnić skuteczność w polityce od politycznej kalkulacji

kowa, a co dopiero mniejsze. Jeśli chcemy powstrzymać wyludnianie się i zagwarantować ich rozwój, musimy zapewnić mieszkańcom pracę na miejscu. W różnych zawodach, nie tylko najprostszych.

DOŚĆ ZGNIŁYCH KOMPROMISÓW

Mówiłaś o kompromisach. Jakie jeszcze są sprawy, w których nie ma u was miejsca na kompromis, w których możecie obiecać, że ich nie odpuscicie i nie zgodzicie się z prawicą czy liberałami, niezależnie od tego, jak się ułoży polityczna układanka?

– Mamy swój pomysł na emeryturę obywatelską w wysokości 1,6 tys. zł i będziemy o nią walczyć. Poza tym wszystkie postulaty zwią-

zane z podstawowymi prawami i wolnościami ludzi. Nie pójdziemy na kompromisy w sprawie aborcji, praw osób LGBT. Nie pójdziemy na żaden kompromis w sprawie finansowania Kościoła. Kompromisy, które były zawierane w tych kwestiach, były zgniłe i tak naprawdę ograniczały nasze podstawowe prawa. Niektóre z tych grup wydawały się

rzządzającym na tyle nieważne, że nawet zgniłych kompromisów nie było, jak w przypadku osób nieheteroseksualnych. Zawsze jest „później, później”. Bronimy Unii Europejskiej, jak obronimy Unię, przyjdzie czas na te wszystkie sprawy. Bronimy demokracji, jak obronimy demokrację, to może wtedy. Czyli kiedy? PiS rządzi przecież tylko trzy lata, a wcześniej nic nie zostało załatwione. Nie mamy żadnej gwarancji, że coś się zmieni. Wszyscy mówią: „Platforma się zmienia, skręca w lewo”. Platforma się nie zmienia, ale jeśli wy się zmieniliście, to dołączcie do nas. My jesteśmy w stanie obiecać, że się nie cofniemy.

Mamy też postulat powołania Komisji Prawdy i Pojednania, która rozliczy Prawo i Sprawiedliwość z tego, co robiło przez ostatnie trzy lata, i tu także się nie cofniemy. Jeżeli tego nie rozwiążemy, to nawet jeśli uda się odsunąć PiS od władzy, pewne instytucje i zaufanie do państwa zostaną trwale nadszarpnięte. Od razu mówię: nie chcemy odwetu. Nie będziemy grupą ludzi, która dyszy żądzą zemsty, tylko ludźmi z drugiej strony politycznej barykady. To ma być rzetelne i uczciwe rozliczenie tych, którzy złamali konstytucję, zaszkodziли obywatelkom i obywatelom.

Chcecie skończyć z tą wojną na słowa?

– Dotychczasowa opozycja zachowuje się, jakby spała przez ostatnie półtorej dekady. Nagle wychodzi poseł, posłanka PO i pytają: „Jak to jest, że jeszcze nie zostały zdelegalizowane Młodzież Wszechpolska, ONR, a oni mówią i robią takie straszne rzeczy!”. Ja też pytam, jak to jest. Przecież takie wnioski były wielokrotnie składane, chociażby przez Krzysztofa Gawkowskiego, wtedy w SLD, dzisiaj ze mną u Biedronia. Pamiętam, jak to było w SLD – można było zostać

Paulina Piechna-Więckiewicz – lewicowa działaczka samorządowa, w latach 2006-2018 radna Warszawy. Przez wiele lat związana z SLD, w latach 2011-2015 wiceprzewodnicząca partii. Wraz z Barbarą Nowacką tworzyła stowarzyszenie Inicjatywa Polska, w ostatnich wyborach samorządowych bezskutecznie startowała z komitetu Wygra Warszawa, była kandydatką na wiceprezydentkę u boku Jana Śpiewaka. Obecnie buduje struktury nowej partii Roberta Biedronia na Podlasiu, Warmii i Mazurach oraz Mazowszu.

▶ oplutym na ulicy. Wyzywano nas od komuchów, zdrajców ojczyzny, czerwonych świń.

Nie mówię, że ten konflikt nie nabrał rozpędu – tak się stało, zabójstwo prezydenta Adamowicza było wstrząsające. Ale kiedy trzeba było działać lata temu, nikt nie reagował. Pamiętam, jak wyglądały Parady Równości, jak dostawałam kamieniem czy jajkami w głowę, chociaż nie stałam w pierwszym rzędzie bojowników. Robert Biedroń był atakowany, również kiedy był już postem – to też go nie chroniło. Gdzie wtedy byli posłowie PO?

A z twojej perspektywy, perspektywy warszawskiej, co jest najważniejsze?

– Można mówić, że ofiarą reprivatyzacji padło tylko 30 tys. osób, w skali dwumilionowego miasta, i że to niewiele. Ale może tak mówić tylko osoba, która nie obserwowała tego z bliska. Trzeba pójść i zobaczyć, poznać jedną osobę, wysłuchać jednej historii, porozmawiać z 80-letnią kobietą, która traci cały dorobek życia. Idź, a potem powiedz, że Janek Śpiewak niepotrzebnie się denerwował. Nie chodzi tylko o reprivatyzację. W Warszawie mamy tysiące

Będziemy walczyć o emeryturę obywatelską w wysokości 1,6 tys. zł.

osób bez centralnego ogrzewania – myślę, że dla wielu ludzi w Polsce ta informacja może być szokująca. Jeżeli ktoś ma ambicję łączyć społeczeństwo, jeśli dla kogoś demokracja jako udział nas wszystkich we władzy jest ważna, nie można tego pomijać. Nie chcę robić z siebie nie wiadomo kogo, ja też jeszcze muszę wiele się nauczyć, ale musimy to zrozumieć – wszyscy na to pozwoliliśmy, a kolorowe dekoracje na ulicach Warszawy nie są w stanie tego ukryć.

Oczywiście nie jestem z tych, którzy mówią, że tych dekoracji ma nie być. Ludziom są potrzebne różne rzeczy, wrażenia estetyczne, kultura. Bez edukacji, bez kultury polityka społeczna nie będzie miała sensu. Jeśli będzie cenzura kultury, to głos słabszych nie będzie słyszany, a my staniemy się społeczeństwem zamkniętym na nowe idee. Mamy jakieś takie myślenie, że walka albo

o mieszkania, albo o teatry. A przecież państwo, społeczeństwo to system naczyń połączonych.

Ruch Biedronia będzie jednocześnie blokował eksmisje i walczył o „Klątwę” w teatrze?

– Partie polityczne powinny zadbać, żeby takie sytuacje nie były konieczne, żeby ci wspaniali ludzie, którzy dzisiaj chodzą na blokady eksmisji, nie musieli na to się narażać i żeby cenzura w kulturze nie zaistniała.

DO PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO PÓJDZIEMY SAMI

Mówisz o finansowaniu transportu zbiorowego ze środków publicznych, o walce z wykluczeniem, o usługach publicznych; o silnym państwie dbającym o słabszych. To jednoznacznie kojarzy się z socjaldemokracją, z lewicą. Czy partia Biedronia będzie partią lewicową?

– Nie określamy się tak, natomiast wiele elementów z lewicą się kojarzy. To kwestia nie tylko państwa troszczącego się o obywateli, ale także praw człowieka, w tym praw kobiet, praw społeczności queer oraz przykładowo rozdziału Kościoła od państwa.

Często pojawiają się zarzuty, zwłaszcza na lewicy, że w naszym ruchu są przedsiębiorcy. Tak, są w naszym ruchu, ponieważ też są częścią społeczeństwa. Drobnymi i średnimi przedsiębiorcami zatrudniają najwięcej ludzi. Trzeba pomyśleć o tym, jak z nimi współpracować w taki sposób, żeby było to dobre dla nas wszystkich. Po 18 latach doświadczenia w polityce wiem, że nie da się tworzyć programu, w którym zignorujemy tę grupę i powiemy: „Nie mamy dla was rozwiązań, nie mamy dla was ułatwień”. Momentem, w którym mówimy stop pewnym rzeczom, jest oczywiście przestrzeganie praw człowieka na rynku pracy. Nie mamy tu żadnych wątpliwości. Można jednak mieć postępowy program, który wspiera przedsiębiorczość. Jest również kwestia uczciwych przedsiębiorców, którzy płacą uczciwie, przestrzegają prawa pracy, ale nie mają szans na rynku w starciu z kimś, kto tych praw nie przestrzega. Chciałabym móc jasno określać

różne zjawiska, ale widzę, że ludzie też nie chcą się określać. Chcą, żeby państwo działało, a nie żeby rządził ktoś, kto określa się tak czy inaczej.

Najbliższe wybory to wybory do Parlamentu Europejskiego. Czy planujecie w nich startować i czy trwają jakieś rozmowy koalicyjne?

– Idziemy sami, bo Robert Biedroń obiecał nową jakość w polskiej polityce i tego słowa dotrzyma. Chcemy walczyć o własną podmiotowość, o to, żeby nasze pomysły i wizja mogły wybrzmieć. Bardzo dużo w zeszłym roku toczyłam dyskusji o skuteczności w polityce. Pojawiały się opinie, także wśród ludzi, których długo znam, że to takie romantyczne i marzycielskie – nie iść z Koalicją Obywatelską do wyborów. Że to nie ma sensu, że nie jestem i nie chcę być skuteczna, wolę stać z boku. Ja chcę być skuteczna, ale w ramach programu, w którym jestem wiarygodna i wiarygodne są osoby, z którymi współpracuję. I, jak się okazało, sondaże i badania pokazują, że to działa.

Czy mówisz o rozmowach z Barbarą Nowacką, która postanowiła dołączyć do obozu Schetyny?

– O rozmowach z różnymi ludźmi. Niektórzy byli rozczarowani, że nie chcę startować z komitetu Koalicji Obywatelskiej. Te dyskusje odbywały się także w ramach stowarzyszenia Inicjatywa Polska. Moje koleżanki i koledzy uważali, że będą mogli realizować swoją politykę w ramach Koalicji Obywatelskiej, ja – że to niemożliwe. Przecież jednym z naszych projektów był „Ratujmy Kobiety”, projekt ustawy liberalizującej aborcję. Zdanie Grzegorza Schetyny w tej kwestii jest jasne. Myślę, że należy umieć odróżnić skuteczność w polityce od politycznej kalkulacji.

A jak sobie wyobrażacie współpracę z innymi podmiotami na lewicy: z Sojuszem Lewicy Demokratycznej, z Unią Pracy, z Razem, które próbują być tą alternatywą?

– Do wyborów idziemy sami. Z życzliwością patrzymy na koleżanki i kolegów z lewicy, ale za chwilę może się okazać, że jakaś część może pójść drogą Inicjatywy Polskiej i przyłączyć się do Koalicji Obywatelskiej.

Justyna Samolińska

Z SYBIRU ZA STERY SAMOLOTÓW

Wysiętek lotników Ludowego Wojska Polskiego nie ustępował oddaniu Polaków w bitwie o Anglię

Tomasz Wojciechowski

„Na ułamek sekundy ogarnął mnie strach. Nie dam rady! Przecież w samolocie myśliwskim przyrządów pokładowych będzie cztery, pięć razy więcej. Dojdą do tego karabiny maszynowe, obsługa radia, będę musiał dowodzić lub wykonywać rozkazy dowódcy. W powietrzu czyhać będzie nieprzyjaciół, którego należy wykryć i zestrzelić. W słuchawkach coś zachrobotało: to mówi do mnie instruktor. Strach ustąpił. Nie od razu Kraków zbudowano, a to jest przecież mój pierwszy lot”.

Tak opisuje swój pierwszy lot treningowy pilot Edward Chromy, polski lotnik walczący na Wschodzie. Tacy jak on piloci Wojska Polskiego zostali zapomniani. A przecież walczyli o wyzwolenie ojczyzny nie na obcym niebie, ale nad Polską. W brawurowych atakach niszczyli niemieckie czołgi, linie kolejowe i paryżowoz, odnosili sukcesy w walkach myśliwskich. Chociaż los rzucił ich na ziemię radziecką, oddawali życie i zdrowie, by walczyć o wolność Polski. Ich wysiętek nie ustępował oddaniu Polaków w bitwie o Anglię.

Chociaż samoloty były produkcji radzieckiej, już z daleka widać było polską biało-czerwoną szachownicę.

Dla lotników Ludowego Wojska Polskiego ważne, jeśli nie najważniejsze, było jednak braterstwo broni, gdyż polscy piloci mieli różne życiorysy. Część walczyła jeszcze we wrześniu 1939 r., ale większość z lotnictwem nie miała wiele wspólnego, wreszcie sporą część personelu latającego i całość kadry instruktorskiej stanowili Rosjanie. Ubrani byli w polskie mundury, żartobliwie mówiono o nich PoP, czyli pełniący obowiązki Polaka. Tak jak dowódca 1. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa” ppłk Iwan Tałdykin. Pilot Medard Konieczny tak go wspomina: „Świetnie



Ppor. Jurij Kozak (w skórzanej kurtce) i mechanicy samolotu.

wczuł się w nasz temperament narodowy i naszą narodową mentalność. Nigdy nie okazywał nam, że jesteśmy ubogimi krewnymi. Bez przesady można powiedzieć, że był Rosjaninem z polskim sposobem myślenia”. Płk Leon Szurka dodaje: „Byli z nami mechanicy i technicy

lotnictwa radzieckiego. Nie było między nami lepszych i gorszych, żyliśmy jak jedna rodzina. Mechanik polski obsługiwał samolot, na którym latał pilot radziecki, a mechanik radziecki samolot, na którym latał pilot polski. Łączyła nas wielka przyjaźń”. Wspólna walka na froncie pociągała za sobą też wspólne mogiły. Na terenie Polski lotnicy obu narodów pochowani są na cmentarzach w Bydgoszczy, Radomiu, Warszawie, Kołobrzegu.

Chociaż samoloty były produkcji radzieckiej, już z daleka widać było polską biało-czerwoną szachownicę.

„Iły zatoczyły krąg, by wejść na kurs bojowy, my kreśliliśmy nad nimi potężny zygzak, mając słońce z przodu, nieco z boku. I wtedy to właśnie ukazały się Focke-Wulfy. Było ich sześć lub osiem. Wyskoczyły niespodziewanie zza dymnej chmury, usiłując zaatakować nasze szturmowce z góry. (...) Wszystkie dziesięć Jaków skierowało nosy w stronę sunącej groźnie eskadry Focke-Wulfów. I prawie jednocześnie zagrało dziesięć działek. Z wylotów luf poleciały pociski, znacząc swój tor czerwonymi paciorkami. Nikt naturalnie nie celował w konkretną maszynę, na to nie było czasu, waliliśmy po prostu w środek szkopskiej eskadry. Skutek był piorunujący. Niemcy najwidoczniej nie spodziewali się tak szybkiej naszej reakcji, a jednocześnie na pewno już znali działanie 37-milimetrowych armatek. Zaledwie bowiem smugi obramowały niemiecki ześpół, ten już się rozsypał. Niemcy po rozbiciu szyku nie próbowali nawet zebrać się i ponownie atakować”. To opis lotu bojowego z kwietnia 1945 r., przeprowadzonego przez

► mjr. Medarda Koniecznego z 9. Pułku Myśliwskiego.

RÓŻNE ŻYCIORYSY

Ludowe Lotnictwo Polskie pod koniec II wojny światowej składało się m.in. z 1. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa”, trzech kolejnych pułków lotnictwa myśliwskiego (9., 10. i 11.), 2. Pułku Nocnych Bombowców „Kraków” oraz pułków lotnictwa szturmowego.

Gdy w 1943 r. Związek Patriotów Polskich wraz z gen. Zygmunt Berlingiem przystąpił do organizowania w Sielcach 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, równolegle zaczęto kłaść podwaliny pod polskie lotnictwo. Zaczęło się od 1. Samodzielnej Eskadry Lotnictwa Myśliwskiego, do której kandydatów na pilotów po prostu wyłapywano, ogłaszając nabór na apelach. Pierwszych 17, z których zdecydowana większość nie miała dotychczas nic wspólnego z lotnictwem, przystąpiło do intensywnego szkolenia na lotnisku Grigoriewskoję. Tempo było bardzo szybkie – na wyszkolenie (wraz z teorią) w zakresie pilotażu podstawowego i specjalizacji myśliwskiej przewidziano tylko 10 miesięcy. Nie zapomniano też o przeszkoleniu spadochronowym. Instruktorzy lotniczy chwalili się ponoć, że „nawet krowę można nauczyć latać”.

Wykłady teoretyczne prowadzone były w języku rosyjskim, a lista przedmiotów obejmowała: nawigację lotniczą, budowę płatowca, budowę silnika, teorię lotu, strzelanie powietrzne, taktykę lotnictwa, łączność radiową oraz wyszkolenie spadochronowe. Nie lada trudnością, jak się okazało, było opanowanie właśnie rosyjskiej terminologii lotniczej. Jeden z pierwszych mechaników, Leon Szurka, wspominał: „Nasza znajomość języka rosyjskiego była słaba. Szczególnie trudne wydawały się wyrażenia techniczne. Kiedy major zapytał mnie, co by się stało, gdyby pilot wleciał, mając »strubcyny« na »eleronach« – stałem jak słup, nie wiedziałem, co odpowiedzieć, gdyż pierwszy raz słyszałem takie słowa”.

Regulaminy i obyczaje wojskowe w eskadrze były polskie. Kandydaci na pilotów spali w ziemiankach, na



Karabin maszynowy kal. 12,7 mm sprawdzają chor. Czesław Bogusiewicz (z lewej) oraz kpr. Naftali Fajersztajn. Zadybie Stare, sierpień-wrzesień 1944 r.

drewnianych łózkach. Zadbano o dobre wyżywienie.

Polskim dowódcą jednostki został pilot kpt. Wacław Czesław Kozłowski, tragicznie zmarły niedługo później w katastrofie lotniczej. Szkolenie lotników było prowadzone według standardowego modelu radzieckiego, czyli Programu podstawowego wyszkolenia lotniczego oraz Programu wyszkolenia bojowego lotnictwa myśliwskiego. Podstawowym stopniem oficerskim był podchorąży.

Jak wyglądał dzień polskich lotników na Wschodzie? „Życie w eskadrze zaczynało się o godz. 6 rano. (...) Nasza ziemianka była duża i obszerna. Na środku mieściły się stoły, a pod ścianami drewniane, proste żołnierskie łóżka z siennikami. (...) Jeżeli będą odpowiednie warunki atmosferyczne, to o godz. 8 zaczniemy

W eskadrze obowiązywały polskie regulaminy i obyczaje wojskowe.

loty. Jeżeli pogody nie będzie, pójdziemy do sal wykładowych. Podczas gimnastyki słyszymy pracujące na małych obrotach silniki lotnicze. Hangarów, naturalnie, nie mieliśmy. Samoloty stały na tzw. stoiskach, zagłębionych w ziemi, nieco okopanych, od góry starannie w dzień maskowanych. Gdy przybywaliśmy na loty, samoloty stały na stoiskach,

sprawdzone przez mechaników, z podgrzany silnikami”, wspomina w swojej książce pilot Edward Chromy. Codzienne życie personelu latającego obracało się wokół nauki teorii, ćwiczeń lotniczych, sytych posiłków i snu.

Kim byli polscy lotnicy w Rosji radzieckiej? Jedni, jak kpt. Wacław Czesław Kozłowski, mieli polskie korzenie, on sam był wnukiem zesłańca z 1863 r. Dowódca 2. Pułku Nocnych Bombowców „Kraków”, płk Józef Smaga, był oficerem radzieckim, również pochodzenia polskiego. Medard Konieczny, który jako jeden z pierwszych pilotów tworzył lotnictwo LWP, miał za sobą wojnę obronną w 1939 r.

Czasem trudno było odnaleźć pilotów w nowo tworzonemu wojsku polskim. Ppor. Michał Jakubik, nim wyszło na jaw, że był pilotem, dostał przydział do wojsk pancernych. „Zacząłem chaotycznie opowiadać, że chciałem służyć w lotnictwie, że chciałem latać, bić hitlerowców z powietrza, że obecnie jestem czołgistą, a latać zacząłem w 1935 r. w pułku lotniczym w Toruniu”, wspominał. Z kolei Aleksander Danielak pochodził z Kresów, po ataku Niemców na ZSRR wyjechał dalej na wschód. Na początku 1944 r. dowiedział się o powstaniu LWP i zgłosił do obozu w Kiwercach. Otrzymał stopień sierżanta piechoty. Ostatecznie Danielak, który

we wrześniu 1939 r. walczył jako strzelec pokładowy, dostał przeniesienie do pułku „Kraków”. Mjr Nikołaj Bujewicz wywoził się natomiast z rodziny polskich imigrantów osiadłej w Sankt Petersburgu. Po służbie w lotnictwie radzieckim przeniósł się do lotnictwa polskiego na Wschodzie. W szeregach lotnictwa znalazł się także Polak z irlandzkimi korzeniami, Hugo O’Brien de Lacy. Przebywał w łagrze w ZSRR i nie objęła go amnestia. W końcu dotarł do formującego się Wojska Polskiego i rozpoczął szkolenie jako pilot myśliwski. Jak sam twierdził, został pilotem, bo poszedł „tam, gdzie dają najlepiej jeść”. Lepiej trafić nie mógł – polskim pilotom miało nie brakować nawet kawioru. Lotnikami byli często niedawni łagiernicy, którzy chcieli walczyć, ale też w wojsku szukali szansy na przeżycie. Edward Chromy, wywieziony w głąb Rosji, pracował przy wycinie drzew, by ostatecznie zasiąść za sterami myśliwca.

Nie było sprzętu mechanicznego ani wózków, obsługa naziemna przenosiła i mocowała bomby gołymi rękami.

W lotnictwie LWP na wzór radziecki stosowano system lotów parami. Chromy był tzw. bocznym rosyjskiego asa przestworzy o polskich korzeniach, por. Wiktora Kalinowskiego, który miał na koncie 12 zestrzeleń (oznaczanych na kadłubie białymi orłami).

W BOJU

Polskie samoloty, wspierając natarcie jednostek Wojska Polskiego, wykonywały m.in. misje bojowe w walkach o Wał Pomorski (w tym o Kołobrzeg) oraz przeprowadzały ataki w ramach operacji berlińskiej. Polscy piloci chrzest bojowy mieli podczas walk na przyczółku warecko-magnuszewskim.

Akcje bojowe nie mogłyby dojść do skutku, gdyby samoloty nie były w pełni sprawne, zatankowane i uzbrojone. A zaopatrzenie w bomby i pociski nie było łatwą sprawą. Nie mając sprzętu mechanicznego czy wózków, obsługa naziemna przenosiła i mocowała bomby gołymi rękami. Każda bomba potrafiła ważyć tyle, ile dorosły, postawny mężczyzna...

„W ciągu jednej nocy o przeciętnym natężeniu lotów podwieszali-

śmy przeciętnie po ok. 10 ton bomb. A nie było to wcale takie proste. Nie było wózków do bomb. Trzeba je było dźwigać w rękach. Również wszystkie czynności związane z podwieszaniem bomb wykonywane były ręcznie. Rezultatem tego były częste wypadki przycinania palców. (...) Pod koniec nocy nie czuło się pleców ani rąk, palce ociekały krwią”, wspominał mechanik pułku „Kraków” Marian Maciejowski.

Piloci w ciągu nocy potrafili wykonać łącznie od 60 do 90 lotów bojowych. Było to wyczerpujące dla załóg i maszyn. Wolnego czasu pozostawało bardzo mało. Edward Chromy: „Do kina chodziliśmy bardzo rzadko, przeważnie w niedzielę. Można było iść do świetlicy, gdzie czytało się gazety, słuchało radia, pisało listy do rodziców lub dziewczyny”. On sam dostał list od rodziny, który wspomina tak: „Otrzymałem z Pińska list. Koperta była adresowana obcym mi charakterem pisma.

Już ten fakt mówił, że list nie przyniesie nic dobrego. Pisał go, jak się okazało, mój wuj, donosząc, że ojca rozstrzelali hitlerowcy jako zakładnika jeszcze w 1943 r., obie siostry zostały wywiezione do Reichu, a matka po wyzwoleniu pojechała mnie szukać w wojsku”. Emocje spowodowały, że na trzy dni dostał zakaz siadania za sterem samolotu.

Nastrój poprawiał eskadrowy śpiewak, jeden z pilotów, który grał na gitarze i inicjował w ziemiance wspólne śpiewanie. Pomagało to choć na chwilę zapomnieć o wojnie, śmierci bliskich.

Gdy wojna dobiegła końca, niektórzy polscy lotnicy, np. por. Wiktor Kalinowski, wrócili do ZSRR. Większość jednak tworzyła zręby lotnictwa Polski Ludowej. Nazwy „Warszawa” czy „Kraków” są kontynuowane we współczesnym lotnictwie.

Polskim pilotom, którzy latali w LWP, nie można zarzucić braku determinacji czy odwagi. W czasie wojny ocalili niejedno życie żołnierskie, oślanając kolegów. Ocalonych cywilów były tysiące.

Tomasz Wojciechowski

KSIĄŻKI

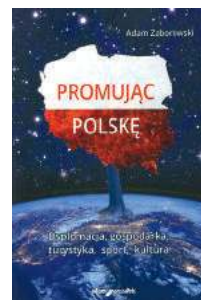
Adam Zaborowski

**Promując Polskę
Dyplomacja, gospodarka,
turystyka, sport, kultura**

Wydawnictwo Adam Marszałek

Toruń 2018

Podsumowanie doświadczeń autora dotyczących zagranicznej promocji Polski i budowania pozytywnego wizerunku naszego kraju. Ich źródłem jest praca w dyplomacji w Niemczech, w biznesie turystycznym w Gromada Travel w Berlinie oraz w OST Gromada i na stanowisku wiceprezesa Polskiej Organizacji Turystycznej. Niewątpliwie bardzo pomocna w tej pracy była wcześniejsza aktywność w organizacjach młodzieżowych, ZSP i SZSP, w tym pełnienie funkcji przewodniczącego Rady Uczelnianej SZSP Politechniki Warszawskiej. Głównym przesłaniem książki jest potrzeba stworzenia strategii promocji wizerunku Polski, koordynacji promocji Polski za granicą przez turystykę. Zwłaszcza że – jak autor zauważa – nigdy w okresie 16 lat jego pracy za granicą wizerunek Polski nie został tak nadwyrężony, a opinie światowych mediów nie były tak złe jak obecnie. Pokazuje więc konkretne przykłady wykorzystywania w promocji gospodarczej i turystycznej sportu, kultury, przyrody i historii.



Stanisław Sławomir Nicieja

Kresowa Atlantyda, t. XII

Wydawnictwo MS

Opole 2018

W wędrówkach po Kresach autor udał się tym razem szlakiem polskiego mitu narodowego wykreowanego przez Henryka Sienkiewicza w Trylogii. Zaczyna od opisu Zbaraża i przedstawienia ludzi wywodzących się z miasteczka rozświetlonego barwnym opisem obrony w „Ogniem i mieczem”. Następnie przedstawia podolskie wsie, w których polscy arystokraci wzniesli twierdze, zamki i pałace mocno wpisane w historię Polski, Austrii i Ukrainy: Podhorce, nazywane podolskim Wersalem, Olesko i Koropiec. Tom bogato ilustrowany zdjęciami współczesnymi i archiwalnymi.



Cyfrowa odpowiedzialność

Wytrzymałem bez internetu 11 dni

Rozmawia Anna Brzeska

Misją fundacji są „działania prowadzące do poprawy jakości życia wszystkich członków społeczności lokalnej”. Czyli czym państwo się zajmują?

– Fundacja powstała po to, by uczyć, jak odpowiedzialnie i bezpiecznie korzystać z mediów cyfrowych. Na co dzień prowadzimy szkolenia, głównie wśród rodziców, uczniów i nauczycieli. Przygotowujemy je, opierając się na badaniach naukowych. Razem z Uniwersytetem Gdańskim w latach 2015-2016 przeprowadziliśmy cykl badań wśród 22 tys. uczniów. Teraz, od 2017 r., realizujemy nowy cykl w ramach projektu „Młodzi cyfrowi”.

Mówi pan o odpowiedzialnym i bezpiecznym korzystaniu z sieci. Co to w praktyce oznacza?

– Przede wszystkim chodzi o zachowanie podstawowej higieny. Czymś niehigienicznym jest np. używanie smartfona przed zaśnięciem. Istnieją badania, które pokazują, że nadużywanie mediów cyfrowych w ciemnym pomieszczeniu powoduje problemy z zaśnięciem, pogorszenie wzroku, przemęczenie, słabsze przyswajanie treści na lekcjach. Niehigieniczne jest też korzystanie ze smartfona podczas prowadzenia samochodu, używanie go w czasie posiłku czy spotkań z innymi lub doprowadzenie do sytuacji, że ciągle czekamy, aż ktoś do nas napisze bądź zadzwoni, że reagujemy na każde przychodzące powiadomienie.

Odpowiedzialne używanie to takie, które przynosi nam korzyści, a redukuje straty. Korzyści mogą wynikać np. z używania smartfona w celach edukacyjnych lub takiego, które pozwala nam zaoszczędzić czas, spotkać się z innymi poza siecią – lub pomagać innym. Odpowiedzialne używanie cyfrowych dobrodziejstw przyczynia się więc do pomnożenia ogólnie pojętego dobra osobistego czy społecznego.

DR MACIEJ DĘBSKI

– założyciel Fundacji
Dbam o Mój Z@sięg

Jak rozumiem, chcą państwo przestrzegać przed tymi złymi skutkami korzystania z sieci.

– Powiem od razu, że internet nie jest dobry ani zły. Złe bądź dobre może być jego używanie czy nasze intencje. Ale jakiegokolwiek nadużywanie go zawsze jest szkodliwe. Nadużywać oznacza utracić kontrolę i poczucie czasu, zaniedbywać z tego powodu obowiązki, nie umieć żyć bez obecności narzędzi technologiczno-informacyjnych.

Skąd jednak wiemy, gdzie jest granica między byciem uzależnionym a sytuacją, kiedy po prostu dużo czasu spędzamy w sieci, bo tego wymaga nasza praca?

– Zaczniemy od tego, że w międzynarodowych klasyfikacjach chorób nie ma czegoś takiego jak uzależnienie od telefonu komórkowego czy sieci. Należy raczej mówić o nadużywaniu, nałogowym, problemowym używaniu, patologicznym przywiązaniu. Uzależnienie rezerwowałbym dla chorób oficjalnie uznanych, mających swoje kody w międzynarodowej klasyfikacji.

Mówmy więc o nadużywaniu.

– Używanie technologii informacyjno-komunikacyjnych (np. smartfonów) w sposób niekontrolowany jest związane z tzw. kompulsją. To wykonywanie czynności pod wpływem niedającego się opanować wewnętrznego przymusu: muszę korzystać, muszę grać. Całe moje ciało, psychika są tak skoncentrowane na tej czynności, że nic innego się nie liczy. Gdyby wyszła pani dziś z domu bez telefonu i cofnęłaby się po niego, bo umówiliśmy się na rozmowę, byłaby to zupełnie inna sytuacja niż taka, kiedy wraca pani do domu z lękiem, bo nie ma pani przy sobie smartfona. Jeśli odczuwamy wewnętrzny przymus, by coś



robić – a gdy przestajemy, pojawia się jedna wielka negatywna emocja i stres – jest to pierwszy wyznacznik nadużywania.

Założmy, że czuję pewien niepokój, jeśli wyjdę bez telefonu. Są jeszcze inne kryteria?

– Tak. Drugi wyznacznik to trudność z samokontrolą. Przykład: nadużywam telefonu i jestem tego świadomy, więc wprowadzam jakiś plan naprawczy, zasady, dajmy na to, zawsze zostawiam na noc telefon w samochodzie. Jeżeli śpię normalnie i nie brakuje mi tego telefonu, mogę powiedzieć, że panuję nad kompulsją. Ale jeśli budzę się w nocy, schodzę do samochodu, by sprawdzić, czy nikt nie napisał lub nie zadzwonił, to mam kłopot z samokontrolą.

Trzecia rzecz – myślę, że kluczowa – to wszystkie negatywne stany psychiczne, które ludzie odczuwają, kiedy nie mogą korzystać z internetu, bo np. mają rozładowaną baterię lub są poza zasięgiem. Czyli: obniżony nastrój, lękliwość, apatia, brak poczucia wpływu na to, co się dzieje, agresja. Zdarza się, że po wykładzie przychodzą do mnie rodzice i pytają, co mają zrobić, bo „moje dziecko

rzuciło się na mnie z rękami, gdy zabierałam mu dostęp do sieci”.

Rzeczywiście brzmi niepokojąco.

Co można wtedy zrobić?

– To bardzo silny syndrom odstawienny, więc takie osoby kierują do psychoterapeuty. Niestety, ze wsparciem psychoterapeutycznym w e-uzależnieniach jest problem, bo specjalistów od uzależnień behawioralnych cały czas jest niewielu. Ci, których mamy, bardzo dużo czerpią z wiedzy o uzależnieniach chemicznych i starają się ją przekładać na podejście do uzależnień od różnych czynności. A tu nie można poślubić się kalką. Różnicę wyjaśnimy tak: co jest celem terapeutycznym w leczeniu alkoholizmu? Abstynencja. A czy można uczyć abstynencji kogoś, kto jest zakupoholikiem? Nie, bo przecież i tak będzie musiał robić zakupy.

Tak samo z telefonami czy komputerem.

– Podobnie jest zresztą z seksem. Celem terapeutycznym w terapii uzależnień behawioralnych będzie doprowadzenie do sytuacji, w której dana osoba wykonuje te czynności pod swoją kontrolą. Wydaje mi się jednak, że największą, często pomijaną różnicą jest kwestia uznania kogoś za chorego. Alkoholik to osoba chora, narkoman też. Natomiast uzależnieni od czynności nie są traktowani przez społeczeństwo jako osoby chore. To oznacza, że szkodliwość uzależnień behawioralnych jest uważana za mniejszą niż szkodliwość uzależnień chemicznych. Tymczasem terapeuci mówią wprost: skutki nałogowego grania w gry bywają równie dotkliwe jak skutki picia alkoholu. To rozpad więzi międzyludzkich, zaniedbanie obowiązków, utrata pracy, a nawet zniszczenie zdrowia fizycznego. Oczywiście różnica jest taka, że alkoholik będzie miał problem z wątrobą, a gracz z oczami czy np. zakrzepy, ale można by powiedzieć, że konsekwencje okazują się tak samo katastrofalne.

Wróćmy do zasad, czyli np. zostawiania telefonu w samochodzie lub przedpokoju. Mają one spowodować, że ta kompulsja z czasem zanika?

– Ciągłe robienie tego samego powoduje powstanie w mózgu śladów

pamięciowych, po których mózg potem się porusza. Nawykowe powtarzanie czynności doprowadza do tego, że nawet jeśli pojawia się inna możliwość, nie korzystamy z niej, bo mózgowi łatwiej się poruszać po wyrażnym śladzie pamięciowym. Dlatego jeśli ciągle kładziemy się do łóżka ze smartfonem i robimy to od wielu lat, w ogóle nie myślimy o tym, żeby położyć się z książką. Stworzenie domowych zasad korzystania z mediów cyfrowych jest pokazaniem naszemu mózgowi, że można inaczej. Dzięki temu budują się w nas inne nawyki, prowadzące do innych śladów pamięciowych – i są one bardziej pozytywne. Wcale nie muszę więc cofać się po telefon, nie lecę do każdego powiadomienia.

Wiem, że robił pan taki eksperyment – 100 osób odcieło się na 72 godziny od elektroniki, telefonów, komputerów.

– Umówiliśmy się z grupą młodzieży w Gdyni, że nie używają mediów cyfrowych przez trzy doby. Zrobiliśmy ten eksperyment głównie po to, by młodzież zyskała pewien kontrast, zobaczyła, jak to jest żyć bez mediów cyfrowych w świecie przez nie zdominowanym. Nie polecam nikomu długich eksperymentów

Nadużywanie mediów cyfrowych w ciemnym pomieszczeniu powoduje problemy z zaśnięciem, pogorszenie wzroku, przemęczenie.

tego rodzaju. Ja sam chciałem wytrwać bez mediów cyfrowych dwa miesiące, ale wytrzymałem 11 dni. Chciałem się spotykać z ludźmi, jednak z nikim się nie spotkałem, bo nie wiedziałem, jak się umówić. Nie mając mapy w smartfonie, miałem problem z dojazdem na szkolenia. Można by powiedzieć, że eksperyment totalnie mi się nie udał, ale wiem, że na nim zyskałem. Bo tylko gdy świadomie odetniesz się od mediów cyfrowych, zobaczysz, czego ci najbardziej brakuje. Czy to telefon, internet, czy może Facebook. Jeśli temu się przyjrzymy, możemy się zastanowić, co zrobić, by go nie nadużywać.

A jakie były efekty eksperymentu w Gdyni?

– Pokazał mi siedem czynników, które stanowią pożywkę nadużywania mediów cyfrowych:

1. Niekontrolowana inicjacja cyfrowa w bardzo młodym wieku. Ku-

pienie pięcio- lub siedmioletniemu dziecku własnego smartfona nie jest dobrym pomysłem.

2. Nieograniczony dostęp do internetu. Chodzi mi zarówno o czas, jak i o brak ograniczeń. Żeby dziecko mogło dostać telefon z internetem, musi być dobrze wprowadzone w cyfrowy świat przez rodziców.

3. Brak domowych zasad używania mediów cyfrowych.

4. Nadaktywność na portalach społecznościowych.

5. Nuda, brak pasji czy zainteresowań.

6. Brak edukacji rodziców w zakresie używania mediów cyfrowych.

7. Kiepskie relacje z rodzicami.

Jeśli te siedem czynników zbierają się u jednej osoby, istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo przyklejenia się do sieci.

Czy te wnioski przełożyły się na konkretne działania?

– Fundacja, powołując kampanię „Domowy kodeks” (www.domowykodeks.pl), uczy rodziców, również poprzez warsztaty z nimi i z dziećmi, jak ustalać domowe zasady używania mediów cyfrowych. Z kolei nasze materiały przygotowane w ramach programu edukacyjnego „Fonolandia” (www.fonolandia.edu.pl) są przeznaczone już dla pięcio- czy sześciolatków oraz uczniów klas I-III szkoły podstawowej. Odpowiedzialność cyfrową powinno się modelować od najmłodszych lat. Jeśli szkoła mówi: dzieci już mają smartfony, więc teraz pogadajmy o ich bezpiecznym używaniu, jest to spóźnienie się z procesem edukacyjnym o dobre pięć lat.

Nadużywanie mediów cyfrowych w ciemnym pomieszczeniu powoduje problemy z zaśnięciem, pogorszenie wzroku, przemęczenie.

edu.pl) są przeznaczone już dla pięcio- czy sześciolatków oraz uczniów klas I-III szkoły podstawowej. Odpowiedzialność cyfrową powinno się modelować od najmłodszych lat. Jeśli szkoła mówi: dzieci już mają smartfony, więc teraz pogadajmy o ich bezpiecznym używaniu, jest to spóźnienie się z procesem edukacyjnym o dobre pięć lat.

Czyli edukacja najmłodszych.

A jeśli dorośli też czują, że powinni przyjrzeć się sobie, czy przypadkiem nie nadużywają smartfonów?

– Docelowo w ramach fundacji chcemy założyć w odosobnionym miejscu ośrodek ciszy wraz z profesjonalnie działającym ośrodkiem leczenia e-uzależnień. Będzie tam można odłożyć media cyfrowe, złapać trochę równowagi psychicznej. To miejsce będzie przeznaczone również dla tych, którzy są nie uzależnieni, ale po prostu przeciążeni informa-

► cjami i pozostawianiem w ciągłym kontakcie z siecią i tym, co ona nam daje – albo zabiera.

To mi trochę przypomina miejsca odosobnienia oferowane dziś przez ośrodki buddyjskie czy nawet klasztory.

– Nie zamierzamy iść w duchowość, choć wiemy, że medytacja może być pomocna. Raczej myślimy o tym, by ludzie zakosztowali życia poza siecią, a ci, którzy jej nadużywają, mieli wsparcie psychologiczne, psychoterapeutyczne i psychiatryczne. Coraz większy nacisk kładziemy też na to, jak ważna jest więź i bliskość między rodzicami a dziećmi. Dlatego chcemy organizować wspólne weekendowe wyjazdy *offline* dla dzieci i rodziców na Kaszubach. Dzieci wspólnie z rodzicami, lecz bez mediów cyfrowych. Zaczynamy działania, które dotyczą nie samych mediów cyfrowych, ale ogólnie kompetencji rodzicielskich, wspólnego spędzania czasu wolnego.

Skutki nałogowego grania w gry bywają tak samo dotkliwe jak skutki picia alkoholu.

Nie jest bowiem tak, że to media cyfrowe niszczą więzi. Te więzi czasem już wcześniej są zniszczone bądź nadwątlone, co sprawia, że gdy dziecko wchodzi w świat internetu, ten stanowi dla niego zagrożenie. Podczas gdyńskiego eksperymentu zaobserwowaliśmy, że uczestnikom zwoływały się przeciętnie cztery godziny w ciągu dnia. I ani oni, ani wielu rodziców w ogóle nie wiedziało, jak ten czas wypełnić. Czy to oznacza, że gdy w sposób dość sztuczny pozabawiliśmy domy nowych technologii, wyssaliśmy również z tych rodzin kompetencje rodziców do spędzania czasu wolnego z dziećmi? Nie. Tych kompetencji w ogóle nie było.



Sugeruje pan, że ludzie nie wiedzą, co powinno się robić z dziećmi w czasie wolnym?

– Właśnie z taką sytuacją czasem możemy się spotkać. Tworząc wzór domowego kodeksu odpowiedzialnego używania mediów cyfrowych, myślałem, że znalazłem panaceum na bolączki rodziców. A tu przychodzi do mnie rodzic i żali się: ale ja nie wiedziałbym, jak taką rozmowę z dzieckiem przeprowadzić.

Taki scenariusz znajduje się więc teraz na stronie www.domowykodeks.pl, w zakładce „Dla rodziców”. Zaraz potem wstał jednak kolejny ojciec z pytaniem, czy prowadzę jakieś zajęcia, które by pokazywały, jak rodzice mogą spędzać fajnie czas z dziećmi.

Po kilku latach pracy wiem już, że jeżeli szkolę rodziców, nauczycieli i uczniów, to ci pierwsi są kluczowi. Trzeba im dawać wsparcie w byciu blisko dziecka. Dziecko, które czuje opiekę rodziców, będzie bardziej świadomym użytkownikiem internetu. Korzystniej jest też, jeśli my sami jesteśmy aktorami czy nawet kreatorami treści, które pojawiają się w sieci. Jeżeli dziecko spędza z mamą

czas i mają wspólną pasję, np. gotowanie, jest duże prawdopodobieństwo, że mama dziecku założy live’a, na którym ono będzie uczyło w sieci inne dzieci gotowania. I to dziecko może nawet trzy godziny dziennie używać internetu – ale to będą godziny spędzone na uczeniu gotowania. Niestety, nie możemy oczekiwać, że dziecko zaniedbane emocjonalnie będzie e-wolontariuszem, że będzie pomagało w różnych akcjach.

Wracając do domowego kodeksu, na czym może on polegać? Chodzi o wyznaczenie czasu korzystania z sieci, jakieś pory dnia?

– My nie ustalimy nikomu tych zasad. Z uniwersalnych najlepsze będą takie, by nie używać smartfonów przed snem, przy obiedzie, nie brać ich do toalety. Może ich być mnóstwo. Muszą wisieć w widocznym miejscu. Nie mogą też być dane raz na zawsze – trzeba je monitorować i zmieniać, jeśli jest taka potrzeba. Poza tym rodzice muszą wiedzieć, że za każdą łamaną zasadą kryje się indywidualna potrzeba dziecka. Nie chodzi o to, by je za to karać, trzeba się dowiedzieć, dlaczego ich nie przestrzega. Kluczowy jest jednak już sam proces ustalania zasad. Nie może być tak, że któreś z rodziców powie: zastanów się nad zasadami, a ja przyjdę po nie za pół godziny. Domowy kodeks musi być realny, ustalony wspólnie i przestrzegany również przez rodziców. W ten sposób wzmacniamy w dziecku poczucie podmiotowości, przekonanie, że jego zdanie się liczy, jest brane pod uwagę. Poza tym jeśli wspólnie zbudujemy ten kodeks, dziecko po prostu będzie wiedziało, że to są także jego zasady.

Anna Brzeska

Nie tylko K-Tower...
O innych interesach prezesa
przeczytaj w najnowszym
numerze tygodnika „NIE”.



Oko w oko



Tomasz Jastrun

SREBRNE TAŚMY

Marcina Króla znałem jako wielkiego optymistę, jeszcze w czasach, gdy kierował miesięcznikiem „Res Publika”, byłem wtedy w redakcji tego elitarnego pisma. Teraz z niego większy czarnowidz ode mnie, a przecież to mnie zawsze oskarżano o skrajny pesymizm. Cenię oryginalną inteligencję i wiedzę Marcina, chociaż ma skłonność do przewidywania przyszłości, co uważam za heroizm, który prowadzi do klęski, bo nikomu to jeszcze się nie udało. Król wieści kres naszej cywilizacji, okres zamętu, śmierć demokracji liberalnej, boi się o swoje wnuki i dzieci. Podobną estymą darzę Macieja Zarembę-Bielawskiego. Opublikował niedawno w Polsce ciekawą książkę, biografię swojej rodziny, „Dom z dwiema wieżami”. Zaprzyjaźniłem się z nim, gdy byłem w Szwecji szefem Instytutu Polskiego. Maciek wyrósł teraz na bodaj najciekawszego w Szwecji eselistę i reportera. Świetny, precyzyjny umysł, zaprawiony ironią. Myśli i mówi tak samo jak Marcin. I też się boi o swoje dzieci. Mają obaj wiele argumentów na poparcie swojej katastroficznej wizji, a przecież nie ma w niej skutków globalnego ocieplenia, jest tylko analiza procesów politycznych.

Właściwie wszyscy mądrzy ludzie podobnie to widzą. Czy to znaczy, że tak będzie? W przypadku globalnego ocieplenia i związanych z tym katastrof myślę, że niestety sprawdzą się prognozy naukowców, chociaż skutki zjawiska są trudne do przewidzenia i na pewno nas zaskoczą. W przypadku katastrofy politycznej mam wątpliwości. Jeśli spadnie na nas wielki cios, to z niespodziewanej strony. Tak było zawsze. Choćby w XX w. nikt nie przewidział dwóch wojen światowych. Niedocenione wydaje mi się zagrożenie ze strony broni termojądrowej, która już trafia do państw zbójceckich. Psycholog Bogdan de Barbaro mówi, że przeraża go, jak nakręca się spirala nienawiści w języku. W książce „Rwący nurt historii” Ryszard Kapuściński pisał przed laty: „Wojna we współczesnym świecie zaczyna się od zmiany języka w propagandzie. Kiedy śledzimy język, to, jak on się zmienia, jak zaczynają pojawiać się pewne słowa, okazuje się, że raptem, nie wiadomo skąd, pojawiają się takie słowa, jak wróg, nieprzyjaciel, zniszczyć, zabić... A zatem zaczyna pojawiać się język agresji, język nienawiści. Inaczej mówiąc, to, co się nazywa *hate speech*. Jeszcze nie ma żadnej wojny, nie ma w ogóle jej śladu, w ogóle nic się o tym nie mówi. Natomiast zaczyna się zmieniać język

komunikacji. I w tym momencie, po tych zmianach języka, po tym jak one się zaczynają nasilać i ukierunkowywać, widzimy, że zaczyna się zbliżać zawierucha wojenna”.

W rocznicę wyzwolenia Auschwitz-Birkenau grupa ok. 50 narodowców, ze znanym z głoszenia antysemitycznych haseł Piotrem Rybakim na czele (bardzo tam brakowało Stanisława Michalkiewicza), przemaszzerowała pod bramę byłego obozu. „Czy my jesteśmy krajem niepodległym?”, pytał Rybak. „Nie!”, odpowiedzieli zgromadzeni. „Czas walczyć z żydostwem i uwolnić od niego Polskę! Gdzie są rządzący tym krajem? Przy korycie! I to trzeba zmienić!”, wykrzykiwał Rybak. Doskonałe miejsce sobie wybrali na seans nienawiści. Ale ktoś musiał obsługiwać te obozy. Wśród demonstrujących na pewno byli świetni kandydaci do tej pracy w tym samym miejscu, w tamtym czasie.

„Srebrne taśmy” ukazują poczcziwego prezesa jako drapieżnego biznesmena. A lud tak lubił ascetyczny portret Kaczyńskiego. Nagrana rozmowa to uczciwa mafijna rozmowa. Szef partii, który załatwia swojemu ugrupowaniu zbudowanie wieżowców w centrum miasta, to wzorce nie europejskie, ale niektórych krajów Ameryki Łacińskiej. Te budynki miały być dla partii wielką spiżarnią, pełną zasobów finansowych na dekady. Ale dla zwolenników PiS nie ma tu żadnego problemu. Nieważne, skąd pieniądze, ważne, by nasi zarządzili, a do tego potrzebne są środki. Gra więc znowu toczy się o tych kilka procent wahających się. Na opublikowanych taśmach prezes PiS mówi m.in. o kandydacie na prezydenta Warszawy, działaczu miejskim Janie Śpiwak. „Dziadkowie to byli tacy obydwójce dosyć znani poeci. Paweł Śpiwak to jest taki bardzo ostry żydowski profesor”.

Znałem rodziców Pawła, przyjaźnili się z moimi, cenną poetką była Anna Kamieńska (czysta rasowo), mama Pawła. Po co od razu zajmować się pochodzeniem człowieka, jakby miało to jakieś znaczenie? Może prezes nie jest antysemitą, ale to mieszka w jego języku. A w internecie 20% komentarzy pod tekstami, w których występuje Jan Śpiwak, mówi, że to paskudny Żyd. W Polsce nie ma antysemityzmu, nic a nic. A o prezesa się martwię, nikomu nie ufa, tylko rodzinie, a tu rodzina go zdradziła. Paskudna historia.

**Jeśli spadnie na nas wielki cios,
to z niespodziewanej strony.**

A to inny świat właśnie!

Herling-Grudziński udowodniał, że to w Rosji narodzi się siła zdolna obalić totalitaryzm i terror

Patrycja Spytek

W tych kilku słowach zamyka się kwintesencja stosunków polsko-rosyjskich z ostatnich 30 lat. Skupiając uwagę na okrucieństwach wyrządzonych przez ustrój totalitarny, zapominamy, że Rosja to nie tylko bolszewicy, łagry, głód i śmierć. Rosja to przede wszystkim kultura wysokich lotów, ojczyzna wybitnych pisarzy, kompozytorów, artystów i uczonych.

Zakamarki „duszy rosyjskiej” zgłębił i opisał w „Dzienniku pisanym nocą” jeden z najciekawszych polskich pisarzy XX w., więzień obozów pracy przymusowej, emigrant i dysydent – Gustaw Herling-Grudziński.

Na rok 2019 przypada setna rocznica jego urodzin. Z tej okazji Sejm „w uznaniu słowa i czynu wielkiego pisarza” ustanowił rok 2019 Rokiem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. W uchwale podkreślone zostały liczne walory jego twórczości oraz trudny los, stanowiący „świadek cierpień i czynów człowieka, któremu przyszło przeżyć czasy totalitarnej przemocy i kryzysu wartości”. Należałoby uzupełnić wniosły tekst uchwałą jednym ważnym faktem: Gustaw Herling-Grudziński fascynował się Rosją i jej bogatą kulturą. Nie przeszkodziły mu w tym bolesne doświadczenia wyniesione ze Związku Radzieckiego. To w łagrze narodził się Grudziński jako pisarz. Obserwując na co dzień upadek człowieka i piekło zagłady, dorastał do roli twórcy literatury światowej, wytrawnego krytyka, publicysty i znawcy totalitaryzmu. Emocje towarzyszące młodemu „zekowi” oraz cierpienia doświadczane każdego dnia na zawsze zapisały się w pamięci Herlinga-Grudzińskiego. Ich owocem jest znakomity utwór „Inny świat”.

Ważniejszą konsekwencją pobytu w Jercowie stało się zainteresowanie Rosją. Pisarz przez całe swoje emigracyjne życie tropił najmniejsze nawet

ruchy oporu względem władzy komunistycznej w Związku Radzieckim. Na kartach „Dziennika pisanego nocą” udowodniał, że właśnie w Rosji narodzi się siła zdolna obalić niszczący ludzkość totalitaryzm i terror. W jego opinii jedyną warstwą społeczną mogącą tego dokonać jest inteligencja rosyjska. A zwłaszcza dysydenci, którzy nie boją się występować przeciwko władzy komunistycznej.



„Dziennik pisany nocą” to studium epoki, portret Polski, Rosji i Europy w XX w. Na kolejnych kartach diariusza pisarz analizuje sytuację polityczną, gospodarczą i historyczną, ale przede wszystkim prezentuje wyniki swoich poszukiwań innej Rosji. Innej, czyli takiej, którą mało kto zna, tuszowanej przez aparat władzy. Rosji opozycyjnej, podziemnej, dysydentckiej. Rosji, która jest niewygodna dla elit politycznych ustroju wiecznej szczęśliwości. Rosji, która nie godzi się na zastaną rzeczywistość. Uwagę przykuwa użycie nazwy własnej Rosja. Grudzińskiemu obca jest fascynacja Związkiem Radzieckim. W jego polu badawczym znajdują się wielowiekowa tradycja i kultura rosyjska, a także bogata literatura oraz naród rosyjski. Wszystko, co kojarzy się ze Związkiem Radzieckim, jest przez pisarza stawiane w negatywnym świetle jako czynnik destrukcji i zagłady, który wcześniej czy później zostanie wyeli-

minowany z areny politycznej. ZSRR to komunizm, archipelag GUŁag, głód i cierpienie. Te zaś stoją w opozycji do Rosji. W łagrze Herling-Grudziński zawarł przyjaźnię z wieloma Rosjanami, będącymi tak samo jak on ofiarami reżimu stalinowskiego. To tam zrozumiał, że naród rosyjski (w jeszcze większym stopniu niż polski!) podlega represjom i uciskom. Tam także przeczytał „Wspomnienia z domu umarłych” Fiodora Dostojewskiego, które stały się bazą metodologiczną przy pisaniu „Innego świata”. Poszukiwania innej Rosji były ponadto spełnieniem złożonej łagrowym przyjaciółom przysięgi, że opowie całemu światu o okrucieństwach, których wspólnie doświadczali. Przekaz swój ubrał w formę literacką. Chwyt ten okazał się najskuteczniejszym medium.

Zwolennikami takiej metody byli również pisarze rosyjscy. Teksty literackie, na które Herling-Grudziński powoływał się w „Dzienniku pisanym nocą”, nie były przypadkowym wyborem kiepsko zorientowanego czytelnika. Pisarz spośród dziesiątek twórców i tytułów wybierał te potwierdzające postawioną przed laty tezę, że istnieje w Związku Radzieckim silna, zdeterminowana i gotowa walczyć z reżimem opozycja. Jej hasłem

jest wolność słowa i wolność jednostki ludzkiej. Analiza dziennikowych zapisów poświęconych literaturze rosyjskiej i jej twórcom obala stereotyp pasywności i niezdolności do buntu narodu rosyjskiego.

Gustaw Herling-Grudziński wraz z redakcją paryskiej „Kultury” i we współpracy z rosyjskim „Kontynentem” nawiązał polsko-rosyjski dialog intelektualny. Obie redakcje, skupiające wybitnych twórców, za cel nadrzędny uznały obronę podstawowych praw człowieka, zwłaszcza zaś fundamentalnej i wielopłaszczyznowej wolności. Pozostali wierni tej idei aż do końca. Zaskakujące jest, że w tak trudnych i nieludzkich wręcz warunkach historycznej zawieruchy Polacy i Rosjanie potrafili rozmawiać i jednoczyć się w słusznej sprawie, zapominając o krzywdach i wybacząc sobie nawzajem. A czy dzisiaj, w czasach pokoju i stabilizacji ekonomicznej, możliwy jest między nami dialog? ■

Justyna Samolińska

Grzegorz Sroczyński i Rafał Woś to laureaci tegorocznej edycji Nagrody im. Bolesława Prusa. Kapituła konkursu przyznaje bowiem dwie nagrody – Złotego Prusa za całokształt osiągnięć dziennikarskich oraz Zielonego Prusa dla dziennikarzy poniżej 35. roku życia. Tegorocznej kapitule przewodniczyła red. Katarzyna Michalak, ubiegłoroczna laureatka, a w składzie znaleźli się Jacek Żakowski – laureat z 2015 r., prof. Janusz Adamowski – dziekan Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego, red. Tomasz Miłkowski oraz Andrzej Maślankiewicz – sekretarz generalny Stowarzyszenia Dziennikarzy RP.

Nominacje do nagrody Złotego Prusa otrzymali Alina Kietrys, Małgorzata Piekarska, Jerzy Mianowski,

NAGRODY PRUSA dla najlepszych dziennikarzy



Nominowani Alina Kietrys, Grzegorz Sroczyński, Małgorzata Piekarska i Przemysław Talkowski.



Nominowani do Zielonego Prusa: Weronika Książek, Małgorzata Domagała, Anton Ambroziak i Jakub Jamrozek.

Przemysław Talkowski oraz Grzegorz Sroczyński. Statuetkę otrzymał właśnie Sroczyński, związany z Tok FM i portalem Gazeta.pl. To najmłodszy z dotychczasowych laureatów Złotego Prusa. – Mam nadzieję, że najlepsze teksty jeszcze przede mną – stwierdził w rozmowie z PRZEGŁADEM.

Sroczyński karierę rozpoczął jeszcze w latach 90., od początku związany był z Agorą i „Gazetą Wyborczą”, początkowo zajmował się reportażem, później pracował w dziale ekonomicznym i krajowym. Uznanie przyniosły mu felietony oraz wywiady. Te ostatnie zebrane zostały w książkę „Świat się chwieje. 20 rozmów o tym, co z nami dalej” (2015). Sroczyński bywa nazywany symetrystą ze względu na krytyczny stosunek zarówno do PiS, jak i PO, a także otwarcie lewicowe przekonania. W zeszłym roku Ga-

zeta.pl zdecydowała się zlikwidować kierowany przez niego dział „Opinie”, jednak kilka miesięcy później wrócił na łamy portalu, gdzie pisze do teraz.

Do Zielonego Prusa nominowano Antona Ambroziaka, Małgorzatę Domagałę, Jakuba Jamrozka, Weronikę Książek oraz Rafała Wosia. Zwykł był Woś, który pracę rozpoczynał w „Dzienniku Gazecie Prawnej”, potem współpracował z tygodnikiem „Polityka”, obecnie pisze do „Tygodnika Powszechnego”. W pracy dziennikarskiej skupia się na kwestiach ekonomicznych i pracowniczych. Podobnie jak Sroczyński określany jest jako symetrysta – pracę w „Polityce” stracił po głośnym tekście „Lewico, czas na współpracę z PiS. Trzeba budować z Kaczyńskim demokratyczny socjalizm”. Publikację tę zresztą wspomnieli mu członkowie kapituły Jacek Żakowski, mimo różnicy zdań docenił jednak niezależność myślenia laureata, z którym „lubi się nie zgadzać”.

Nagroda im. Bolesława Prusa została ustanowiona w latach 60. Po 17 latach przerwy – w roku 2015 – do jej przyznawania powróciło Stowarzyszenie Dziennikarzy RP. Partnerami SDRP są Stowarzyszenie Autorów ZAIKS reprezentowane na rozdaniu nagród przez prezesa Janusza Foglera, Stowarzyszenie Dziennikarzy i Wydawców REPROPOL reprezentowane przez członka zarządu Jana Rurańskiego, a także władze Nałęczowa, gdzie Bolesław Prus mieszkał i pisał przez 10 lat.



Złotego Prusa dostał Grzegorz Sroczyński.

Rozmawia Rafał Pikuła

„Lekki bagaż” to twoja czwarta książka, a trzecia z kolei, w której podejmujesz temat dojrzałości, dojrzewania i tożsamości. W „Ma być czysto” opisywałaś gimnazjum, „Lata powyżej zera” to opowieść o dorastaniu na początku lat 2000; bohaterowie tej najnowszej są już dorośli, ale czy dojrzały?

– Trudno jednoznacznie określić, kiedy człowiek staje się dojrzały. To chyba nieuchwytnie – pewnego dnia po prostu pojawia się takie wrażenie i jakoś z nim żyjemy dalej. Szukałam w książce różnych ścieżek tej dojrzałości, bo nie ma jednej sztywnej definicji. Można być dojrzałym emocjonalnie, ale kompletnie niedojrzałym społecznie. Bohaterowie „Lekkiego bagażu” nie zawsze radzą sobie z emocjami i zdarza im się trzasnąć za sobą drzwiami, ale z pewnością są dojrzały społecznie – wiedzą, jak działać obywatelsko, jak zmieniać lokalną społeczność, angażują się nie tylko we własne interesy, ale także towarzyszy im poczucie odpowiedzialności za innych ludzi – również tych spoza rodziny czy grona przyjaciół. To potrzebna postawa.

Cała trójka głównych bohaterów wykonuje zawody zaufania publicznego. Olkowy jest nauczycielem, Wera prowadzi fundację, Baśka trudni się dziennikarstwem. Jak na warunki Cieszyna można powiedzieć, że zawodowo sobie radzą.

– Radzą sobie, ale jeśli przyrzeć się z bliska ich problemom, to już różnie bywa. Na pewno na ich przykładzie można wiele dostrzec w kwestii przemiany obyczajowości. Nie dają się zaszufładować, nie spełniają konserwatywnych oczekiwań, które mówią, że dojrzały jesteśmy wtedy, gdy założymy rodzinę. Albo weźmiemy kredyt. A przecież można być w pełni dojrzałym, ukształtowanym i realizować się, podejmując inne decyzje. Moje książki są właśnie o tym, że nie ma jednego wzorca szczęścia czy spełnienia.

Jakkolwiek banalnie by to brzmiało, pokazujesz, że życie jest bardziej złożone, niż nam się wydaje.

– Często nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo miejsce, w którym żyjemy, nas determinuje. Dorastając w danym środowisku,

NOSI MNIE FABULARNIE

Mogę czytać Marqueza, ale tematów szukam na ulicy. Bardzo dużo ludzi żyje w małych i średnich miastach i nie miało do tej pory zbyt dużej reprezentacji w popkulturze

ANNA CIEPLAK

– animatorka kulturalna i pisarka, ostatnio ukazała się jej książka „Lekki bagaż”



w danym otoczeniu, kształtujemy swoje aspiracje i potrzeby, określamy, kim jesteśmy i kim możemy się stać w przyszłości. Osoby z klasy średniej mają łatwiejszy start, mogą sobie pozwolić na ryzyko – nawet gdy im nie wyjdzie, mogą liczyć na wsparcie rodziny, znajomych, środowiska. Osoby z klasy ludowej mają dużo trudniej – dla nich porażka może być końcem. Dlatego Świeżynka pracuje zarówno w fundacji, jak i w barze, boi się zaryzykować i skupić tylko na pracy w fundacji, bo jeśli I Kropka – uzależniona od grantów i dotacji – się zamknie, to ona straci wszystko.

Werę i Świeżynkę łączy niepewność jutra. Chociaż pierwsza prowadzi fundację, a druga w niej dorabia, obie są prekariuszkami. To poczucie braku bezpieczeństwa występuje u młodych ludzi i w Cieszynie, i w Warszawie. Różnica jest taka, że na prowincji masz mniejsze pole manewru, jeśli coś się nie powiedzie. **Niektóre problemy są podobne niezależnie od miejsca zamieszkania. Chociaż w dużym mieście łatwiej o pracę, to większości młodych ludzi nie stać na zakup mieszkania. Parafrazując zdanie z twojej książki – czasem lepiej mieszkać w Cieszynie, niż włożyć się w kredyt w stolicy.**

– Podział na centrum i peryferie nie jest taki prosty, jeśli brać pod uwagę styl życia i rozwarstwienie społeczne. Każde miasto ma jakiś Broadway i jakiś Manhattan, niekiedy styl życia bogatego mieszkańca Cieszyna z klasy średniej jest bliższy mieszkańcom Warszawy niż sąsia-

czyć z tym, że ludzie będą wiedzieć i jak coś źle powiesz – to też zostanie zapamiętane. Pewnie słyszałeś o lokalnej aktywistce Gabrysi Lazarek – przez długi czas codziennie protestowała pod cieszyńskim biurem PiS, a później na rynku. Sama. Na początku uważano ją za dziwaczkę, niektórzy ją obrażali, w końcu część osób przyłączyła się do niej. Musiała zaważać o szacunek, a w zasadzie robi to codziennie.

Poczucie braku bezpieczeństwa mają młodzi i w Cieszynie, i w Warszawie. Ale na prowincji jest mniejsze pole manewru, jeśli coś się nie powiedzie.

W małej społeczności lepiej się nie wychylać.

– Oczywiście są też plusy aktywności w takiej skali. Możemy łatwiej dostać informacje zwrotną, czy nasze działanie jest rozumiane. Na prowincji organizacja protestów wygląda inaczej – trzeba więcej pracy wykonać nogami niż Facebookiem. Musisz połączyć po ludziach, opowiedzieć im wszystko, ale dzięki temu szybciej widzisz efekty swoich działań. Czasami osiągasz sukces i dodaje ci to energii, a czasami jest przytłaczające, a ty czujesz się wyczerpany.

Polska prowincja się zmienia. Po 15 latach w Unii Europejskiej krajobraz wsi i miasteczek wyładniał. Mamy nowe drogi, zadbane urzędy i skwery, ale świadomość obywatelska na prowincji wciąż jest mniejsza niż w dużych miastach.

– Krajobraz może i częściowo wyładniał, ale to nie oznacza, że nie ma

siadło, o polityce w małym mieście pisał niedawno Krystian Nowak w „Ludziach Dobrej Woli”.

– Mam nadzieję, że „małomiasteczkowość” będzie stałym tematem i na kilku książkach, filmach i płytach się nie skończy. Zwłaszcza że taka przestrzeń otwiera wiele możliwości interpretacji i punktów widzenia, a miasta poza centrum są bardzo zróżnicowane. Wielu ludzi żyje w małych i średnich miastach i nie

mieli do tej pory zbyt dużej reprezentacji w popkulturze. Jeżeli już takie ośrodki pojawiały się w publicznej narracji, to w publicystyce, w dodatku najczęściej w sposób przerysowany albo jako wyjątek potwierdzający regułę.

W literaturze pięknej mamy mocny nurt wiejski – Myśliwski, Pilot, ostatnio Płaza czy Weronika Gogola – za to Polska pozawarszawska często pojawia się w reportażu. Obecnie modne są reportaże Filipa Springera, ale wcześniej o Polsce małych miast pisała m.in. Lidia Ostałowska, której dedykujesz swoją książkę.

– Lidia zmarła w ubiegłym roku. Bardzo jej brakuje. Poznałyśmy się, pisząc razem książeczkę dla dzieci o zaufaniu. Lidia zawsze świetnie rozumiała sens naszej działalności ze społecznością w Świetlicy Krytyki Politycznej, z którą byłam związana od 2009 r. Ją naprawdę interesowała Polska peryferyjna. Już w latach 90. była w terenie i widziała, że transformacja nie wszędzie się udała, choć tak wypadało mówić. Nie musiała potem się tłumaczyć jak wiele osób z jej pokolenia, że była głupia. Kiedyś przeprowadziła z nami – ze społem Świetlicy – wywiad, w którym pytała, jak pomagać dobrze. Ja tego nie jestem pewna do dzisiaj, ale spróbowałam opisać taki rodzaj doświadczenia w „Lekkim bagażu”. Jakoś – chociaż fragmentarycznie – na to odpowiedzieć. W wywiadzie nie potrafiłam.

Pisząc powieść, czerpałaś z własnych doświadczeń z pracy w Świetlicy Krytyki Politycznej w Cieszynie. Książka pełna jest zwrotów

Podział na centrum i peryferie nie jest taki prosty. Każde miasto ma jakiś Broadway i jakiś Manhattan.

dom z ościennej dzielnicy. Różnica objawia się na poziomie dostępności do pewnych dóbr publicznych.

Na pewno jest jedna zasadnicza różnica. W mniejszej miejscowości dyktat większości jest bardziej przytłaczający, trudniej też o anonimowość.

– Działanie społeczne na prowincji wymaga dużo odwagi. Tutaj wszyscy się znają – zdarza się, że osobę, której właśnie pomogłeś, spotykasz po chwili w osiedlowym sklepie. Kiedy organizujesz protest, musisz się li-

ogromnych przeskoków i nierówności między centrum a peryferiami. Małe i średnie miasta pustynniej i to się nie zmienia, jeśli na prowincji nie zaczną powstawać nowe miejsca pracy i nie poprawi się dostęp do dóbr publicznych, w tym transportu i instytucji. A co do świadomości obywatelskiej, to z nią raczej ogólnie jest słabo.

Jest teraz jakaś moda na małomiasteczkowość. Do popkultury na dobre wprowadził ją twój kolega z Dąbrowy Górniczej, Dawid Pod-

Nie mam żalu

Wystarczy zacząć czytać najnowszą książkę Wacława Sadkowskiego „Ktoś taki jak ty. Spowiedź bastarda wieku dwudziestego”, a nie przestaniemy. Aż do finału. Objętościowo nie jest to zresztą jakiś opasły tom, który męczymy przez kolejne wieczory.



Od tego autora dostaliśmy bardzo osobistą, wręcz intymną opowieść o dzieciństwie spędzonym z rodzicami, którzy, jak się okazało, ale dopiero po wielu latach, byli jego rodzicami przybranymi. Sadkowski nie miał kontaktu z biologicznymi rodzicami, a o adopcji dowiedział się już jako dojrzały człowiek. I tą spowiedzią z wielką klasą, jak na mistrza słowa przystało, wraca do początków. Do przedwojnia i wojny.

Wybitny krytyk literacki, tłumacz, pamiętny redaktor naczelny kultowego, zwłaszcza dla starszych czytelników, miesięcznika „Literatura na Świecie” świadomie zrezygnował z możliwości popisania się erudycją i mistrzowską zonglerką słowami. Nie ma tu też odniesienia do kuszących wątków z wielkiej literatury. Jest wyrafinowana prostota. Bez ozdóbek.

Spowiedź, choć chyba trafniej byłoby napisać monolog Sadkowskiego, jest unikatowym przykładem wejścia człowieka dorosłego w lata najmłodsze. We własne ówczesne przeżycia. Ale przede wszystkim wspomnienia odnoszące się do przybranych rodziców. Zwłaszcza matki, której Sadkowski tą książką składa hołd. Głęboki, przepełniony miłością i wdzięcznością.

Widzimy to zresztą na okładce tej pięknie wydanej książki. Dopieszczonej w każdym szczególe, jak zwykle zresztą, gdy książkę wydaje Studio Emka Jacka Marciniaka.

Jerzy Domański

Wydawnictwo Studio EMKA
wydawnictwo@studioemka.com.pl
www.studioemka.com.pl

► **środowiskowych i neologizmów. Masz zmysł obserwacji, dlatego więc nie zdecydowałaś się na reportaż?**

– Lubię czytać reportaże, ale bardziej jestem przywiązana do powieści – więcej odpowiedzi dotyczących życia znalazłam w beletrystyce. Literatura piękna pozwala sparafrazować pewne doświadczenia, a mnie samej umożliwiła wgląd w tematy, które trudno mi opisać w codziennej komunikacji czy językiem nauk społecznych. Poza tym za bardzo mnie nosi fabularnie. Lubię ten moment, kiedy wymyślam historie równoległe do tych, których doświadczyłam. Dużo się uczę, kiedy próbuję się wczuć w sytuacje innych ludzi.

Pisarstwo nie jest twoim głównym zajęciem. Poprzednie książki napisałaś po godzinach, tak jakby na boku. Mimo to zostałaś doceniona, otrzymałaś kilka nagród literackich. Myślisz o byciu pisarką na pełny etat?

– Jakies tam nagrody były (śmiech), ale nadal jestem bardziej animatorką niż pisarką. Literatura ma dla mnie nie tylko jako autorki, ale także czytelniczki, bardzo duże znaczenie. Czasami może być również narzędziem działania. Niemniej jednak muszę też pracować edukacyjnie i społecznie – także dzięki wykorzystaniu treści literackich – tutaj widzę ogromną przestrzeń do zmiany.

Nie wyobrażam sobie życia tylko z pisania książki za książką. Piszę, kiedy mam coś do powiedzenia.

Nie jesteś Marquezem, który z głowy wymyśla swoje Macondo. Potrzebujesz doświadczeń, które potem przelewasz na papier.

– Mogę czytać Marqueza, ale tematów szukam na ulicy. Nie potrafiłabym usiąść przed pustą kartką i twierdzić, że nawiązuję jakiś metafizyczny kontakt z wyższą jaźnią, która mnie prowadzi przez kolejne strony powieści. Żyję i nasiąkam pewnymi doświadczeniami i obserwacjami – one później jakoś ze mnie „odpadają” w formie treści. Nie wyobrażam sobie życia tylko z pisania i tworzenia książki za książką. Piszę, kiedy czuję, że mam coś do powiedzenia.

Twoje pisarstwo jest specyficzne, wyróżniające się, mocno środowiskowe. „Lekki bagaż” to bogaty

literacki obraz pracy w fundacjach i organizacjach pozarządowych. To wartość, ale niektórym czytelnikom może przeszkadzać – pisała o tym w recenzji Justyna Sobolewska.

– Gdybym stworzyła bardziej przezroczysty język narracji, coś bym straciła. Chciałam oddać specyfikę pracy w organizacji społecznej także na poziomie słów, fraz, zwrotów językowych – ukazać pełen obraz tego świata. On może zgrzytać – ale taki jest język moich bohaterów – raczej szorstki, wymagający wytrwałości. Metafory – jeśli już się pojawiają – są raczej dosadne. Te osoby znajdują się pomiędzy gramatyką urzędniczą a ludźmi. Piszą granty i czasami same są zaskoczone swoim językiem, który ma w specjalistyczny sposób opisywać złożone problemy. Trzeba się nieźle nagimnastykować, żeby znaleźć w tym środek i odnieść go do autentycznych, a nie papierowych doświadczeń. Wiele osób w Polsce nie wie, jak działają fundacje i stowarzyszenia, albo mają o nich schematyczne wyobrażenie. Organizacje pozarządowe kojarzą się z dużymi podmiotami takimi jak WOŚP, a w rzeczywistości większość fundacji to małe, lokalne stowarzyszenia, skupiające ze trzy osoby w stałym zespole. W „Lekkim bagażu” opisuję wymyśloną historię – jednak na podstawie doświadczeń osób pracujących

w trzecim sektorze. I Kropka z „Lekkiego bagażu” jest fundacją, w której skupiam jak w soczewce różne nadzieje i rozczarowania wynikające z zaangażowania społecznego. Myślę, że nie ma zbyt wielu książek na ten temat.

Tytuł książki jest niejednoznaczny. Czy chodzi o taki bagaż, który z jednej strony nie przygniata, nie niszczy, ale z drugiej nie pozwala o sobie zapomnieć?

– Można to czytać na różne sposoby. Myślę, że tytuł – tak jak w przypadku moich poprzednich książek – ma perspektywę otwierającą. Niech każdy ten „lekki bagaż” niesie po swojemu.

Rafał Pikuta

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkało

TAK PRZEGRACĆ

Kiedy Beata Kozidrak śpiewała „Co mi, Panie, dasz w ten niepewny czas (...), kilka starych szmat, bym na tyłku siadł (...)”, nie mogła wiedzieć, że w 2011 r. w Stanach Zjednoczonych powstanie książka „Przedziwna sztuka porażki”. Rzecz, która ukazała się w Polsce pod koniec ubiegłego roku w przekładzie Mikołaja Denderskiego, to antykapitalistyczny hymn, protest song przeciwko kapitalistycznym opresjom. Gdyby jej autor Jack Halberstam znał słowa piosenki Kozidrak, na pewno uczyniłby z nich motto któregoś ze swoich esejów. Nikt bowiem lepiej niż nasza diwa nie oddał zawrotu głowy, jaki daje dziecięce poczucie wolności i... poczucie przegranej: „Co tam nagi brzuch i w górę połatany ciuch. Czuję ten wiatru pęd, że głowa odpada”.

„Przedziwna sztuka porażki” to apoteoza przegranej rozumianej jako wyrwa w systemie, który wymusza i nagradza sukces, samodoskonalenie, produkcję i gromadzenie dóbr. To bunt przeciwko jedynemu uznanemu przez system formom życia, miłości i pracy. Halberstam pochodzi ze

filozofa kultury, autora poczytnych esejów, antropologa nowoczesności, mówiąc, że nigdy nie zdał egzaminu na piątkę i nie udało mu się nauczyć żadnego języka obcego.

Różowa okładka „Przedziwnej sztuki porażki” przedstawia Marilyn Monroe z wąsami, sygnalizując w ten sposób specyficzne (subwersywne? histeryczne? performatywne?) nastawienie autora do kultury. Mottem do pierwszego eseju jest cytat z kreskówki „SpongeBob Kanciasztopoty”. Zresztą z filmów animowanych uczynił autor kapitalny materiał badawczy. I słusznie. To przecież lustro relacji społecznych, ale również materiał – za przeproszeniem – edukacyjny, bo przecież nikt nie potrafi się oprzeć wpływom popkultury. Pisał o tym Walter Benjamin, przynajmniej to Halberstam: „Filmy Disneya bardzo szybko przerodziły się w medium burżuazyjne; wkrótce złożyły hymn potędze, jaką jest Bildung, i zaczęły przedstawiać moralizatorskie opowieści z normatywnie ukazanymi rolami płci i klasowo poprawnymi charakterystykami postaci, a w latach 30. stały się ulubionym narzędziem nazistowskiej maszyn

ny propagandowej”.

Na kontrze do nich stawia autor produkcje wytwórni Pixar i DreamWorks, wpi-

Porażka otwiera nas na „nieuczestniczenie”, a to ogromna ulga w czasach, gdy wymagane jest ciągle pokazywanie się, zaznaczanie obecności.

środowiska queerowego, w które, jak pisał Błażej Warlocki, wpisana jest porażka wobec normalności: płciowej, seksualnej, małżeńskiej, życiowej. Zresztą o umowności pojęcia normy pisał lata temu w „Szaletństwie i literaturze” Michel Foucault.

Przyjemnością upadania zajmowali się też Milan Kundera i Michel Houellebecq, ale Halberstam nie ma na myśli naszego indywidualnego pędu „ku śmierci”. On pisze o porażce jako o zjawisku kulturotwórczym, wspólnotowym, fundującym nowe, ciekawe interpretacje człowieka. Porażka przynosi bowiem nowe formy wiedzy („ekscentryczne formy wiedzy”), pozwala wyjść z „ponurych, mechanicznych cykli przemysłowej produkcji i konsumpcji”. Otwiera nas na „nieuczestniczenie”, a to ogromna ulga w czasach, w których wymagana jest ciągła ekspozycja, pokazywanie się, multiplikowanie własnych zdjęć, zaznaczanie obecności – to przecież *full time job*!

Halberstam postuluje stawianie na rzeczy, praktyki, pomysły niedorzeczne, naiwne. Ujmuje się za tym, co bezpojęciowe i niepraktyczne. Popiera dydaktykę opozycyjną. I daje za przykład siebie –

sujących w swoje filmy treści równościowe, historie pełne tolerancji (międzygatunkowej!) i komunikaty w rodzaju: współpracuj, ciesz się odmiennością, inwestuj w opór. „Przedziwna sztuka porażki” jest także tym – analizą animowanych filmów: „Potworów i spółki”, „Robotów”, „Skoku przez płot” czy „Gdzie jest Nemo?”.

Czy tego typu eseje mogą być w ogóle potraktowane poważnie? – zastanawia się Halberstam. I zaraz odpowiada: „Ale taki właśnie jest mój cel. Bycie braną serio skutkuje utratą okazji do frywolności, rozwiązłości i nieściosowości”. Bycie braną? Tak, tak, to nie literówka. Autor również własną płec poddaje dyskusji. Uruchamia refleksję na wszystkich poziomach. I mimo (cudownej przecież) histeryczności, przegięcia i prowokacji – jego książka porażką nie jest.



Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGŁĄD na Facebooku i Twitterze



KURTYNA W GÓRĘ

„Cząstki kobiety” Kornéla Mundruczó w TR Warszawa – rzecz o prawie do wyboru własnej drogi cierpienia. Bohaterka traci dziecko po domowym porodzie (dlaczego upiera się rodzić w domu, nie wiadomo) i zewnętrznie nie okazuje oczekiwanej boleści. To wprawia jej najbliższych w stan niepokoju, ale ona nie zachowuje się stereotypowo. Zresztą rodzina od dawna ulega rozkładowi jak przypieczona kaczka (z kuchennego piecyka na scenie dymi widowiskowo) na spotkaniu u matki.

Tak można by najkrócej streścić scenariusz tego widowiska, napisany po próbach z aktorami. Dodatkowym jego atutem miały być wtręty polityczne. Autorka poczyniła bowiem liczne aluzje do polskich podziałów, do typo-

KOBIETA W CZĄSTKACH

Kata Wéber, „Cząstki kobiety”,
reżyseria Kornél Mundruczó, TR Warszawa,
sala ATM, premiera 13 grudnia 2018

wych konwersji i radykalnych zmian poglądów, które stały się w Polsce chlebem powszednim. Scenariusz nie wychodzi jednak poza granice banału. Tekst jest – co tu kryć – słaby i nie sposób na nim zbudować poważniejszych kreacji, nawet zasłaniając się konwencją hiperrealizmu. Uda się to tylko Magdalenie Kucie, która sugestywnie rysuje postać matki z początkami alzheimera, broniącej się przed zdemaskowaniem.

Pokuta, jaką odbywają na początku widowiska, siedząc w kucki albo po tu-recku i obserwując nagraną na wideo scenę porodu (trwa to około pół godziny), nie zostaje nagrodzona. Otrzymujemy pretensjonalnie podany rodzinny schemat, który ma uchodzić za dogłębną interpretację psychiki bohaterki. Ale to się nie udaje, podobnie jak dziesiątki innych – w wykonaniu mniej utalentowanych reżyserów i aktorów – produkcji, które literaturę zastępują tzw. samym życiem. Duży zamach, krótkie chwile aktorskich błysków, np. wspomnieniowa scena ćwiczeń gimnastycznych ze wstęgami, wzbudzająca entuzjazm publiczności. W rezultacie wielkie rozczarowanie, czyli Mniszkówna po liftingu.

Tomasz Miłkowski



ZASŁUCHAJ SIĘ

MIĘDZY OKŁADKAMI

Won-Sook Hur JOHANN SEBASTIAN BACH

Goldberg Variations. BWV 988
DUX

zupełnie niepasująca do zawartości okładka skrywa płytę sterylnie i perfekcyjnie czystą z muzyką największego abstrakcjonisty w historii. „Wariacje Goldbergskie” Jana Sebastiana Bacha to 30 odmian i aranżacji prostego tematu klawesynowego. Kompozytor bawi się tą melodią, jakby układał grę komputerową, dodaje coś, odejmuje, przestawia, zwalnia, przyspiesza, by w końcu zwolnić, pokazać



temat odwrócony do góry nogami i jeszcze przypomnieć, co było na początku. Arcydzieło baroku gra na współczesnym fortepianie koreańska pianistka Won-Sook Hur, maksymalnie starannie, pięknym dźwiękiem, który odkrywa wszystkie zawiłości pomysłów Bacha. Jej powaga i rzetelność może się wydawać trochę chłodna. W innych wykonaniach wariacji pianiści i klawesyniści lubili sobie niekiedy poszaleć, pokazać wirtuozerię, jeszcze bardziej, niż chciał Bach, skonstrastować poszczególne odcinki. Won-Sook Hur tego nie robi. Pozostaje nieporuszona, jak naukowiec, który nie daje się ponieść emocjom, i dba tylko o doskonałość.

Bronisław Tumiłowicz

Ann Cleeves CZERWIEN KOŚCI

tłum. Sławomir Kędzierski
Czwarta Strona, Poznań 2019

Trudno zapomnieć o frustracjach, gdy ich źródło ma się ciągle przed nosem. Zawiści, podejrzenia, plotki podminowują życie takich małych społeczności jak wyspiarska – nawet generalnie bardzo życzliwych, jak na Whalsay. O dawnych sprawach może i nie mówi się otwarcie, ale wystarczy trochę pogrzebać... No i trafił chciał, że doktorantka archeolożka grzebie. A swoją drogą co ją łączy, albo dzieli, z promotorem? I skąd niechęć między Mimą Wilson, na której ziemi prowadzone są wykopaliska, a synową? I w końcu kto zabił Mimą? Ann Cleeves, autorka m.in. powieści, na podstawie których zrealizowano serial „Vera”, umiejętnie buduje konflikty między postaciami, przeplatając to szczegółami życia na Szetlandach. Na wyspach nie jest łatwo zwłaszcza młodszemu pokoleniu, jeżeli chciałoby iść własną drogą. Bo co wtedy z dobrokiem rodziny, co z tradycją? Inspektor Jimmy Perez, który nie poszedł w ślady ojca, myśli w pewnym momencie, że jeśli nie urodzi mu się syn, nie będzie już Perezów na Szetlandach. Wszystkie te komplikacje emocjonalne i problemy bohaterów trzeciej już części „Kwartetu szetlandzkiego” są znacznie więcej niż tłem zagadek kryminalnych.

Aleksandra Pańko



NA EKRANACH



ANIOŁ

reż. Luis Ortega, prod. Argentyna,
już w kinach



17-letni Carlitos wygląda jak cherubinek, który szedł z barokowego obrazu. Ale to nie kupidyn, który chciałby postrzelać nam w serca z łuku, tylko anioł zagłady, który za pazuchą ma giwerę i nie zawaha się jej użyć. Okrutny sprawiedliwy? Krwawy wykonawca kary za grzechy? Nic z tego. W podpartej faktami historii argentyńskiego złodzieja i mordercy trup ściele się bez powodu. Twórcy w najlepsze bawią się konwencją filmu o seryjnym mordercy, igrając z naszymi przyzwyczajeniami. Pokazują, że typom macho w głowie tylko gnaty, więc i seks na ekranie musi być homoseksualny. Świętości kulturowe szargają z wprawą amoralnego bohatera, a przy okazji nadają zupełnie nowe znaczenie frazie „tańczyć na czyimś grobie”, gdy Carlitos płynnie przechodzi od mord do tanga. Najważniejsze jest jednak nie to, co na ekranie, tylko to, co dzieje się w głowie widza. Musimy bowiem się skonfrontować z faktem, że choć aniołek sieje śmierć i zniszczenie, mamy ochotę mu kibicować. Jak to o nas świadczy, to najciekawsza refleksja po seansie.

Artur Zaborski



ZAJRZYJ TU

KOLORY ŻYCIA

Suzani – haftowane tkaniny z Azji Centralnej ze zbiorów Muzeum Azji i Pacyfiku

Suzani to haftowane tkaniny o żywej, skonstruowanej kolorystyce, z symetrycznie rozmieszczonymi wzorami. Do najpopularniejszych należą formy roślinne, koliste medaliony i rozety. I chociaż istnieją pewne typy kompozycji i zestawień barwnych charakterystyczne dla Taszkentu, Samarkandy, Buchary, Nuroty, Fergany i Chodżentu, każda tkanina odzwierciedla indywidualizm hafciarki. Według tradycji małe dziewczynki w towarzystwie kobiet z rodziny rozpoczynały prace nad suzani, które potem stawały się ważnym elementem ich posagów. Obecnie tkaniny te wciąż odgrywają pewną rolę w obrzędach weselnych w Uzbekistanie i Tadżykistanie, a przede wszystkim zdobią wnętrza domów.

TORUŃ, MUZEUM PODRÓŻNIKÓW IM. TONY'EGO HALIKA, DO 24 MARCA



SERIAL

I AM THE NIGHT

Twórców nowego miniserialu „I Am the Night” zainspirowały prawdziwe wydarzenia z życia nastolatki, która zrobi wszystko, aby poznać swoją przeszłość. Fauna Hodel po urodzeniu została oddana do adopcji. Dziewczyna żyje na przedmieściach Reno w Nevadzie i jest w gruncie rzeczy pogodzona z faktem, że nic nie wie o swoim pochodzeniu. Pewnego dnia dokonuje jednak



odkrycia, które sprawia, że zaczyna wszystko kwestionować. Szukając śladów historii swoich narodzin, spotyka reportera, którego prześladowa sprawa sprzed lat. Wspólne poszukiwania coraz bardziej zbliżają ich do ginekologa z Los Angeles, George'a Hodela, znanego w mrocznych kręgach Hollywood. Serial można oglądać w serwisie HBO GO, a na antenie HBO od 4 marca.

HBO GO, OD 5 LUTEGO

WYDARZENIE

KOD MISTRZÓW – PROF. JERZY SADOWSKI

Gościem kolejnego spotkania z cyklu Kod Mistrzów będzie prof. Jerzy Sadowski, kardiochirurg i transplantolog kliniczny. „Myślę, że kardiochirurg jest przez całe swoje dorosłe życie przede wszystkim lekarzem. Dlatego moją życiową dewizą była zawsze filozofia: co masz zrobić jutro – zrób dziś, a jutro zostaw na realizację marzeń”, mówi. Taka postawa dawała mu z jednej strony możliwość pełnego zaangażowania, wyżył się w zawodzie, a z drugiej „czas na poszukiwanie i rozwój oraz wiarę w odnalezienie pełni szczęścia również prywatnie”. W zeszłym roku prof. Sadowski znalazł



się na „Liście Stu 2017” – najbardziej wpływowych osób w polskiej medycynie. Rozmowę z gościem poprowadzi Jerzy Skrobot, autor książki „Serce dla serc. Opowieść o Profesorze Jerzym Sadowskim”.

KRAKÓW, TEATR GROTESKA, 13 LUTEGO, GODZ. 18.00

Mateusz Mazzini

Wielka Pacyficzna Plama Śmieci, czyli ogromne skupisko głównie plastikowych odpadów, dryfujące mniej więcej w połowie drogi między Hawajami a kalifornijskim wybrzeżem USA, jest zjawiskiem tak powszechnie znanym i dokładnie opisanym, że stało się jednym z popkulturowych symboli walki o czyste środowisko. Pływające wysypisko o powierzchni przeszło pięciokrotnie większej od Polski składa się już teraz z ponad 2 bln pojedynczych elementów

Zanieczyszczenie oceanów to nie tylko pływający plastik, ale też pestycydy i pyły z ładu

MORZE ŚMIECI PO HORYZONT

i osiągnęło łączną masę ponad 80 tys. ton. Dane te w ubiegłym roku opublikowali naukowcy związani z inicjatywą Ocean Cleanup, start-upem technologiczno-naukowym próbującym oczyścić morza i oceany z plastiku poprzez wytawianie śmieci z wody ogromnymi sieciami.

W tym trudnym do wyobrażenia skupisku można znaleźć niemal wszystko, od plastikowych butelek i parasoli po elementy wyposażenia domowego. Według Laury Parker z magazynu „National Geographic” najwięcej jest jednak pojedynczych części sprzętu rybackiego i wędkarskiego. To odkrycie o tyle ciekawe, że dość jasno wskazuje drogę pokonywaną przez śmieci – nie tylko z głębi ładu, ale też bezpośrednio z pływających po oceanach statków.

Co więcej, układ prądów na północnym Pacyfiku sprawia, że plama rośnie praktycznie z każdym dniem. Nie jest przy tym wcale tak świeżej daty, jak niektórym się wydaje. Boyan Slat, holenderski przedsiębiorca bałkańskiego pochodzenia, nurek

i badacz zanieczyszczenia mórz, przypomina, że pierwsze duże, stałe skupiska śmieci zaczęły się pojawiać w tym rejonie już w połowie lat 90. Oficjalnie zresztą do odkrycia wyspy odpadów na Pacyfiku doszło w 1997 r., choć już wtedy było to wysypisko ogromnych rozmiarów. Wewnątrz można znaleźć obiekty

Pływające wysypisko osiągnęło łączną masę ponad 80 tys. ton.

bezsprzecznie udowadniające, że ludzkość zaczęła truć zbiorniki wodne dużo wcześniej. Sam Slat podczas jednej z eskapad na pacyficzne wysypisko w 2012 r. odnalazł w nim m.in. datowaną na 1989 r. czapkę z daszkiem, obudowę Game Boya z wczesnych lat 80. czy kratę po butelkach z piwem z wbitą datą z 1977 r. Choć oczywiście plama rozrosła się przede wszystkim w ostatnich 20 latach, gromadzi śmieci, które po po-

wierzchni oceanów dryfują od wielu dekad.

Plama na Pacyfiku jest tak wielka – dostownie i w przenośni – że w ostatnich latach właściwie zmonopolizowała debatę na temat oczyszczania oceanów. Przykryła tym samym inne, nie mniej szkodliwe zjawiska i procesy. Ich listę należy zacząć od pozostałych dryfujących plam śmieci w różnych częściach świata. Najważniejsza znajduje się kilkaset kilometrów na południowy wschód od wybrzeży Japonii i nazywana jest Wschodnią Plamą Pacyficzną. Choć mniejsza od swojej odpowiedniczki z rejonu Hawajów, jest kluczowa w rozumieniu mechanizmów, które najpierw tworzą, a potem systematycznie powiększają skupiska śmieci na oceanach. Tak naprawdę bowiem żadna z tych plam nie ma stałej masy ani składu. Dryfujące w nich odpady nie są związane czy sklejone – trzymają je razem prądy morskie. Gdy układ prądów się zmie-



nia, część plastikowych elementów odłącza się od macierzystej plamy i unosi w innym kierunku. Dlatego wschodnia i zachodnia plama śmieci na Pacyfiku są ze sobą powiązane, tworząc swoisty system morskich wysypisk.

Obie ciągle rosną, ale następuje między nimi również regularna wymiana śmieci. Co to oznacza dla ogólnego zanieczyszczenia oceanów? Przede wszystkim to, że

sprzętu wędkarskiego i rybackiego. Zespół Ocean Cleanup szacuje z kolei, że w skali globalnej niemal 20% oceanicznych śmieci to skutek działania rybołówstwa przemysłowego. Pozostałe 80% do dużych akwenów dostaje się bezpośrednio z lądu. W to wliczane są zarówno śmieci przemysłowe, jak i od niedawna dopiero zakazane w większości krajów drobne elementy plastikowe stosowane np. w przemyśle kosmetycznym.

W oceanicznym skupisku śmieci można znaleźć niemal wszystko, od plastikowych butelek i parasoli po elementy wyposażenia domowego.

oprócz dużych skupisk, na których koncentruje się uwaga mediów i modnych start-upów, w każdej chwili nie tylko tworzą się nowe, mniejsze plamy, ale także miliony pojedynczych śmieci dryfują wzdłuż prądów oceanicznych, od jednego skupiska do drugiego. Ich liczba jest tak duża, że Narodowa Administracja Oceaniczna i Atmosferyczna (NOAA), amerykańska agencja rządowa zajmująca się monitorowaniem zanieczyszczenia powietrza i wód, była w stanie wytyczyć nawet „szlaki migracyjne” śmieci między jedną a drugą dryfującą plamą. W ujęciu graficznym wygląda to jak dwa ogromne kolorowe okręgi, jeden na południe od Japonii, drugi na zachód od USA, połączone kilkoma łukami dryfujących odpadów.

Przy analizie tych zjawisk pojawia się jednak pytanie, skąd w ogóle w wodach tyle śmieci. Odpowiedź jest złożona i niejednoznaczna. Najłatwiej wyobrazić sobie właśnie butelki, reklamówki czy słomki do napojów, bezrefleksyjnie wyrzucone do rzek i niesione prądami aż na Pacyfik. Takich na pewno bardziej medialnych odpadów jest jednak stosunkowo niewiele. Największym niebezpieczeństwem są śmieci dużo mniejsze, wręcz planktonowe. „National Geographic” szacuje, że mikroodpady stanowią aż 94% śmieci w Wielkiej Plamie Pacyficznej. W dodatku wiele z nich nie pochodzi z typowego procesu ludzkiego śmiecenia na lądzie. Aż jedna piąta plastikowych okruszków w tym skupisku pochodzi z tsunami, które w 2011 r. uderzyło w wybrzeże Japonii. Prawie połowę pozostałych odpadów stanowią wspomniane elementy

Ciekawy jest też, metaforycznie mówiąc, skład narodowościowy wielkich plam śmieci. Brytyjska organizacja pozarządowa Foresight Future of the Sea przeprowadziła w 2015 r. badanie zawartości morskich wysypisk. Dzięki danym zebrany podczas 652 rejsów oceanicznych w różnych częściach świata zidentyfikowano 386 przedmiotów, na których można było odczytać jakiegokolwiek napisy. Na ponad 40 wyłoczono kraj produkcji. Wyniki były dość jednoznaczne – aż dwie trzecie wyłowionych przedmiotów pochodziło z fabryk w Chinach i Japonii. Potwierdza to tezę, że przede wszystkim azjatyckie giganty gospodarcze są głównymi winowajcami zamieniania się mórz w składowiska odpadów.

Proces ten jest tak intensywny, że podobne do pacyficzkich skupiska tworzą się w innych częściach świata. W tej chwili niepokojących

Układ prądów na północnym Pacyfiku sprawia, że plama rośnie z każdym dniem.

rozmiarów plamy śmieci istnieją już m.in. na północnym Atlantyku i na wschód od Australii. Foresight Future of the Sea ocenia, że bez podjęcia radykalnych kroków o globalnym zasięgu całkowita liczba śmieci w oceanach potroi się do 2050 r. Wówczas będziemy musieli zwracać uwagę nie tylko na wielkie pływające wyspy, ale i na tysiące, może nawet setki tysięcy małych skupisk, układających się w większe szlaki dryfów.

Nie za wszystko jednak odpowiedzialny jest plastik. Ludzka działalność niszczy oceaniczne ekosyste-

my na wiele innych sposobów. Po pierwsze, morza są coraz bardziej zakwaszone. Wynika to z ogromnej emisji dwutlenku węgla do atmosfery – zbiorniki wodne absorbują ponad jedną czwartą ludzkich emisji. Radykalnie zmienia to pH w oceanach, zakwaszając ich wody i szkodząc wielu gatunkom zwierząt. Po drugie, do oceanów dostają się ogromne ilości pestycydów, spuszczane do rzek przez działające na ogromną skalę rolnictwo przemysłowe. Tych substancji stosunkowo najtrudniej się pozbyć, bo najszybciej przedo-

stają się do wewnętrznego obiegu w oceanicznej wymianie materii. Wreszcie ogromnym zagrożeniem dla istnienia różnych gatunków jest rosnący ruch oceaniczny. Statki pływające po największych akwenach wytwarzają, oprócz spalin i śmieci, ogromny hałas. Bardzo szkodzi to tym stworzeniom, które wykorzystują fale akustyczne do wyznaczania szlaków migracyjnych czy znajdowania innych osobników w celu reprodukcji. Zakłócenie ich naturalnych szlaków i zachowań stadnych prowadzi do szybkiego spadku liczebności, a w końcu może nawet do wyginięcia gatunku. NOAA szacuje, że w skutek wygenerowanego przez człowieka zanieczyszczenia, również dźwiękowego, co roku ginie 100 tys. zwierząt – nie tylko ryb, ale i ssaków morskich.

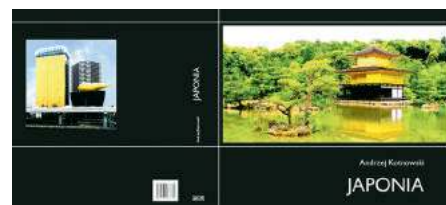
Pomysłów na zatrzymanie tego trendu było już wiele. Najpopularniejsze, czyli nowe technologie wytławiania śmieci opatentowywane przez start-upy, nie weszły jeszcze w fazę działań naprawdę masowych.

Z kolei Boyan Slat i wspierający go naukowcy z politechniki w Delfcie chcą oczyścić oceany za pomocą prądów. Innymi słowy, zamiast samemu wytławiać plastik, Slat chce sprawić, by dryfował on w kierunku jego automatycznych morskich śmieciarek. Coraz popularniejsze są też kampanie i ruchy społeczne mające zwiększać świadomość ludzi, np. nawołujące do rezygnacji z plastikowych słomek do napojów. Wszystko to jednak wciąż jest, niestety, jedynie kroplą w morzu ekologicznych potrzeb. ■

Japonia

Tradycja w nowoczesności

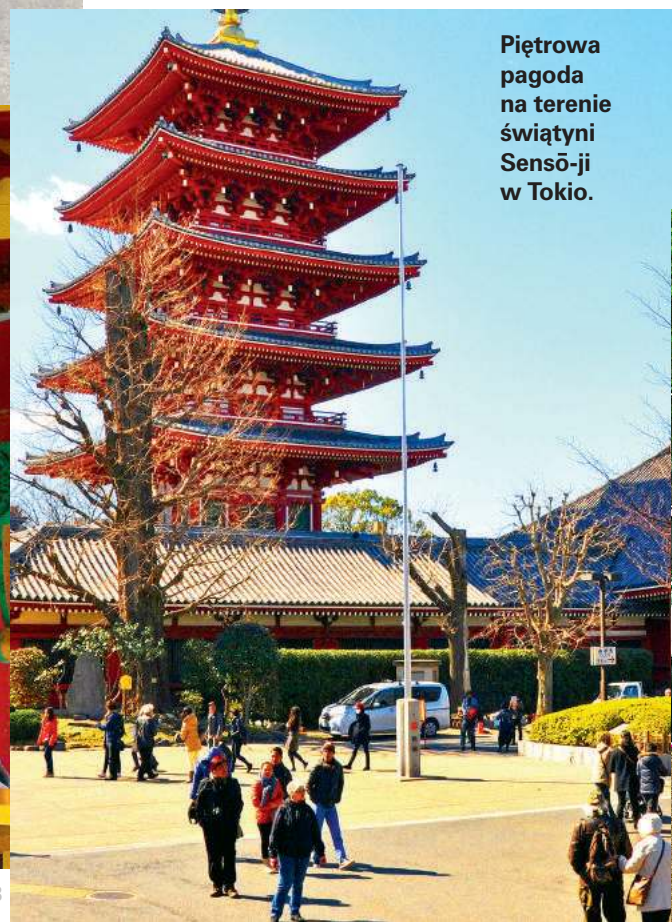
Japonia widziana oczyma polskiej dziewczyny – taki jest podtytuł albumu, z którego prezentujemy wybór zdjęć. „Chcę jednak zaznaczyć, że mimo tego podtytułu album jest tylko zbiorem fotogramów, które członkom naszej wyprawy wydają się charakterystyczne dla przedstawianego kraju”, pisze we wstępie autor Andrzej Kotnowski.



Na dziedzińcu Zamku Wron, zwanego też Zamkiem Czarnego Kruka, młode pary chętnie fotografują się z samurajami z epoki Edo.



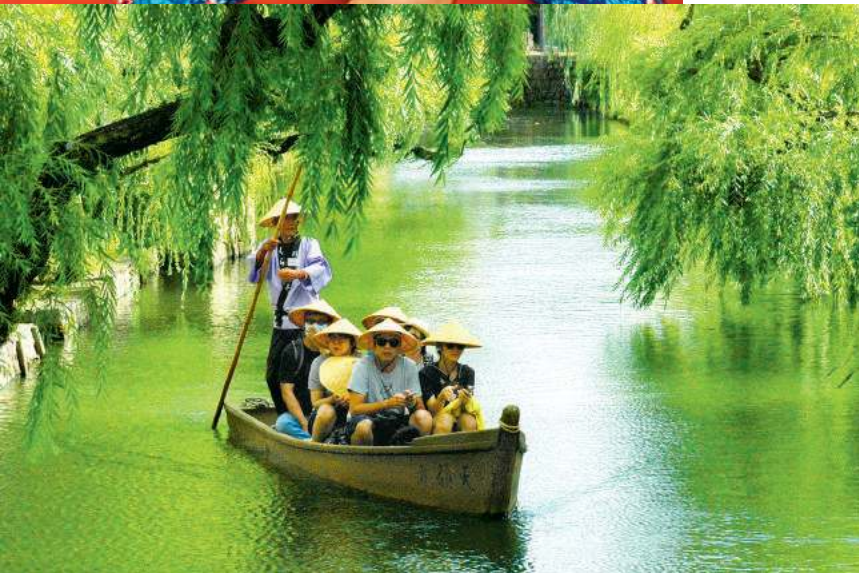
Panna młoda podczas tradycyjnej uroczystości zaślubin. eprasa.pl/a074a02c98



Piętrowa pagoda na terenie świątyni Sensō-ji w Tokio.



Widok na salon pachinko, popularnej rozrywki będącej połączeniem bilardu i pinballa. Hazard w Japonii jest zabroniony, ale wygrane w postaci kulek można wymienić na pieniądze poza miejscem gry.



Rejs rzeką Takahashi w spokojnej części miasta Kurashiki.



▲ W Gion, dzielnicy Kioto, nadal popularne są riksze. Z tyłu podąża pomocnik rikszarza z pakunkami.

Hiroszima – lekcja historii o dramacie z 1945 r.

Maciej Polkowski

Na jakiej podstawie klienci oceniają produkt? Jedni kierują się posiadanymi informacjami, drudzy sugerują ceną. Wszyscy jednak zwracają uwagę na opakowanie. To najlepsza wizytówka. O tym, jak ważną odgrywa ono rolę, najlepiej może świadczyć fakt, że opakowanie jest traktowane jako jeden z najistotniejszych elementów promocji i marketingu. Zachęca do dokonania wyboru, pozwala stworzyć pozytywne wyobrażenie o tym, co znajduje się w środku.

Piłkarską Ekstraklasę także przyjęło się traktować jako produkt. Do opakowania w zasadzie trudno mieć większe zastrzeżenia – wybudowano piękne, nowoczesne stadiony, oprawa meczów jest przystojna, sprawdza się i na ogół działa bez zarzutu system VAR, rosną środki finansowe. Znacznie gorzej z zawartością, czyli całą sferą sportową oraz jej otoczką, nie tylko organizacyjną. Już niebawem, 8 lutego, wznowi rozgrywki futbolowa Ekstraklasa. Wiadomo, w jakiej strefie klimatycznej żyjemy – z pewnością na trybunach pojawią się tłumy „złakniomych piłki fanów”. Ciekawe, czy ktoś wreszcie, tak solidnie, może nawet trzykrotnie, puknie się w głowę.

CORAZ LUŹNIEJ NA TRYBUNACH

Dla kogo więc ta liga? W niedawnej rozmowie z Adamem Godlewskim prezes PZPN Zbigniew Boniek stwierdził: „Największy problem mamy z piłką klubową, w której wyniki od lat są słabe. I jeszcze długo się nie poprawią. Bo nie wyciągamy wniosków. Nie mamy *know-how*, a to żadna tajemnica, że aby zarządzać klubem, nie wystarczy być dobrym menedżerem. Trzeba się jeszcze znać na piłce”. A 20 grudnia ub.r. dodał w internecie: „Jeżeli kiedyś chcemy grać poważną piłkę klubową i marzyć o pucharach europejskich, to 20, 21 czy 22 grudnia nie mamy prawa grać w piłkę”. Tak wypowiada się człowiek, który przez sześć prawie całkowicie zmarnowanych lat upierał się przy tezie, że kluby są samodzielnymi podmiotami i muszą sobie radzić same. Boniek chełpi się pęczniącym systematycznie kontem PZPN – można się

FUTBOL PO POLSKU

Największy problem mamy z piłką klubową. Wyniki od lat są słabe. I jeszcze długo się nie poprawią



Mecz Wisły Kraków z Lechią Gdańsk 15 września 2018 r. obejrzało ponad 23 tys. widzów.

zastanawiać, czy nie lepiej czułby się w roli szefa banku. Bo że kocha pieniądze, to wiemy.

Jednym z podstawowych źródeł utrzymania jest coroczny zastrzyk gotówki z kontraktów telewizyjnych. Za sezon 2017/2018 kluby otrzymały nieco ponad 150 mln zł. Prezes spółki Ekstraklasa SA Marcin Animucki i jego zespół okazali się zręcznymi negocjatorami, bo za umowę telewizyjną na dwa sezony (2019/2020 i 2020/2021) nadawcy zapłacą 500 mln zł. Do tego dojdą profity za inne prawa (powtórki, skróty w telewizji i internecie). Animucki jest optymistą i twierdzi, że według najnowszych badań aż 10,5 mln Polaków interesuje się Ekstraklasą. Co więcej – aż pęka z dumy, że w przyszłym sezonie 100 meczów zostanie wyprodukowanych w formacie 4K HDR na platformie NC+. Taką technologią dysponują jedynie Anglia, Hiszpania i Niemcy. Jak widać, prezes Animucki robi niemal wszystko, by zadbać

o kibica... w kapiach. Taki usiądzie wygodnie w fotelu, z browarkiem w rękę, i zapominając o bożym świecie, zostanie wchłonięty przez format 4K HDR.

W Polsce, zgodnie z porozumieniem z 2005 r., kompetencje podzielono między Ekstraklasę SA a PZPN. Spółka ligowa odpowiada za zarządzanie rozgrywkami, sprzedaż praw mediowych i marketingowych oraz promowanie ligi i klubów.

A tak wygląda rzeczywistość w liczbach, które nie kłamią: średnia widownia na meczu jesienią 2018 r. wyniosła 8407 osób. Spotkania z najwyższą frekwencją to: Lechia Gdańsk-Arka Gdynia (25 066 widzów), Wisła Kraków-Lechia Gdańsk (23 052) i Legia Warszawa-Lech Poznań (22 731).

Jesienią 2017 r. na trybunach zasiadło średnio 9807 kibiców. Potyczkę Lecha z Legią obejrzało 36 829 widzów, Wisły Kraków z Legią – 33 000, a spotkanie Lecha z Wisłą – 26 361.

Poważny regres widoczny gołym okiem. Na trybunach coraz luźniej!

Nic dziwnego, że internauta „stawowy paprykarz” napisał: „Średnio mecz na trybunach Lotto Ekstraklasy w sezonie 2018/2019 obejrzało 8407 widzów. Średnio jeden mecz PGE Ekstraligi w sezonie 2018 obejrzało 10 573 widzów. Piłkarze przegrywają z żużlowcami w przedbiegach. Wielkie stadiony o pojemności kilkadziesiąt tysięcy, w największych miastach, a frekwencja mizerna. Warszawa, Poznań, Kraków, Wrocław i Gdańsk kontra Gorzów, Leszno, Częstochowa i Zielona Góra. Przy czym największy stadion żużlowy to ok. 17 000 miejsc. I co jest sportem nr 1 w Polsce?”.

Mamy oto do czynienia z zastanawiającym paradoksem – im gorzej, tym lepiej. Kluby wydają coraz więcej, nie tylko na kontrakty, a sukcesów polskich zespołów na arenie międzynarodowej jak nie było, tak nie ma! Wbrew temu, czym się zastania prezes Boniek, że kluby są samodzielne i niezależne – większość jest na garnuszku samorządów. To sytuacja, która od wielu lat wzbudza duże emocje, bo w zasadzie trudno się zorientować, na co idą publiczne pieniądze.

W internecie można wyczytać m.in. (weszło.com): „Zacznijmy od tego, że istnieje wiele sposobów wsparcia finansowego dla klubów ze strony samorządów. I nie zawsze są to zwykłe dotacje, którymi zasilane są budżety ligowców. Jako że ogromna większość ekip z Ekstraklasy gra na stadionach wybudowanych przez miasta, w normalnych okolicznościach powinny one w zwykłym trybie opłacać czynsz oraz podatek od nieruchomości. Jakiegokolwiek zwolnienie z jednego czy drugiego zobowiązania to także nic innego jak finansowe wsparcie dla klubu. Podobnie wygląda to w przypadku umów sponsorskich podpisywanych z miastami, które najczęściej wykupują miejsca reklamowe, których klub i tak nie potrafiłby sprzedać”.

Są jednak równi i równiejsi. „Szeroko rozumiana współpraca z miastem oznaczała dla Legii konieczność dopłaty w wysokości 4,6 mln zł. Punkt widzenia mistrzów Polski łatwo zrozumieć, bo obok Wisły Kraków (–2,6 mln), Lecha (–0,6 mln) oraz Cracovii (–0,5 mln) warszawianie należą do bardzo wąskiego grona ekip bę-

dących przy współpracy z miastem na minusie. Na przeciwnym biegunie są oczywiście kluby, które są własnością miast. Dziś w Ekstraklasie są to Górnik Zabrze (+34,5 mln), Piast Gliwice (+12 mln), Wisła Płock (+10,7 mln), Śląsk Wrocław

Średnia widowni na meczu jesienią 2018 r. wyniosła 8407 osób, rok wcześniej – 9807. Regres widać gołym okiem.

(+7,6 mln). Pomijamy Zagłębie Lubin, które jest własnością państwowego holdingu KGHM”.

48 MINUT CZYSTEJ GRY

Z opublikowanego niedawno raportu Global Sports Salaries Survey (porównanie wszystkich lig świata pod względem zarabianych w nich pieniędzy) wynika, że Ekstraklasa SA jest atrakcyjna dla ludzi szukających trochę grosza, ale niekoniecznie zmuszających się do dobrej gry

jestrowanych do występu graczy 34% to obcokrajowcy. A jednak, poza czterema piłkarzami powołanymi przez Adama Nawałkę do reprezentacji Polski na tegoroczny mundial, w kadrach 31 pozostałych finalistów imprezy nie znalazł się ani jeden zawodnik z polskiego klubu.

Jeśli chodzi o efektywny czas gry, Lotto Ekstraklasa należy do najsłabszych lig na Starym Kontynencie. Według raportu przygotowanego przez Międzynarodowe Centrum Studiów Sportowych – CIES Foot-



Na meczu tej samej kolejki między Legią Warszawa a Lechem Poznań ważniejsza niż liczba widzów (22 731) była zadyma spowodowana przez pseudokibiców.

w piłkę. Jeśli chodzi o poziom sportowy, jesteśmy na 25. miejscu w Europie (według współczynnika UEFA), a pod względem zarobków osiąganych w Ekstraklasie – na miejscu 20. Czyli apanaże nie są u nas adekwatne do poziomu! Polskie kluby w 2018 r. wydały średnio na zawodnika 91 tys. euro. Oznacza to, wedle raportu, że przeciętnie zawodnik Ekstraklasy zarobi ok. 32 tys. zł miesięcznie.

W 26 edycjach Ligi Mistrzów polskie drużyny występowały tylko trzy-

ball Obserwatory, wśród 37 europejskich rozgrywek polska liga znalazła się na szóstym miejscu od końca. Zwyciężyła, co zaskakujące, szwedzka Allsvenskan, a poza nią poziom 60% przekroczyła jeszcze tylko Liga Mistrzów. W Ekstraklasie rzeczywista gra toczy się tylko przez 53,6% meczu, czyli ok. 48 minut. To mniej niż w czołowych ligach na kontynencie, ale również w tych, które powszechnie uważamy za słabsze od naszej: fińskiej, białoruskiej, słowackiej, sto-

► weńskiej, węgierskiej, izraelskiej czy bułgarskiej.

Zdaniem byłego piłkarza, a obecnie biznesmena i menedżera Cezarego Kucharskiego jest wielu ludzi związanych z piłką od dziesięcioleci i wcale nie zależy im na jakichś radykalnych zmianach. Dobrze jest, jak jest, i można żyć całkiem dostatnio. Niemal całkowicie niezależnie od

ciągnie poziom ku nizinie, co szkodzi biednym i bogatym, niestety.

Paweł Gołaszewski („Piłka Nożna”): – Pięć lat w świecie futbolu – szczególnie polskiego – wydaje się wiecznością. Mało który trener czy zawodnik jest w stanie uchwycić się tyle czasu w jednym zespole.

Konrad Witkowski („Piłka Nożna”): – Klasowy piłkarz w Ekstraklasie to

da kształci po swojemu. W Szwajcarii model szkolenia jest ujednolicony.

Robert Podoliński (trener, komentator telewizyjny): – To jak z pieczeniem ciasta: im lepsze mamy produkty, tym smaczniejsze wyjdzie ciasto. U nas po prostu brakuje piłkarskiej jakości. Właśnie z tego wynikają częste przerwy podczas meczu: jest więcej upadków, szarpanej gry, akcje zazwyczaj składają się z zaledwie kilku podań.

Większość klubów jest na garnuszku samorządów.

wyników i klasy sportowej. Nie chodzi mi o słynny handel meczami, ale o mrówczą, codzienną działalność. Wkraczamy w szarą strefę, którą nazwałbym mobilnymi transferami. To królestwo menedżerów różnej proweniencji, podobno nawet niektórych przedstawicieli PZPN, i temat na osobny tekst...

JEDNYM ZDANIEM

Ryszard Niemiec (publicysta): – Rywalizacja krajowa, której wyniki są przesądzone już przed sezonem,

rzadkość. Wśród bramkarzy jednak przez lata nie brakowało postaci jeśli nie wybitnych, to przynajmniej nieprzeciętnych. Dziś na tej pozycji coraz trudniej wskazać nawet tych, którzy wyrastają ponad solidność.

Grzegorz Mielcarski (były reprezentacyjny napastnik): – Deficyt polskich napastników to duża słabość Lotto Ekstraklasy. W końcu to dla ludzi występujących właśnie na tej pozycji przychodzi się na stadiony.

Ryszard Komornicki (były piłkarz, na stałe w Szwajcarii): – U nas funkcjonują tysiące szkółek i akademii, a każ-

Do poczynąń działaczy klubowych pasuje jak ulał bodaj jeszcze przedwojenna anegdota. Wydawca gazety, zebrawszy cały zespół, oświadczył: „Ludzi mamy, papier mamy, pieniądze mamy – teraz trzeba pomyśleć, jak obniżyć poziom!”. A jednak jest spore grono fanów, którzy na swój sposób darzą Ekstraklasę niezmienną sympatią. To trudne, bo wybierając się na stadiony, nigdy nie wiedzą, czego mogą się spodziewać. Najwidoczniej odpowiada im fragment piosenki nieodżałowanego Bogusława Meca: „Naprawdę jaka jesteś, nie wie nikt – to prawda niepotrzebna wcale mi”.

Maciej Polkowski

Szkolenia Microsoft Excel

Dedykowane szkolenia dla firm:

- MS Excel - bez tajemnic (biznes i firma)
- MS Excel - finanse, księgowość, kadry
- MS Excel - poziom zaawansowany
- MS Excel - analiza danych
- MS Excel Business Intelligence + Power BI

www.szkoleniami.pl/szkolenia/



 **SzkoleniaMi.pl**
Profesjonalne szkolenia informatyczne

Prezes na Wilno!

Edward Mikołajczyk

O tej porze roku już wiadomo, co nowego pokażą telewizje na wiosnę. Mamy za sobą styczniowe puszenie się nadawców i kuszenie publiczności podczas prezentacji nowych ramówek. Widzowie pewnie wybrali, czym w najbliższych miesiącach będą się odżywiać codziennie przez cztery godziny i jeszcze trochę. W ubiegłym roku to było dokładnie 4 godziny, 17 minut i 8 sekund dobowego spoczywania każdego Polaka przed włączonym telewizorem. Ale, uwaga, ten imponujący czas był o całą minutę i 24 sekundy krótszy od wyniku osiągniętego wspólnym wysiłkiem Polek i Polaków w roku 2017. Gdy poznamy tegoroczną długość zalegania przed ekranem, może trzeba będzie pomówić o zdrowiu narodu, ale nie teraz.

Prezentacje nowych ramówek są w niektórych stacjach ciekawsze od pokazów kolekcji najbardziej ekstrawaganckich projektantów mody. Wybiły się na samodzielność programową, są już na tyle dojrzałymi formatami, że warto pomyśleć o jakichś konkursach albo od razu o festiwalu na rozpoczęcie nowej pory roku. Ze startem imprezy trzeba jednak zaczekać do zejścia TVPiS z polskiego rynku telewizyjnego i pojawienia się odnowionej telewizji publicznej, bo pod dzisiejszym kierownictwem (to jest Jacka Kurskiego, według stanu na 30 stycznia 2019 r.) konkurencja nie ma szans. Ten kawaler Pierścienia „Inki” jest z góry skazany na wygraną, jak niegdyś Jens Weissflog, skoczek z Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Co było do przewidzenia, także w tym roku TVPiS może się czuć zwycięzcą nieformalnego jeszcze konkursu na najlepszą wiosnę w ofercie programowej. Jej propozycja jest zdecydowanie najdalej idąca, bo przekroczyła wschodnią granicę Polski.

Projekt przewiduje, że powstanie redakcja zamiejscowa TVP z siedzibą w Wilnie, czyli mniej więcej taka organizacja jak któryś z mniejszych oddziałów terenowych, np. TVP Kielce albo Gorzów. Zespół ma tworzyć kilkudziesięciu dziennikarzy oraz ludzi innych fachów niezbędnych do produkcji telewizyjnej.

Przedsięwzięcie jest odważne i wymagające. A wytłumaczenie, jak może być skomplikowane, warto zacząć od informacji, że Wilno nie leży w granicach Polski. Trzeba więc będzie najpierw pogadać jak Polak z Litwinem na

odpowiednio wysokim szczeblu, a od czasów prezydenta Lecha Kaczyńskiego nikt tam już nie jeździ na winko w weekendy. Z wyimaginowaną wspólnotą europejską jest nie po drodze dzisiejszemu prezydentowi. Pierwszy minister spraw zagranicznych PiS Waszczykowski dbał o dobre stosunki tylko z San Escobarem. Jego następcą, eksperyment personalny Jarosława Kaczyńskiego, zajmuje się stosunkami USA z Iranem i wytycza granicę między Irlandią Północną a Irlandią, z czym dotąd sobie

nie poradziła pani premier Wielkiej Brytanii. Z Litwą nie pójdzie nam tak łatwo jak z USA i Anglią. No więc, jeśli stacja TVP Wilno ma ruszyć w tym roku, wiosnę trzeba już spisać na straty, to znaczy poświęcić na mitręgę dyplomatyczną. To musi potrwać, bo na ogół mało kto lubi obce instalacje telewizyjne u siebie. I tłumaczenie władzom innego państwa, że tu przecież chodzi o TVPiS, która w tej części Europy najlepiej opisuje rzeczywistość, może napotkać niewiarę.

TVP Wilno będzie produkować codzienny program informacyjny oraz audycje publicystyczne, które mają zainteresować Polaków

mieszkających na Litwie. Chciałoby się powiedzieć: no, nareszcie!, ale nie wiem, jak to zabrzmie po litewsku.

Plan wyprawy TVPiS na wschód referował dziennikarzom członek zarządu firmy, Maciej Stanecki (cały zarząd składa się z prezesa i tego właśnie członka). Nie zdarzyło się wcześniej, by Kurski komukolwiek odstąpił

Jeśli TVP Wilno ma ruszyć w tym roku, wiosnę trzeba spisać na straty, to znaczy poświęcić na mitręgę dyplomatyczną.

honor informowania o światowych zamiarach. Sam patronował wielkim projektom międzynarodowym – TV Wyszehrad i TV Międzymorze. Tyle narobił wtedy hałasu o nic, że do tej pory partyjne kierownictwo państwa żyje w przeświadczeniu, że coś takiego hula i dlatego prestiż Polski rośnie, zwłaszcza w oczach i ustach premiera.

Najprawdopodobniej stało się tak, że podział Polski na pół dotknął także dwuosobowy zarząd TVPiS. Staneccki się zorientował, że najszybciej pozbędzie się prezesa, wysyłając go na ważną placówkę zagraniczną.



**Do Warszawy przyłączymy też Lwów,
Wilno, Londyn oraz Berlin.
I to nie jest jeszcze moje ostatnie słowo !!**

SORtownia. Drzwi, a za nimi magia

Na moment odszedłem do pogotowia, żeby odsapnąć. Najcięższy dyżur w karetce jest i tak lżejszy niż najlżejszy na oddziale ratunkowym



Szpitalny Oddział Ratunkowy w Szpitalu Klinicznym w Białymstoku.

Paweł Kapusta

Piotr przez kilka lat pracował jako lekarz w szpitalnym oddziale ratunkowym połączonym z jednym z 14 polskich centrów urazowych. Śmigłowce i karetki zwożą ofiary z wielonarządowymi obrażeniami z najcięższych wypadków (nie tylko komunikacyjnych). Są też zawały, udary, nieudane próby samobójcze, zatrucia, utonięcia, porażenia prądem. Wszystko, co najgorsze. Na oddziale 18 łóżek, dwóch lekarzy, pięć pielęgniarek, jeden ratownik. Obszar operacyjny: promień 80 km, 600 tys. ludzi. Średnio w czasie doby obsługiwanych jest 70 pacjentów. Zdarzają się jednak dyżury, podczas których przewija się setka. Praca w tempie sprinterskim. Dzieje

się tyle, że nie wiadomo, w co ręce włożyć.

Przez sale niesie się dzwonek telefonu. To dźwięk nieszczęścia. Informacja, że ktoś stanął nad przepaścią i jeszcze nie podjął decyzji. Lekarz ze śmigłowca w telegraficznym skrócie:

– Lecimy. Dziecko, wypadek samochodowy. Uraz wielonarządowy: brzuch, klatka piersiowa, twarzoczaszka, połamane nogi i ręce. Krążenie zatrzymane, reanimowany. Siędem minut i jesteśmy. Cześć.

Piotr uruchamia procedurę. Najpierw informacja do pracowników oddziału. Krzątanie wokół erkowego łóżka, włączenie USG, szykowanie przyrządów i aparatury. W tym czasie Piotr wydzwania *trauma team*: grupę lekarzy specjalistów, bez której uratowanie dziecka życia będzie niemożliwe.

– Panie doktorze, zaraz zleci na śmigle dziecko z wypadku – to do ortopedy.

– Panie doktorze, ciężki przypadek, dziecko, wielonarządowe obrażenia – to do chirurga. Podobne telefony wykona jeszcze do neurochirurga, torakochirurga, radiologa i anestezjologa. Wszyscy zjawiają się w kilka minut. Staną przed rozsuwanymi drzwiami, wciągną na dłonie gumowe rękawiczki.

Wjeżdżają nosze, ratownicy trzymają kroplówkę. Chłopiec – na oko sześć lat – leży na ortopedycznej desce. Jest cały we krwi, widać otwarte złamania. Sytuacja dramatyczna. Brak oznak życia, zatrzymane krążenie.

– Miał wiotką klatkę piersiową, kręgosłup, szyję. Był po prostu cały połamany – opowiada Piotrek.

To nie film, więc nikt nie krzyczy: „Panie doktorze, tracimy go!”. Oczywiście poleceń też nie ma, wszyscy wiedzą, co robić. Akcja przypomina pracę dobrze zaprogramowanej maszyny. Wklucia, pobranie krwi, próba krzyżowa. Piotr udrażnia drogi oddechowce: wyciąga rękę, pielęgniarka podaje laryngoskop. Jeszcze raz: rurkę intubacyjną, ssak. Ktoś inny rozcina ubranko, jeszcze inny – cewnikuje. Radiolog robi przytóżkowe zdjęcia kończyn. Raz, dwa, trzy, cztery – trwa nieustanny masaż. No, dalej mały. Gdy tylko ruszy, będzie można pojechać na trauma skan, całościowy tomograf komputerowy. Później – od razu na centralny blok operacyjny. Wszyscy są gotowi, kilku chirurgów pali się do pomocy. Raz, dwa, trzy, cztery, tlen. Dawaj!

Ale chłopiec nie ruszy. Nie otworzy oczu. Jego serce nie zabije. Zaraz na oddział wbiegnie matka. Zrozpaczona kobieta, która chwilę wcześniej dowiedziała się o śmierci męża. Przy życiu trzyma ją tylko nadzieja na uratowanie syna. Ona jeszcze nie wie tego, co wie Piotr. Za chwilę jej o tym powie. A gdy powie, ona wpadnie w obłęd.

– Normalni na oddziałach ratunkowych i w centrach urazowych nie pracują. Obcujemy z takimi widokami i zdarzeniami, urwanymi nogami, wnętrznościami, mózgiem na wierzchu, śmiercią, że normalny człowiek by zwariował. Czasem podczas reanimacji zdarza się komuś z nas zaśpiewać, powiedzieć żart. Rozmawiamy ze sobą w taki sposób, że gdyby ktoś nas nagrał, byłby ogólnopolski skandal. A my po prostu tak odreagowujemy. Staramy się odciąć. Bez tego skończylibyśmy w psychiatryku. Śmierć dzieci to jednak sytuacja skrajna. Porusza nawet lekarzy medycyny ratunkowej. To rzadkie przypadki, w naszym szpitalu jest ich 10-12 w roku.

Niby rzadkie, ale raz w miesiącu trzeba taką śmierć przeżyć.

PIĄTEK, GODZINA 13.05

– Wieziemy wam pana, upadek z dużej wysokości. Urazy ręki i kręgosłupa. Duża utrata krwi. Jesteśmy za kilka minut – mówi ratownik. Rozłącza się.

Z kolei ten SOR jest nieduży. Raptem cztery łóżka obserwacyjne

i dwa erkowe, te do reanimacji. Gdy w okolicy zdarzy się coś naprawdę poważnego, pacjent wieziony jest od razu 60 km do centrum urazowego, do Piotrkowa. Jednak i tu zdarzają się bardzo ciężkie przypadki.

– Ogarnę to, ty zajmij się resztą – mówi do kolegi lekarza Darek, 12 lat w zawodzie jako chirurg i specjalista medycyny ratunkowej. Na dyżurze nieprzerwanie od 30 godzin. Jeszcze tylko 18 i jego szychta dobiegnie końca. Dziś na oddziale jest ich dwóch, do pomocy cztery pielęgniarki. W oddali słychać wyjąca syrenę. Na terenie szpitala milnie, jeszcze dwa razy w lewo i karetka będzie na podjeździe.

Nosze wjeżdżają na oddział. Słychać jęk. Mężczyzna spadł z maszyny podczas pracy w lesie. Lecąc, obijał się o metalowe elementy. Złamana kość rozorała skórę. Kumpie z roboty zadzwonili po pomoc.

– Zakładamy historię. Tomografia: głowa, szyja, zdjęcie klatki piersiowej, ręki – mówi Darek.

Działają automatyzmy. Pobranie krwi: jonogram, morfologia, keratynina. Od pana czuć alkoholem, to również trzeba sprawdzić. Jeszcze grupa krwi i próba krzyżo-

Tu nie ma czegoś takiego, jak najcięższy dyżur. Każdy jest albo ciężki, albo bardzo ciężki.

wa. Ciśnienie, tętno, temperatura. Wszystko idzie jak w zegarku. Pielęgniarka rozwija jeden z opatrunków. Rana wygląda bardzo źle, obficie krwawi. (...)

– Halo, proszę pana! Słyszysz mnie pan? – Stan pacjenta nagle się pogarsza, traci oddech. Darek wstrzymuje nosze. – Nieprzytomny! – Lekarz podnosi głos. – Zatrzymał się! Dawać go na erkę!

Pojawia się drugi doktor. Na trzy: raz, dwa, trzy, hop! Zaczyna się walka.

Intubacja, elektrody, EKG. Adrenalina według protokołu, masaż, raz, dwa, trzy, cztery, tlen, defibrylacja, raz, dwa... Pielęgniarki krążą wokół pacjenta jak wolne elektrony. Jedna zakłada cewnik do pęcherza, druga wkłada się w szyję. Raz, dwa, trzy, tlen, tlen. 5 minut, 15, 20. Jedna, druga, trzecia pętla reanimacyjna. Pan Karol, lat 56, pracownik leśny, ojciec czwórki dzieci, dziadek dwójki

wnucząt. Jego los w rękach Darka, Jakuba, Danki i Renaty.

PIĄTEK, GODZINA 13.20

Pięć osób na lewo od małego stolika. Siedzą na krzeselkach wzdłuż ściany. Na stoliku kilka ulotek, kolorowe pismo, nad nim – tablica korkowa z przyczepionymi obwieszczeniami.

Sześć, siedem – w dalszej części poczekalni. W kącie, koło okna, jest jeszcze jedno wolne miejsce. Usiądź i obserwuj. (...)

Jedna z pań (ta pierwsza od lewej) mówi, że od kilku dni boli ją brzuch. Dziś już nie wytrzymała i przyszła. Kazali czekać na badania, siedzi drugą godzinę. Ten gość najbliżej automatu wracał wczoraj z roboty i krzywo stanął. Myślał, że samo przejdzie, ale kostka spuchła. Przykuśtykał. Kazali czekać. Siedzi już od dwóch godzin. A to dziecko z ojcem pojawiło się tu 45 minut temu. Wyszedł do nich lekarz. Niemal w biegu spytał, gdzie boli.

– Tutaj – powiedział chłopiec, wskazując na pępek. Doktor zamienił z opiekunem dwa słowa, kazał czekać i czmychnął za drzwi.

Do recepcji wchodzi 50-latek. Trudno powiedzieć, czy na twarzy ma wyrysowany jeszcze strach, czy to już ból.

– Słucham pana? – słychać z okienka.

– Zakłuło mnie w klatce. Ledwo idę – duka pielęgniarkę w rejestracji.

Ta bez kolejnych pytań prowadzi go na oddział.

Scenę obserwuje mężczyzna z dłonią owiniętą ręcznikiem. Mył naczynia, pęknięta szklanka rozcięła mu skórę od małego palca aż po kciuk. Owinął więc łapę, wsiadł w auto i przyjechał. Patrzy na to, walczy ze sobą dobrych kilka minut, ale nie wytrzymuje. Wstaje, wchodzi na oddział przez duże, białe drzwi. Szarpie za jedną klamkę – zamknięte. Za drugą – nic. Kilka kroków dalej, kolejna klamka – drzwi puszczają. W pomieszczeniu jeden lekarz, dwie pielęgniarki. Rozmawiają, on trzyma kawę. O nie, tego to już za wiele. ▶

► – To ja, k... czekam od dwóch godzin, aż ktoś mi łaskawie pomoże, a wy sobie, do ch... kawkę pijecie? Na dodatek ja siedzę i czekam, a jakiś gość wchodzi z ulicy i zajmujecie się nim od razu? Poza kolejnością? Robicie sobie, k... jakieś żarty?
Konsternacja.

PIĄTEK, GODZINA 14.00

Raz, dwa, trzy. Tlen, tlen. Jeszcze trochę, próbujemy. Kolejne minuty: 10, 15, 20. To już grubo ponad godzina walki o ojca czwórki, dziadka dwójki. Zespół się nie poddaje. Jeszcze kilka ruchów i jest! Monitor krzyczy dobrą nowiną. Wrócił, odżył, udało się! Pacjent odzyskuje rytm.

– Dzwońcie po kardiologa do konsultacji, teraz jak najszybciej na diagnostykę. Pacjent wyjeżdża na zdjęcia. Zespół nie świętuje sukcesu, na tym niewielkim oddziale mają w miesiącu kilka podobnych. Ale zmęczenie, owszem, daje o sobie znać. Lekarze z dwoma pielęgniarkami na moment siadają, jeden chwytając duraleksową szklankę z zimną kawą, którą zrobił dwie i pół godziny wcześniej. Łyk. Rozsuwają się drzwi. To pielęgniarka.

– Panie doktorze, zrobiłam pacjentowi z ulicy EKG. Są zmiany niedokrwienne.

Czyli zawał. Jeden z lekarzy kończy dwuminutową pauzę, znika.

Mija kilkanaście sekund. Znowu rozsuwają się drzwi. Teraz jakiś gość z ręcznikiem owiniętym wokół ręki. Momentalnie wybuchają. (...)

– Proszę pana, właśnie skończyliśmy reanimację. Musimy chwilę odpocząć. Proszę stąd wyjść i czekać na swoją kolej – mówi jedna z pielęgniarek. I tak jest wyjątkowo miła dla agresywnego pacjenta.

– Gównu mnie obchodzi jakaś reanimacja!

Konsternacja, ale tylko chwilowa. Takie zachowanie to przecież smutna norma. (...)

PROKURATOR ZA MIELONE MIĘSO

– Czas są podłe, system do szpitalu chory, a ludzie bezczelni – mówi Piotr. – Według raportu NIK 80% pacjentów, którzy pojawiają się na oddziałach ratunkowych, w ogóle nie powinno się tam znaleźć. (...) Z wielu

powodów lgną jednak do oddziałów ratunkowych. Jeśli już dostaną się do lekarza pierwszego kontaktu, ten najczęściej nie zleci dodatkowych badań krwi albo moczu. Ze zwykłej chciwości, bo jeśli zleca, musi płacić za to z puli na wszystkich pacjentów, którą dostaje od NFZ. Mój kolega, lekarz rodzinny, miesięcznie wydaje na to 3,5 tys. zł. Jego kolega zza ściany – tylko 500 zł, ale w tym czasie wypisuje skierowania na SOR. Wie, że jeśli wyśle do nas człowieka, pacjent zostanie gruntownie przebadany, a on nie wyda grosza. (...)

Darek: – Ludzie uważają SOR za wielką przychodnię, laboratoria i zespół diagnostyki, gdzie od ręki mogą sobie zrobić badania. To prawda, mamy tu możliwości diagnostyczne. Wszyscy zapominają jednak, że są one przeznaczone dla pacjentów w stanie nagłego zagrożenia życia! (...)

Przez niewydolność systemu (...) w poczekalniach oddziałów ratunkowych dochodzi do scen wręcz absurdalnych.

– Ludzie nas straszą, nagrywają smartfonami, mówią, jakie mamy im robić badania. „Jak pan nie zabierze mamusi do szpitala, to pójdzie pan siedzieć” – nawet sobie nie zdajesz sprawy, ile razy coś takiego słyszałem. Zastraszeni lekarze i ratownicy boją się nie przyjąć takiej osoby. Nikt nie chce ryzykować, więc kolejki rosną – przyznaje Piotr.

Zdarzało mi się pracować dwie doby non stop i uważam, że ostatnie godziny mojej pracy były zagrożeniem dla pacjentów.

Pewnego dnia na oddział Wojtka i Darka przyszła kobieta z siatką z zakupami. Stała bywalczyni, wielokrotnie odsyłana przez dyżurnych do NPL. Tym razem znowu z niepoważnymi dolegliwościami, znowu odesłana do lekarza rodzinnego. Po miesiącu listonosz zostawił na oddziale prokuratorskie pismo. Pani oskarżyła lekarzy i pielęgniarki o kradzież pomidorów oraz mielonego mięsa. Pięciu pracowników oddziału musiało iść do prokuratury i składać zeznania w sprawie domniemanej kradzieży produktów na niedzielny obiad.

(...) Wojtek dodaje na poważnie: – Takich pacjentów jest ogrom. Roszczeniowi, opryskliwi, wulgarni. Jeśli dolegliwości nie nakazują przyjęcia,

pacjent jest odsyłany. (...) I wytłumacz się później sądowi, dlaczego nie udzieliłeś pomocy. Dlatego na SOR-ach jest taki ścisk. System jest niewydolny do tego stopnia, że w kolejkach stoją czasem nawet karetki – mówi Wojtek. (...)

CODZIENNY ARMAGEDON

Dla pracownika SOR wyrwanie pacjenta ze szponów śmierci nie jest wcale największym wyzwaniem. Nie jest nim błyskawiczne podejrzenie udaru albo zaopiekowanie się osobą, której maszyna rolnicza ucięła rękę na wysokości łokcia. O wiele trudniejsze jest ściągnięcie spodni nieprzytomnemu, mającemu we krwi sześć i pół promila alkoholowi i umycie mu tyłka z zaschniętego, cuchnącego kału. Później – zacementowanie. Później – założenie wkłucia. Dla pielęgniarek i ratowników zatrudnianych na oddziałach ratunkowych to codzienność. Skala jest wstrząsająca gigantyczna.

– Jak robiłem szkołę, ratownictwo medyczne, nasłuchiwałem się o wzniosłych celach. Ideały runęły w pierwszym tygodniu pracy. Zwożą do nas dosłownie wszystko. Oczywiście są zawały, udary, obrzęki płuc, wypadki, ale nasza zmora to alkoholizm i zaniedbanie – mówi Wojtek.

Sobota, majowe popołudnie. Pary spacerują deptakiem, dzieciaki naciągają rodziców na cukrową watę i kulkowe lody. Uliczny grajek mógłby

starać się trochę bardziej, ale nie ma już co wybrzydzać. Później w stronę parku, do przyjemnego cienia. Tu lekkie poruszenie, bo ktoś leży pod ławką. Dla większości spacerowiczów to zwykły, ludzki śmieć. Na pewno pijany, nie ma co podchodzić. Dobrze, że ktoś w ogóle zdecydował się zadzwonić na 112.

– On tu leży i się nie rusza – mówi dzwoniący, ale ani myśli udzielać pomocy.

Przyjeżdża karetka, ratownik wyławia chłopca z jeziora wymiocin. Oddycha, ale kontaktu nie ma z nim żadnego. Mieszanina alkoholu, rzygowin i brudu tworzy dość specyficzny bukiet zapachowy. Nie ma innej opcji, trzeba jechać na SOR. Na oddziale



Służby ratunkowe na miejscu wypadku drogowego.

badanie krwi: grubo ponad 6 promili. Piękny wynik. Jak na ten oddział – rekordowy.

– Brak świadków zdarzenia. To zardrapanie na czole raczej nie z dzisiaj, ale pewności nie ma – mówi obsługa karetki lekarzom.

Procedura jest więc jasna: nieprzytomny od alkoholu pacjent, z podejrzeniem ewentualnych urazów głowy, musi przejść cały proces diagnostyczny, nie wyłączając tomografii komputerowej. Nie ma lekarza, który zrezygnowałby z tego badania. W przypadku późniejszych powikłań doktor zatrudniony na kontrakt odpowiada za błędy całym swoim majątkiem. W Polsce pacjent rekordzista miał w ciągu roku 160 tomografii. Koszt jednej to ok. 300 zł. Normalni ludzie zapisując się na badanie, czekają trzy miesiące w kolejce.

Pacjent jedzie na tomograf, wraca w jeszcze gorszym stanie, niestabilny. Decyzja: jak najszybciej na OIOM. Podjeżdża wewnętrzna karetka, pijaka wspiera respirator, kardiomonitor, pompy infuzyjne. Później kilka godzin walki o życie podławkowej znajdy na oddziale intensywnej terapii. W końcu odzyskuje przytomność. Zanim ktokol-

wiek zdąży mu zakomunikować, gdzie jest i co się wydarzyło, wstaje, wyrwa z siebie cewnik, zrywa wenflony, chłapie dookoła krwią. Krzyczy:

– Pier... to, idę do domu!

I idzie. (...)

– Zdarzają się dyżury, przede wszystkim w weekendy i święta, podczas których wszyscy pacjenci na SOR są pod wpływem alkoholu. Nawet nie tyle pijani. Oni są po prostu NAJEBANI. Nie ma nikogo z migotaniem przedsionków, niko go z udarem, zawałem. Wszyscy z promilami. Ten tutaj 5, tamten 6, ten na materacu na ziemi 4,5 promila. Na oddziale są tylko dwa łóżka z pasami, które pozwalają na unieruchomienie pacjenta. (...) Zrywają opatrunki, wyrwywają wenflony, więc krew sika po ścianach i podłogach. Miesza się z ich wymiocinami, a salowa lata z mopem i próbuje to wszystko sprzątać. To taki nasz codzienny armagedon. A na zmianie ja, lekarz i cztery pielęgniarki. Często sobie nie radzimy. Raz był taki burdel, że jak o północy wezwałem na oddział policję, to siedzieli z nami do szóstej rano. Po prostu nie mogliśmy ogarnąć tych ludzi – wspomina Wojtek. (...)

Agresja to tutaj stały bywalec. Piotrek z centrum urazowego wielokrotnie podczas dyżurów godził się z losem i czekał na moment, kiedy pacjent rzuci w niego monitorem bądź pobije stojakiem od kroplówki. Na co drugim dyżurze wyzywany jest od kurew, szmat i pedałów, jednym uchem wpuszcza ten potok obrzydliwości, drugim go wypuszcza, ale po sierpniowym zdarzeniu było naprawdę dramatycznie. Karetka przywiozła na oddział wyjątkowo agresywnego i wulgarnego pacjenta. Wyrwał się, miotał. W końcu zaczął pluć na pielęgniarki i lekarzy krwią.

– Mam hacęfa! Mam HCV! – wydzierał się przy tym na cały szpital. Może psychopata, ale przynajmniej prawdomówny, bo nie kłamał.

Piotrkowi zakażoną krwią splunął prosto w twarz. Pacjentowi założono później sprawę w sądzie, tylko co z tego, skoro przez kolejne miesiące lekarz musiał przechodzić badania wykluczające zarażenie wirusem. (...)

10 NOCY W SWOIM ŁÓŻKU

Różne są oddziały i różna na nich intensywność pracy. Na niektórych można czasem znaleźć dwie-trzy godziny spokoju i przyłożyć głowę do poduszki. Pielęgniarka ma budzić w trudnych chwilach. Są też oddziały, gdzie o śnie nie ma co śnić. Na takim właśnie pracował Piotrek.

– Na moment odszedłem z SOR do pogotowia, żeby odsapnąć psychicznie i fizycznie. Najcięższy dyżur w karetce jest i tak lżejszy niż najlżejszy na oddziale ratunkowym – mówi.

W centrum urazowym nie ma chwili, żeby wziąć głębszy wdech. Momentu, by normalnie zjeść. Grzejesz obiad w mikrofalówce cztery razy, bo cały czas cię odciągają od stołu. Gdy Piotrek przychodził do roboty, pracowało tu 10 lekarzy specjalistów medycyny ratunkowej. Dziś jest sześciu. Niektórzy nie wytrzymali tempa, teraz trzeba robić ponad siły, żeby spać grafik. Piotrek najwięcej w miesiącu przepracował 410 godzin. Norma to między 350 a 400 godzin. Teraz padnie kwota, uwaga, proszę o zachowanie spokoju: miesięcznie na kontrakcie zarabia ok. 30 tys. zł brutto. Minus 1300 zł ZUS i 19% podatku. Brak lekarzy w połączeniu ze zwożonymi tu przypadkami najcięższymi ▶

► z możliwych powoduje zwiększenie stawek. A o jakich przypadkach jeszcze mowa? Na przykład o mężczyźnie z krwiopluciem, który chwilę wcześniej wrócił z egzotycznej wycieczki. Podejrzenie eboli, specjalne skafandry (i tak nieprzystosowane do tego wirusa), antybiotyki. Na szczęście to nie była ebola, ale zespół miał stracha.

Kasa, jak na polskie warunki, jest dobra, ale praca – wykańczająca psychicznie i fizycznie. Po przedłużonym dyżurze, czyli 24 godzinach plus siedmiu następnych, Piotr wracał do domu, po drodze siadał na ławce na placu zabaw i tam usypiał. (...)

– Zdarzało mi się pracować pełne dwie doby non stop i uważam, że ostatnie godziny mojej pracy były zagrożeniem dla pacjentów. Na polskie warunki zarabiam bardzo dużo, bo 20 tys. zł netto, ale robię na dwa i pół etatu, większość życia spędzam w pracy. Nie dzieje się tak z chciwości. Tego wymaga ode mnie pracodawca. Bez mojej dyspozycyjności nie zepnie grafiku – mówi.

Darek spędza w pracy dwie trzecie miesiąca. Oprócz niewielkiego oddziału ratunkowego są trzy oddziały pogotowia i jeszcze jeden oddział ratunkowy w innym mieście. W swoim łóżku śpi 10-11 nocy w miesiącu. Do szpitala, w którym właśnie rozmawiamy, ma z domu 120 km. Leśnymi drogami, przez wioski, to prawie dwie godziny w jedną stronę. Dojeżdża tak od czterech lat, ma tu 10 dyżurów w miesiącu. Na tej trasie spędza 40 godzin w miesiącu.

– Gdyby się nie opłacało, tobym nie przyjeżdżał. No i ja chyba jednak nadal lubię tę robotę. (...)

FUCHY W WOLNYCH CHWILACH

Wojtek składa myśli w zwarty komunikat. W końcu mówi:

– Proszę, żebym opowiedział o moim najcięższym dyżurze. Nie umiem tego zrobić. Tu nie ma czegoś takiego, jak najcięższy dyżur. Każdy jest albo ciężki, albo bardzo ciężki. Zdarza się, że przez okrągłe 24 godziny nawet nie usiądziesz. A dyżury bywają i kilkudniowe. (...)

Wojtek pracuje ok. 300 godzin w miesiącu. Jest ratownikiem zatrudnionym na kontrakcie w SOR. ZUS, podatek – wszystko na jego głowie.

– W styczniu rodziło mi się dziecko, wziętem 10 dni wolnego, chciałem być blisko żony. Zrobiłem tylko 190 godzin, więc nie zapłaciłem ZUS i podatku. Gdybym zapłacił, zostało by mi na życie 1000 zł. W lutym wypracowałem ponad 300 godzin, więc zapłacę za dwa miesiące.

Zażywając się ponad siły na dyżurach, możesz zarobić 7 tys. zł brutto. ZUS, podatek 19% – wychodzi niecałe 5 tys. I pamiętaj, że aby tyle dostać, musisz praktycznie zamieszkać w szpitalu.

– Ponoć czasem dorabiasz na fuach?

– Spawam metalowe ogrodzenia.

Na początku pracy na oddziale bardzo angażował się emocjonalnie. Teraz potrafi się odciąć, choć nie zawsze. Jakś czas temu karetka przywiozła kobietę – posiniaczoną, zmaltretowaną przez męża. Wszystkie

Obcujemy z takimi widokami i zdarzeniami, że normalny człowiek by zwariował.

żebra połamane, rana głowy, krwawienie w mózgu. Cała zmiana rzuciła się na pomoc. Po wstępnym zaopatrzeniu pacjentka została wysłana na neurologię.

– Gdy dotarła do nas informacja, że zmarła, w myślach powiedziałem do siebie: gdyby policja przywiozła jej męża do nas na przebadanie, mnie też musieliby zamknąć do więzienia.

Niedługo później przyjechał starszy pan, pod siedemdziesiątkę. Znał go tu wszyscy, bywał często, bo zdrowie szwankowało. Załoga bardzo go lubiła, nawet gdy cierpiał, zawsze zachowywał dobry humor, rozśmieszał pielęgniarki i salowe. Dobrze wychowany, serdeczny pan. Tego dnia przyjechał z dusznością. Wojtek przewiózł go na tomografię. Podczas badania pękł mu tętniak. Staruszek zmarł.

– Najgorsze, że nie było dla niego ratunku. Nic nie mogliśmy zrobić. Pracuję tu już dwa lata. Po 11. zgonie przestałem je liczyć.

BĘDZIE CORAZ GORZEJ

Specjalistów medycyny ratunkowej w Polsce jest bardzo mało, ok. 900. To dziedzina szczególna, trzeba mieć predyspozycje do zarzą-

dzania zespołem, wydawania szybkich i trafnych poleceń. Na zagłębienie do książki nie ma czasu.

– Podczas kongresu medycyny ratunkowej w Karpaczu wypowiadali się goście ze Stanów Zjednoczonych. Chwalili się: w tym roku mieliśmy 1896 miejsc specjalizacyjnych i wszystkie zajęliśmy! A u nas w Polsce od lat są wolne miejsca, nikt nie chce robić tej specjalizacji. Idą na to tylko pasjonaci. Pytaliśmy więc: Jak to robicie, że u was jest inaczej? I wiesz, jaka była odpowiedź?

– Pewnie pieniądze.

– Dokładnie, *cash*. Medycyna ratunkowa jest w Stanach najbardziej opłacalną specjalizacją. No i lekarz nie pracuje tam 400 godzin w miesiącu, ale to chyba oczywistość. Praca w ratownictwie jest niewdzięczna. Pacjenci nawet później ci nie podziękują. Podadzą rękę chirurgowi, który

ich operował, ortopedzie, który ich składał. My w całym zamieszaniu ginimy, SOR to taka sortownia. A nasza praca jest szalenie ważna, przecież po kilka razy dziennie wyciągamy ludzi z zaświatów.

– Za dobrą robotę nikt cię tutaj nie pochwali. Z kolei za złą minę albo odburknięcie – zawsze się ktoś przycepi. Pacjenci nie zdają sobie sprawy, jak wygląda nasza rzeczywistość, jak zorganizowana jest nasza praca. (...) – mówi Darek.

Po dwóch pełnych dniach na oddziale w końcu pakuje neser, odwieszta fartuch. Dwa pietra w dół z dyżurki do wyjścia. Zanim wskoczy do auta, musi jeszcze przeciąć poczekalnię. Tam – pięć osób, brzęczący automat do kawy, jarzeniówka. Każdy wygląda pomocy. Darek zerka jeszcze w lewo. Nad wejściem na oddział napis: „Dziękuj Bogu, że możesz czekać. Ci za drzwiami czekać już nie mogą”. Zapina kurtkę.

Imiona bohaterów zostały zmienione.

Fragmenty książki
Pawła Kapusty *Agonia*,
Wielka Litera,
Warszawa 2018



Janusze dyplomacji

13-14 lutego odbędzie się w Warszawie konferencja na temat Bliskiego Wschodu. Konkretnie dotyczyć będzie Iranu. Sęk w tym, że Iran nie został na nią zaproszony. Wiadomo więc, czego możemy się spodziewać po Teheranie.

W takich sytuacjach ważna jest rola ambasady – by tonowała nastroje, prostowała różne niezręczności. No to tę konkurencję Polska oddała walkowerem. W grudniu 2017 r. do Teheranu został wysłany nowy ambasador Jarosław Domański. Wielkiego doświadczenia, jeśli chodzi o kraje regionu, nie miał, wcześniej pracował w dyplomacji unijnej. Większy problem polega na tym, że po pół roku, 31 lipca, został odwołany.

Cóż, takie działanie ośmiesza państwo wysyłające. Oznacza, że gdzieś popełniono błąd personalny. Ale odłóżmy rozważania na temat błędu na bok – w każdym razie w czasie gdy wykuwana była koncepcja konferencji, Polska nie miała ambasadora w Teheranie. Teraz zamierza go wystać. Będzie nim Maciej Fałkowski.

Nowy ambasador nie zajmował się Iranem ani Bliskim Wschodem. Owszem, był krótko wicedyrektorem Departamentu Azji i Pacyfiku MSZ, ale obiektem jego zainteresowań były Indie, Afganistan i Sri Lanka. Poza tym zajmował się sprawami bezpieczeństwa, a od roku 2015 był dyrektorem Departamentu Współpracy Ekonomicznej. Można by pomyśleć, że to jakiś punkt zaczepienia, sęk w tym tylko, że na Iran nałożone są sankcje, więc wszystkie firmy stamtąd się zwiągają. Polskie również – biuro w Teheranie zamyka np. PGNiG.

Innymi słowy, wysyłamy do Iranu ambasadora, który przyjedzie tam po oprotestowanej przez Teheran konferencji, nie zna regionu ani państwa, w którym przyjdzie mu pracować, na dodatek ma minimalne doświadczenie

w pracy za granicą, bo w jego CV figuruje raptem stanowisko wicekonsula w konsulacie generalnym w Toronto. Dopiero będzie się uczył, jak pracować na stanowisku politycznym. Szału nie ma. I wielkich oczekiwań chyba też nie.

Nasuwa się tylko pytanie, dlaczego wysyłamy do Iranu ludzi, którzy nie znają ani kraju, ani problemów regionu, niczego.

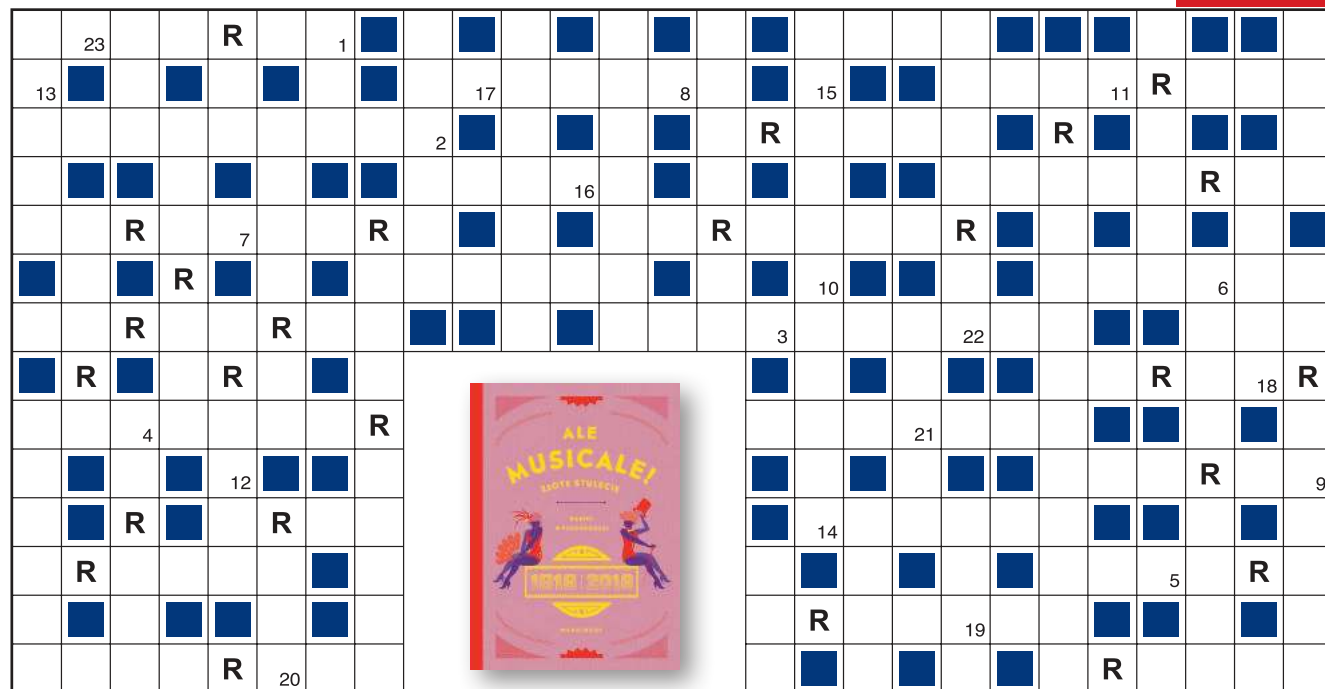
Jakąś na nie odpowiedzią może być filipika, którą wygłosił Witold Waszczykowski, gdy oceniano przyszłego ambasadora. Waszczykowski – jak wiemy – był szefem MSZ, ale i ambasadorem w Iranie, zresztą złym, odwołanym przed czasem. Przedstawił on na temat Iranu takie opinie: „Gospodarka irańska kieruje się motywami politycznymi, a nie ekonomicznymi. To jest gospodarka mieszana, państwowo-prywatna. Z tego powodu bardzo trudno jest rozwijać stosunki gospodarcze. Oni kupią lepsze jabłko z Niemiec i Francji, a nie nowoczesną technologię z Polski, bo to jabłko będzie z Francji. Mitem jest przekonanie, iż jest to kraj ciekawy dla wymiany kulturalnej czy turystycznej, ze względu na restrykcje obyczajowe. Nie jest to turystyka ukierunkowana na »fun and sun«. Przypomnę sytuację z czasu, kiedy byłem ambasadorem. Zorganizowaliśmy koncert pieśni Chopina. Otóż pieśni Chopina są napisane dla głosu żeńskiego. Musieliśmy znaleźć osobę, która akompaniowałaby na fortepianie, a śpiewałby mężczyzna, ponieważ śpiew kobiet jest tam zakazany”. I tak dalej.

Janusz polskiej dyplomacji, któremu wszystko przeszkadza...

Attaché



Bezdomny śpi przed witryną sklepu ZARA Home z artykułami dekoracyjnymi i wnętrzarskimi, Barcelona.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- bije się na niego
- imię ajatollaha Chamenei
- przerwa na przechadzkę po foyer
- mierzy pedanta
- pieniądź ze znakiem wodnym
- mazgaj
- bez dodatkowych kosztów i potrąceń
- wyrób z kopyta
- utarte buraki z chrzanem
- obłuda, nieszczerłość
- obok konfitury i powideł
- sielanka, idylla
- nadzorca chłopów na pańskim polu
- dodatni to pozyton
- gleby, skał lub norm i wartości

- i strój męski, i komplet
- krupier przesuwający żetony
- Balanchine z pochodzenia lub Rustaweli
- naśladowca
- „...Słońca” Spielberga
- coś, co pobudza do działania
- tam szekel walutą
- powódź lub trzęsienie ziemi
- kolor odzieży wojskowej
- offowe – z filmami niskobudżetowymi
- ...by się uśmieiał
- bywa się między młotem a nim
- „wroni” kawał lodu

- politykę ciepłej wody w nim wytykano Tuskowi
- zrzeszony w ZLP
- medyczna już dopuszczona w Polsce
- jego twardość określana w skali Mohsa
- jej ton to plener
- horyzont plus trochę nad nim
- zawód Janochy z „Wesela” Smarzewskiego (rola Jakubika)
- najdłuższy, prawy dopływ Wolgi
- fakt, zjawisko uznane za zapowiedź
- jedno- lub dwuczęściowy dla plażowiczki
- i skała, i ostoja wartości
- harmonijka ustna

- „...22”, powieść z Yossarianem
- zapis nutowy utworu
- przedstawianie, pokazywanie
- skorupki albo rodzaj wiersza
- głosowanie np. w sprawie odwołania wójta
- przyszyły będzie 2020
- opalenizna z niego niezdrowa
- miejsce mąk Tantala
- niby-złoto
- muza astronomii
- kiedyś szalkowa, dziś elektroniczna
- Butorowy lub Kasprowy
- uprawniony do głosowania
- i piłki, i dół na budowie
- „...psów”, powieść Jakuba Żulczyka

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-895”. Do rozlosowania książki „Ale musicale!” ufundowane przez Wydawnictwo Marginesy. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązanie wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 10 lutego 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-892” z 20 stycznia: *Spokojem można niepokoić.* Nagrody otrzymują: Aleksandra Gelecka-Mazur z Gdańska, Krystyna Paluch z Czechowic-Dziedzic, Jerzy Pawlikowski z Katowic.

PENETRACJE

KRAKÓW

**DR JAROSŁAW FLIS,
SOCJOLOG**

Następne wybory wygra ten, kto wykaże się większą empatią względem wyborców przeciwnika. Wygra ten, kto zejdzie z wysokiego C i zacznie wypominać drugiej stronie nie grzechy śmiertelne, tylko powszednie. Czyli nie zamach na demokrację i suwerenność narodu, lecz złodziejstwo, nieudolność, kłótniowość, kumoterstwo. Bo to są rzeczy, które przemawiają do wyobraźni.

Press

**THOMAS DUDEK,
NIEMIECKI DZIENNIKARZ**

Między 10 a 17 sierpnia miałem dużo czasu, więc mogłem się wyłączyć ze wszystkiego innego i wejść w świat prawicowych mediów w Polsce. Całkiem sporo wtedy się działo, było m.in. Święto Wojska Polskiego. Dzień zaczynałem z prawicowymi portalami i gazetami, potem oglądałem TVP Info, a wieczorem obowiązkowo „Wiadomości”. Dowiedziałem się, że prezydent Adamowicz z Gdańska jest zdrajcą, robi niemiecką politykę historyczną, bo nie chce polskiego wojska na obchodach rocznicy wybuchu II wojny światowej. Nawet sam nabrałem wątpliwości, choć później okazało się to nieprawdą. Z TVP Info pamiętam „Salon dziennikarski”,

w którym brali udział tylko prawicowi dziennikarze: Piotr Semka, Michał Karnowski, ks. Henryk Zieliński, i rozmawiali o złym stanie opozycji. A jeszcze śmieszniejsze było, że tego samego dnia „Panorama” TVP 2 zrobiła materiał na ten temat i kto się w nim wypowiadał? Wszyscy goście z „Salonu dziennikarskiego”.

VIVA!

**PAULINA
SMASZCZ-KURZAJEWSKA,
DZIENNIKARKA, PREZENTERKA**

Poszliśmy z Maciem na pierwszą randkę, pojeździć na tyżwach. Zakopane, noc, puste lodowisko i my dwoje. Ja miałam wtedy chłopaka patafiana, Maciek dziewczynę, ale oboje dojrzeliśmy do rozstania. Po trzech miesiącach – do tej pory śmiejemy się z tego – pierwsza do niego zadzwoniłam: „Może się spotkamy?”. Poszliśmy na jakiś film do kina Polonia. Po seansie mówię: „To chodź, trochę jeszcze posiedzimy u mnie”. Maciek wynajmował mieszkanie na Woli, ja na Ursynowie. „Nie mam potem jak stamtąd wrócić, nie będzie żadnego autobusu”. Ja na to: „Ale kto powiedział, że musisz w nocy wracać...?” (śmiech). Przyszedł na noc, został na zawsze. Staliśmy się nierozłączni. Poznaliśmy się w styczniu, ja do niego zadzwoniłam w marcu, we wrześniu wzięliśmy ślub.

Aby język giętki...

PIOTR DUDA

O MATEUSZU MORAWIECKIM

Jeśli premier chce mieć wroga w Solidarności, to staniemy na wysokości zadania.

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI

O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Stara się prowadzić politykę w obie strony. Gowinowi świeczkę, a ojcu Rydzkowi ogarek.

AGNIESZKA HOLLAND

O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

On zna tylko najciemniejsze strony Polaków. Mentalnie wydaje się stulatkiem.

JERZY OWSIAK

O DODATKOWEJ ROLI

Polityka? Największa kara. Emocjonalnie bym się w tym nie zmieścił.

SŁAWOMIR MIZERSKI

O PIOTRZE GLIŃSKIM

Miał prawo opuścić studio RMF, bo wiadomo, że nikt nie będzie odpowiadał na cudze pytania, jeśli sam sobie może zadać lepsze.

JERZY URBAN O „FAKTACH” TVN

Codziennie oglądam, ale tylko przez kwadrans, czyli do pierwszego chorego dziecka.

JERZY PILCH

O ZNIECHĘCONYCH CZYTELNIKACH

Nie bardzo mnie ciekawią. Szalenie mi przykro, ale kto uważa, że ja piszę „o laskach i dymaniu”, głuchy jest jak pień.

DOROTA KOLAK O SOBIE

Przez większość życia byłam dość zachowawcza, a nawet tchórzliwa. Brakowało mi pewności siebie, brawury. Nie onieśmiałam urodą.

MARIETA ŻUKOWSKA O SILE

Prawdziwą, trwałą i nienaruszalną siłę możemy odnaleźć tylko w sobie.

JAN FRYCZ

O ŻONIE MAŁGORZACIE

Powiedziała mi kiedyś: taki masz zawód, skoro zmienić nic nie możesz, spróbuj to zaakceptować.



Ludność cywilna czekająca na rejestrację w placówce syryjskich sił zbrojnych w wiosce Baghouz w pobliżu granicy z Irakiem.

Pasażer z wyciągniętymi kopytkami

Linie Ryanair starają się jak najbardziej umilić pasażerom loty. Stewardesy i stewardzi są zachęceni do urozmaicenia oficjalnych informacji osobistą twórczością. Pasażerom wieczornego lotu z Brukseli przemiła pani Karolina zasugerowała więc „wyciągnięcie kopytek i cieszenie się podróżą”. Na szczęście pilot nie wziął sobie tego do serca i wszyscy bezproblemowo wylądowali w Modlinie.

Dźwięki jak melisa

Naukowcom z Mindlab International udało się wybrać 10 piosenek, które działają na mózg najbardziej relaksująco. Uczestnicy pod presją czasu układali puzzle, czemu towarzyszyły różne utwory. Obserwacja bioelektrycznej aktywności mózgu, tętna, ciśnienia krwi oraz oddechu badanych wykazała, że skołatane nerwy znakomicie koją m.in. Enya („Watermark”), Coldplay („Strawberry Swing”), Adele („Someone Like You”) oraz All Saints („Pure Shores”). No, chyba że ktoś jest uczulony na danego wykonawcę.

Przeziębienie bez rozgrzeszenia

Urodzony w Ghanie był brytyjski żołnierz, a obecnie pastor, zażądał od sił zbrojnych Jej Królewskiej Mości 150 tys. funtów odszkodowania za przeziębienie, którego nabawił się podczas ćwiczeń w 2016 r. Michael Asiamah argumentuje, że przełożeni nie ostrzegli go, żeby wziąć ze sobą na poligon m.in. rękawiczki i ciepłe skarpetki, a następnie zignorowali jego skargi na dokuczliwe zimno. Przed sądem ekswojak zacytował badania, według których czarnoskórzy



żołnierze armii brytyjskiej są 30 razy bardziej podatni na choroby spowodowane niską temperaturą.

Bez przesady z tą równością

Premier Zjednoczonych Emiratów Arabskich, szejk Muhammad ibn Raszid al-Maktum, przyznał dyplomy i medale za promowanie równości płci w miejscu pracy. Uhoonorowano nimi najlepszy organ rządowy wspierający równość płci, najlepszy organ federalny oraz najlepszą inicjatywę w tej dziedzinie. W imieniu wszystkich zwycięskich instytucji nagrody odebrali mężczyźni, co pokazuje, że idea równouprawnienia zakorzenia się na arabskich pustyniach z pewnymi trudnościami.

Porno z odsieczą Trumpowi?

Gail Griffin, 84-letnia republikańska polityczka z Arizony, zaproponowała blokowanie dostępu do pornografii na każdym sprzedawanym w tym stanie komputerze, telefonie czy tablecie. Zdjąć blokadę można by było, przedstawiając dokumenty potwierdzające pełnoletniość oraz uiszczając opłatę w wysokości 20 dol. Zgromadzone tą drogą środki wsparłyby m.in. fundację Johna McCaina, która walczy z handlem ludźmi i wykorzystywaniem dzie-

MEMY BEZ ŚCIEMY





Nieważne wygodę, byle dotrzeć do celu. Powrót do syryjskiego miasta Hadżin odbitego z rąk ISIS oraz zmotoryzowana riksza w Kabulu.

ci, oraz... forsowaną przez prezydenta Trumpa budowę muru między USA i Meksykiem, na którą brakuje pieniędzy.

Spadające gwiazdy z o.o.

Japońska firma Astro Live Experiences od przyszłego roku będzie oferować nietypową usługę – deszcz meteorytów na zamówienie. Specjalny satelita będzie wyrzucał kulki, które podczas przelotu przez atmosferę będą zostawiać za sobą różnobarwne smugi, widoczne w promieniu 100 km. Niestety, wszystko wskazuje, że za spełnienie pomyślnych wówczas życzeń trzeba będzie zapłacić osobno.

Bez szczęśliwego zakończenia

W tureckiej prowincji Bolu od 2014 r. powstawało osiedle ekskluzywnych domów wzorowanych na zamkach z bajek Disneya. Projekt Burj al-Babas składa się z 732 niemal identycznych budynków, z których połowa została wykupiona przez bogaczy, głównie z krajów arabskich. Niestety, deweloper nie sprostął inwestycji i niedawno ogłosił bankructwo. Petrodolarowi książęta pewnie będą żyli długo i szczęśliwie, ale gdzie indziej.



FOT. AFP/EAST NEWS (2), FB/NIE.LUBIE.PISU, FB/ANONIMOWYINTERNAUTA, WYKOP



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 **wew.** 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiliowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bakowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzyktor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

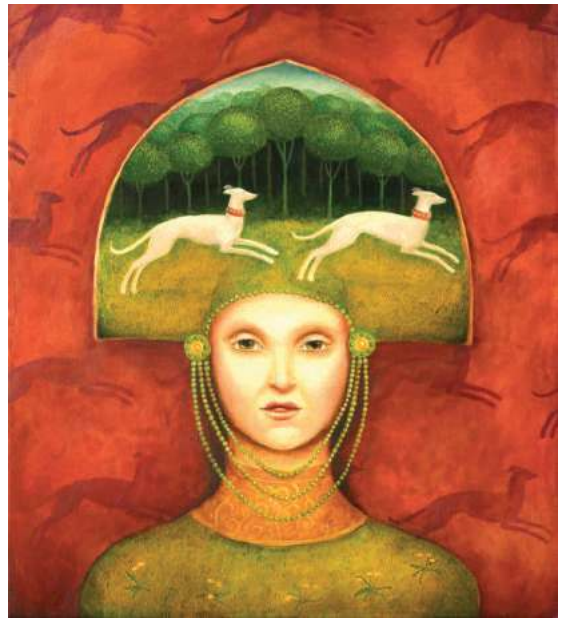
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Średniowieczne baśnie Malwiny de Brade

Centrum Praskie Koneser
Warszawa, ul. Żąbkowska 27/31
do 9 lutego



Prace Malwiny de Brade przywołują magię średniowiecznych miniatur oraz legend o księżniczkach i zamkach. Artystka opowiada historie, starając się, by różne rzeczy działały także w tle, obok głównej opowieści. Często ukrywa na obrazach małe niespodzianki, choćby zająca na drzewie. Zajmuje się malarstwem, ilustracją książkową, fotografią, grafiką warsztatową i animacją.



NOMINOWANY DO OSCARA®
VIGGO MORTENSEN

LAUREAT OSCARA®
MAHERSHALA ALI

NAJLEPSZY FILM

5 OSCARÓW
NOMINACJE



3 ZŁOTE GLOBY
ZWYCIĘZCA



GREEN BOOK

PRAWDZIWYCH PRZYJACIÓŁ POZNAJE SIĘ W DRODZE

W KINACH

NIE MEN INACZEJ

Natalia Niemen
Sławek Uniatowski*
Janusz Radek*
Stanisław Soyka
Kuba Badach

oraz
specjalnie
zaproszeni goście

16.02 - KRAKÓW ICE 23.02 - WARSZAWA TORWAR

09.03 - POZNAŃ SALA ZIEMI

15.03 - LUBLIN CSK 16.03 - ŁÓDŹ WYTWÓRNIA

17.03 - KATOWICE NOSPR (DWA KONCERTY)

23.03 - GDYNIA ARENA

24.03 - SZCZECIN FILHARMONIA (DWA KONCERTY)

09.04 - WROCŁAW NFM

* Sławek Uniatowski nie występuje w Poznaniu * Janusz Radek nie występuje w Łodzi, Szczecinie i Lublinie